



Kacper Rękawek

CZŁOWIEK

Z MAŁĄ

BOMBĄ

O TERRORYZMIE

I TERRORYSTACH



Kacper Rękawek

Człowiek z małą bombą

O terroryzmie i terrorystach



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Projekt okładki Krzysztof Rychter

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Alamy / BE&W

Copyright © by Kacper Rękawek, 2017

Opieka redakcyjna Konrad Nowacki

Redakcja Piotr Nehring

Korekta Katarzyna Juszyńska / d2d.pl, Małgorzata Poździk / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-489-3

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Wstęp. Mała i duża bomba

1 Tu i teraz: nowy terroryzm?

2 Tu i teraz: radykałowie czy kryminaliści?

3 Tu i teraz: co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?

4 Codzienna codzienność

5 Innowacyjność. James Bond to błąd?

6 James Bond to jednak błąd

7 O falach, pieniądzach i miękkości

8 Usunięcie przywódcy

9 Negocjacje, zniszczenie i sukces

10 Gangsterzy...

11 ...i filantropi

12 Przemysł

13 Cyrk?

14 Bez końca

Podziękowania

Przypisy końcowe

Przypisy

Kolofon

Dla Małgosi

Wstęp

Mała i duża bomba

Człowiek z małą bombą. Po raz pierwszy usłyszałem te słowa w 2007 roku. Niezgrabne, wręcz głupie sformułowanie, opinia jednej osoby. Wypowiedział je Laurence McKeown, były terrorysta, członek Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA), który spędził szesnaście lat w więzieniu. Dziś ma doktorat i podczas konferencji naukowej, w której uczestniczyłem, irytowały go liczne sformułowania o „terrorystycznym” charakterze organizacji, do której należał, i jej „terrorystycznych” działaniach. Wtedy wydawało mi się to co najmniej dziwne, bo inny uczestnik konferencji, doktor James Greer z uniwersytetu Queen’s w Belfaście, pamiętał, że McKeown wchodził w skład komórki terrorystycznej, to jest grupki terrorystów organizującej zamachy bombowe, działającej w tej części Irlandii Północnej, w której mieszkała jego rodzina. I celem tych zamachów nie były wyłącznie bazy wojskowe czy posterunki policji, lecz także sklepy i miejscowe przedsiębiorstwa, które IRA chciała doprowadzić do ruiny. Cele cywilne, ale należące do znienawidzonych protestantów, którzy albo mieli z dnia na dzień zadeklarować się jako Irlandczycy i wtedy IRA zostawiłaby ich w spokoju, albo opuścić północ Irlandii i na dobre przenieść się do Szkocji lub Anglii. Zamachy te miały pomóc im w podjęciu decyzji. Nie przeszkadzało to jednak McKeownowi, prywatnie uroczemu i dowcipnemu człowiekowi, w relatywizowaniu działań terrorystycznych, w których uczestniczył, i mówieniu: „Jeśli ja, domniemany terrorysta, mam małą bombę, to państwo, które ze mną walczy, ma dużą”.

Kiedy słuchałem McKeowna, przypomniało mi się oświadczenie Światowego Frontu Islamskiego, organizacji wydmuszki kierowanej przez Osamę bin Ladena, pierwszego przywódcę Al-Kaidy, który w 1998 roku pisał o „okupacji” Półwyspu Arabskiego przez stacjonujące tam wojska amerykańskie¹. „To państwo przewodzące światu zachodniemu, ten silniejszy, miało »terroryzować«, używać terroru przeciwko obywatelom, w tym wypadku mieszkańcom innych państw zamieszkałych przez muzułmanów”. W następnych latach wszelkie cierpienia muzułmanów i ich kłopoty w jakimkolwiek miejscu na ziemi, od Bośni po Azję

Południową, Bin Laden przypisywał amerykańsko-izraelskiemu spiskowi, koalicji „Żydów i krzyżowców”. Mówił, że chce „bronić siebie i karać agresora”, i twierdził, że „jeśli to jest ten naganny terroryzm”, to on i jego ludzie „nieuchronnie” będą go stosować i trzeba ich nazywać terrorystami². Jeszcze później przywódca tak zwanego Państwa Islamskiego, które na kartach tej książki będzie określane mianem ISIS, mówili o radości, jaka wypełniała serca muzułmanów na skutek „upokorzenia, terroru, wściekłości, furii i ruiny” fundowanej „niewiernym” przez członków ich organizacji³. To była radość z powodu bycia terrorystą i atakowania ludzi, którzy na to zasługują, ponieważ nie wierzą w jedyne Boga – Allaha. Radość wynikająca z „terroryzowania [...] niewiernych” sprawiła, że na ulice miast „Australii, Francji, Kanady, Belgii i innych reduct Krzyża [świata chrześcijańskiego] musiało wyjść wojsko – armie krzyżowców”⁴.

Zwróćmy uwagę, że wymienione wyżej celebracje i laudacje odnoszą się do terroryzmu mającego na coś odpowiadać. Innymi słowy, nie chodzi tu o przemoc dla samej przemocy, spowodowania orgii krwi i zniszczenia. Al-Kaida uderza w Stany Zjednoczone, bo są one agresorem i manipulatorem naruszającym porządek świata muzułmańskiego. Ten atak to też uderzenie w amerykańskie marionetki w świecie Islamu – dyktatorów, monarchów mieniących się często dobrymi muzułmanami lub obrońcami wiary, a zdaniem Al-Kaidy wykonujących jedynie rozkazy „krzyżowców” oraz „Żydów”. W przypadku ISIS chodzi o apokaliptyczne, czarno-białe starcie świata Islamu z niewiernymi, których trzeba zwalczać tylko z tego powodu (a może aż z tego powodu?), że wierzą w innego Boga lub w ogóle w Niego nie wierzą. W obu przypadkach, Al-Kaidy i ISIS, mamy do czynienia z atakiem kogoś z małą bombą na przeciwnika posiadającego dużą bombę.

Tak właśnie myśli McKeown i wielu mu podobnych. Powiedzą oni, że nie można przemocy IRA, baskijskiej ETA, niemieckiej Grupy Baader-Meinhof, włoskich Czerwonych Brygad stawiać w jednym szeregu z terroryzmem Al-Kaidy i ISIS. Że ci pierwsi mają prawo sięgać po motywowaną politycznie przemoc lub groźbę przemocy wymierzonej w cywilów w imię buntu przeciwko, ich zdaniem, niesprawiedliwej władzy. A ta odpowie ze zdwojoną siłą i użyje wielu dostępnych instrumentów, by zamknąć im usta. I to właśnie odpowiedź władzy stanowi dla wielu prawdziwy terroryzm, terroryzm z dużą bombą. Ja czy, mam nadzieję, my

nazywamy to zwalczaniem terroryzmu. Oni wspominają o chęci pomśzczenia domniemanych lub prawdziwych krzywd i dodają, że to państwo zabija więcej, częściej i niejednokrotnie w sposób znacznie okrutniejszy. Tak było kiedyś w Afganistanie czy Iraku, a teraz jest w Syrii. Wielu wypomina ofiary palestyńskie, o wiele przecież liczniejsze od tych poniesionych przez Izrael. Z lubością wyliczają zabitych przez szwadrony śmierci w Hiszpanii, Irlandii Północnej, Kolumbii, a mniej miejsca poświęcają zamordowanym w eksplozjach bomb podkładanych przez terrorystów hiszpańskich, irlandzkich czy kolumbijskich. I tak wymiany argumentów mogą trwać bez końca, jak w meczu tenisa ziemnego czy ping-ponga. Zaserwowana piłka po chwili wraca na drugą stronę siatki, jeden gracz zdobywa punkt, ale zaraz potem jego przeciwnik wyrównuje i gra zaczyna się od nowa. Tyle tylko, że w tym meczu nikt nikogo nie przekona i nie będzie zakończenia. Mecz toczy się w odcinkach, może zostać przerwany i zawieszony na tydzień, miesiąc lub rok, by w końcu rozgorzeć na nowo. Podczas konferencji, spotkania, na łamach gazety, periodyku, książki.

Ta wymiana perspektyw i punktów widzenia stanowi genezę tej książki, która nie będzie jednak głosem w niekończącej się dyskusji. Przyglądając się współczesnemu antyterroryzmowi i szukając dla niego optymalnych rozwiązań, stoję po prostu po jednej z tych stron. Niemniej chcę też pokazać i przybliżyć czytelnikowi świat ludzi znajdujących się za barykadą, chcę opowiedzieć o ich troskach, problemach i zmaganiach.

Na polskim rynku jest mnóstwo publikacji o terroryzmie: traktatów naukowych, popularnonaukowych śledztw czy wspomnień osób zasłużonych w walce z tym zjawiskiem. To jest inna książka.

Po pierwsze, jest to książka na tak zwanym styku. To znaczy, że nie napisał jej praktyk. Uspokajam jednak, żaden ze mnie teoretyk, choć mogę za takiego uchodzić, bo jestem naukowcem i analitykiem. Uczestnicząc w projektach naukowych i takowe prowadząc, rozmawiałem z wieloma (byłymi) terrorystami i antyterrorystami. Nie stałem się przez to praktykiem, nie mam co do tego złudzeń, ale ujrzałem inny świat niż ten wyłaniający się z odmetów archiwów lub baz danych. I właśnie o tym jest ta książka – o widzeniu świata poprzez moje doświadczenia, rozmowy, spotkania z ludźmi, którzy byli lub są członkami organizacji terrorystycznych, oraz z tymi, którzy z nimi walczą. Przez lata mojego obcowania z obydwoma grupami nasłuchiwałem się wielu historii i anegdot, a także

zgromadziłem mnóstwo doświadczeń, którymi chciałbym się podzielić. Nie mogę tego zrobić w artykułach czy pracach naukowych, ponieważ – jak zauważyłem – ich recenzenci dość nerwowo reagują na jakiekolwiek cytaty pochodzące od moich rozmówców. Wolą teorie, nowe zestawienia faktów, dopytują o moje interpretacje swoich najnowszych publikacji. A jeśli się nie dostosuję, to mogę zapomnieć o wydrukowaniu artykułów, na których przecież mi zależy, bo liczą się do naukowego dorobku.

Tych historii nie mogę też przedstawić w artykułach popularnonaukowych, bo te są zbyt krótkie i pozwalają na przemycenie jednej, co najwyżej dwóch myśli. I tyle. W książce, oferującej więcej przestrzeni, pojawia się szansa na zaprezentowanie kontekstu, a ten bywa dużo bardziej interesujący i wciągający niż to, co często wydaje nam się najważniejsze w naszych poszukiwaniach informacji na temat terroryzmu i sposobów jego zwalczania. Można przecież w nich wyjść poza oczywistości typu „znane nam znane” (*known knowns*) – jak to nazwał kiedyś Donald Rumsfeld, amerykański sekretarz obrony w czasach Busha młodszego – że „terroryzm to zło”, że „musimy ich zatrzymać!” albo że „jesteśmy na wojnie z terroryzmem”. Każde z tych sformułowań jest po trochu prawdziwe, ale warto wiedzieć, co na ten temat mówi i sądzi druga strona – terroryści. I pochylić się nad ich słowami, ponieważ dzięki temu możemy podjąć skuteczniejszą walkę z nimi.

Po drugie, nie ma tu przydługawych wstępów historycznych, rozdziału na temat definicji terroryzmu i antyterroryzmu, nie ma masy przypisów, choć tak, będę przywoływał wyniki badań kolegów zajmujących się studiami nad terroryzmem. Wszystko jednak po to, aby pokazać mikroświaty terroryzmu i antyterroryzmu, by ich dotknąć. Różnią się one od tego, jak się je przedstawia w mediach, i wychodzą poza oddziałujące na wyobraźnię sceny triumfalnego pochodu ISIS przez Bliski Wschód, koniecznie z pustynią lub ulicami Ar-Rakki, stolicy Państwa Islamskiego z palmami w tle, lub antyterrorystami szturmującymi kolejne budynki, najlepiej po desancie z helikopterów. To światy pełne zwykłych ludzi, ich wyborów, wad i zalet, zwycięstw i porażek. Często śmieszne, niejednokrotnie tragiczne. Ta książka jest zaproszeniem do wejścia w ich rzeczywistość.

Po trzecie, czytelnik dość szybko zorientuje się, że na tych kartach nie udaję i nie uciekam się do uproszczeń i uogólnień. Nie udaję, że wyjaśniam realia bliskowschodnich konfliktów. Nie ma tu wynurzeń na temat religii, która zdaniem niektórych odpowiada za całe zło współczesnego świata. Nie ma też rozważań na

temat francuskich „dzielnic biedy” będących ponoć w stanie dżihadystycznej rewolty przeciwko podobno upadłemu projektowi państwa liberalnego i wielokulturowego. Nie wchodzę także w dyskusje z twierdzącymi, że przemoc ze strony ISIS lub Al-Kaidy to wynik europejskiego kolonializmu. Nie, to byłoby za proste, równoznaczne z pójściem po linii najmniejszego oporu.

Moim zadaniem jest stawianie trudnych pytań: Kim naprawdę są terroryści? Skąd się biorą? Czym się zajmują na co dzień, kiedy już przystąpią do organizacji terrorystycznej? Jakie błędy popełniają? Ile wspólnego z rzeczywistością ma ich medialny wizerunek krwiożerczych fanatyków i radykałów? Czy organizacje, do których należą, nie są podobne do innych, często dość otwarcie funkcjonujących w naszej rzeczywistości? Jak kończy się współczesny terroryzm? Czy terroryści kłócą się ze sobą i rywalizują? Czy są innowacyjni, kreatywni w swoich działaniach? Ktoś powie, że to sprawy dość przyziemne, ale moim zdaniem ciekawsze niż kolejne historyczne analizy międzynarodowego terroryzmu, w których czytelnik po raz enty z rzędu usłyszy, że wszystko zaczęli jakobini we Francji, że łacińskie słowo *terrere* jest kluczowe i że potem nastali narodnicy w Rosji. Tu będzie o terroryzmie i terrorystach – o tym, kim i jacy są naprawdę.

Tu i teraz: nowy terroryzm?

„Trwają dyskusje i prace nad tym, czy aby przypadkiem poglądy skrajnie prawicowe nie są wynikiem choroby psychicznej. Więc może podobnie jest z poglądami dżihadystycznymi...” Słyszę i uszom nie wierzę, bo mówi to bardzo ważna osoba z Chatham House, istniejącego od prawie stu lat brytyjskiego think tanku, i na dodatek podczas ważnej konferencji na temat zwalczania terroryzmu, odbywającej się w centrum Londynu. Gdy padają te słowa, zgromadzeni wokół eksperci z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Holandii i ze Stanów Zjednoczonych kiwają głowami. „Hmm, no tak, pokładajmy w tym nadzieję. Tak, to przecież oczywiste” – zdają się mówić ich spojrzenia. We mnie wszystko się gotuje, bo przecież to kuriozum, sięgamy intelektualnego dna. Oto będę musiał bronić praw neonazistów do bycia neonazistami.

Z przerażenia pomieszanego z zażenowaniem wybawia mnie inny polski uczestnik tej ważnej konferencji, profesor Ryszard Machnikowski: „Sekundę, jak rozumiem, te deliberacje zmierzają do tego, by za chwilę utworzyć orwellowską policję myśli? Albo wyroczenie niczym z filmu *Raport mniejszości*?”.

Uśmiezki, niektórzy z uznaniem, niektórzy z politowaniem, bo jak interpretować przywołanie struktury policyjnej z *Roku 1984* George’a Orwella? Albo hollywoodzkie odwołanie do trzech Kasandr ostrzegających policję, zanim w filmie z Tomem Cruise’em zostanie popełnione przestępstwo? Dopiero co panowała powszechna zgoda, a tu nagle okazuje się, że mamy problem, ponieważ nie można tak po prostu uznać wszystkich radykałów za szaleńców?

Niektórzy będą jednak naciskać, że można, bo przecież – jak ogłosił „The Guardian”, powołując się na badania przeprowadzone przez brytyjską policję – „połowa ludzi sympatyzujących z terroryzmem może mieć problemy psychiczne lub psychologiczne”⁵. Innymi słowy, terroryści to często osoby z takimi problemami, najpierw szaleńcy, a potem czynni radykałowie. To jednak trochę lepiej niż „wszyscy radykałowie to osoby chore psychicznie”, ale powiedzmy szczerze: mamy do czynienia z nadreprezentacją osób z problemami psychicznymi i psychologicznymi wśród terrorystów. Brytyjska policja przyjrzała się pięciuset

przypadkom „osób narażonych na zwerbowanie do organizacji terrorystycznych”, czyli funkcjonujących na obrzeżach grup (komórek) planujących ataki terrorystyczne. Okazało się, że czterdzieści cztery procent z nich zostało ocenionych jako „prawdopodobnie z problemami w zakresie zdrowia psychicznego lub trudnościami natury psychologicznej”. Uznano też, że kolejne piętnaście procent może również trafić do tej grupy, jeśli przeprowadzone zostaną kolejne badania. Podsumowując, pięćdziesiąt dziewięć procent potencjalnych terrorystów ma problemy psychiczne lub psychologiczne. W teorii – dobra wiadomość pozwalająca utwierdzić się w przekonaniu, że to jednak szaleńcy i wariaci.

Pamiętam, że przez moment doznałem takiego właśnie uspokojenia. W latach 2014–2016 wraz z kolegami z Wielkiej Brytanii i Holandii uczestniczyłem w tworzeniu bazy danych dotyczących samotnych wilków czy, jak ich nazywaliśmy, „używających przemocy samotnych / solo aktywistów/aktorów”. Baza liczyła sto dwadzieścia osób – solo terrorystów działających w latach 2000–2014 na terenie Unii Europejskiej, o których próbowaliśmy dowiedzieć się wszystkiego. Gromadziliśmy też informacje o stanie zdrowia psychicznego owych samotnych wilków. Jakże byliśmy szczęśliwi, gdy okazało się, że aż trzydzieści pięć procent z nich wykazywało „zaburzenia” psychiczne. To był moment typu: „Mamy cię!”, „Eureka!”, „Wiedziałem!”. Świat stawał się prostszy, a my przybijaliśmy sobie piątki i umawialiśmy się na obławianie potwierdzenia tej teorii w najbliższym londyńskim pubie. Ktoś jednak postanowił zestawić ten wynik z danymi Światowej Organizacji Zdrowia dla Unii Europejskiej i przyszło rozczarowanie, ponieważ okazało się, że „dwadzieścia siedem procent dorosłej populacji (w przedziale wiekowym osiemnaście–sześćdziesiąt pięć lat) doświadczyło w ostatnim roku przynajmniej jednego z zaburzeń psychicznych”⁶. Czyli terroryści nie odbiegają od normy i wypracowane oraz zbadane – a przy tym wygodne – wytłumaczenie jednak nie działa? Miało być tak pięknie, a nie jest, ponieważ współczesny terroryzm okazuje się dużo bardziej skomplikowany.

To badawcze rozczarowanie to tylko namiastka problemu, z jakim zmagają się wszyscy ci, którzy chcą zrozumieć współczesny terroryzm. Szukamy prostych odpowiedzi, konkretów, a zamiast tego brniemy coraz głębiej w sprzeczności, trudności, nieporozumienia i niedomówienia. Już nam się wydaje, że mamy rozwiązanie, a tu ktoś podsuwa nam nowe dane, sygnalizuje kolejne problemy. Ale my, naukowcy, eksperci oraz inni zaznajomieni z tematem, nigdy nie chcemy po

prostu powiedzieć: nie wiem. Nie umiem, nie mam wiedzy, nie mam informacji, to są zbyt pochopne wnioski, nie upraszczajmy, nie spłaszczajmy, spójrzmy na kontekst tych wydarzeń. Takie sformułowania są niczym trąd, ponieważ ich użycie oznacza, że nie tłumaczysz ludziom rzeczywistości, piętrosisz problemy, wykręcasz się od odpowiedzi. A masz siedem sekund w telewizyjnej setce, sto czterdzieści znaków na Twitterze, jeden slajd w prezentacji PowerPoint, zanim studenci lub uczestnicy konferencji zasną. Masz kilka minut na wystąpienie przed szacownym gronem na ważnej międzynarodowej konferencji i musisz je jak najlepiej wykorzystać. Jak mawiał jeden z moich szefów: masz pałkę i musisz odbiorcę walić nią po głowie. Więc tak robimy przy okazji każdego tekstu, każdej wypowiedzi czy wywiadu. Czasami to boli i przeszkadza, bo skąd możemy wiedzieć, gdzie ISIS przeprowadzi następny atak? Nie wybuchamy jednak, snujemy jakieś rozważania, odbijamy pytania, nie odpowiadając na nie. I nic z tego nie wynika – widzownia i decydenci mają jeszcze większy mętlik w głowie, a my idziemy do domu, gdzie rozmawiając sami z sobą, możemy się upewnić, że mimo tego wszystkiego znamy prawdę. Wiemy więcej i lepiej.

Mnie nadarza się jednak świetna okazja, by powiedzieć: nie wiem. I o tym właśnie są ten i następne rozdziały. Nie wiem, jaki terroryzm nas czeka, kto założy następną Al-Kaidę ani kto stanie na czele ISIS. Na przykładzie kilku wyzwań, z którymi mierzę się ja, a także inni studiujący to zjawisko, postaram się jednak pokazać, jaki jest terroryzm tu i teraz, w połowie drugiej dekady XXI wieku.

Pierwszy problem, z którym musimy się zmierzyć, to określenie, jak „nowy” i niespotykany jest terroryzm ISIS. W teorii jest nowy, bezprecedensowy i wnosi nową jakość do dziejów przemocy politycznej. Zresztą wystarczy się rozejrzeć i zapytać: która organizacja terrorystyczna mogła zorganizować ataki w dwudziestu trzech krajach w ciągu dwóch lat? ISIS. Która organizacja terrorystyczna potrafiła dokonać „koncentrycznych” zamachów na trzech kontynentach tego samego dnia, jak to się stało 26 czerwca 2015 roku, kiedy to terroryści zaatakowali we Francji, w Kuwejcie i Tunezji? ISIS. Która organizacja terrorystyczna kontroluje terytorium i przepoczwarza się w twór quasi-państwowy? ISIS. Te pytania można mnożyć, a odpowiedź zawsze będzie brzmiała: ISIS. Bo to nowa jakość, nowy początek, transformacja.

Samo ISIS mówi jednak, że nie jest takie nowe. Wcale nie próbuje przekonywać, że istnieje od momentu ogłoszenia się latem 2014 roku kalifatem. Jego propaganda pełna jest wzmianek o przeszłości, kiedy nazywało się w ISI, czyli Islamskie Państwo Iraku (lub: w Iraku). Nie wspomina się już jego wcześniejszego wcielenia, czyli Al-Kaidy w Iraku, bo Al-Kaida i ISIS są skłócone. Pamięta się jednak jego przywódcę, Jordańczyka Abu Musaba az-Zarkawiego, który zginął w 2006 roku. Mówiąc krótko, nawet jeśli ISIS miałyby być nowe, to wyrasta z czegoś, co istniało wcześniej, zanim jeszcze w ogóle zwróciliśmy uwagę na dżihadystów w Syrii i Iraku, którzy zrzucali z dachów budynków homoseksualistów i palili żywcem jeńców w klatkach.

Do tego, jak stare jest ISIS, próbował zresztą przekonać mnie weteran polskich służb specjalnych, którego nazwisko litościwie pominę. Spotkaliśmy się na konferencji organizowanej przez Uniwersytet Warszawski w czerwcu 2015 roku. Ja opowiadałem wówczas, jak wyglądają antyterrorystyczne struktury u naszych środkowoeuropejskich sąsiadów, a ów weteran, kiedyś ważna postać w ABW, postanowił podzielić się z uczestnikami konferencji swoją drobiazgową wiedzą na temat ISIS. „To jest organizacja, która powstała w 1979 roku, nie w żadnym 2006 roku, kiedy ogłoszono Islamskie Państwo Iraku! – zagrzemiał. – My to obserwowaliśmy i widzieliśmy, co tam się dzieje”.

Szkoda, że nie dorwałem się potem do głosu, bo chętnie zapytałbym go, skąd ma takie informacje. W uszach dzwoni mi jednak komentarz Paula, analityka amerykańskiego Departamentu Obrony, którego nazwiska nie poznałem, a z którym rozmawiałem w Londynie pół roku przed konferencją w Warszawie.

„W 2006 roku ginie [Abu Musab] az-Zarkawi, jest nowe kierownictwo ISI/ISIS i wszystko im się sypie, dosłownie. Około 2008–2009 roku nie ma już o czym mówić. Ja i moi koledzy po prostu odpuściliśmy ten temat, bo widzimy, że nie ma się czym zajmować. Są aż tak słabi. W 2010 roku likwidujemy prawie całe ich kierownictwo i jest to kolejny argument, żeby się nimi nie zajmować, nie pisać analiz, nie zawracać głowy szefom. Tracimy ich z oczu i to jest nasz błąd. I potem przychodzi rok 2012, kiedy wysyłają ludzi do Syrii. Rok 2013 – kłóć się z Al-Kaidą i idą na swoje. Rok 2014 – zdobywają Mosul, miasto dwumilionowe. Ogłaszają kalifat. K...a, co to za jakieś jaja? Jak mogłem to przeoczyć? Wszyscy to przeoczyliśmy”.

Wszyscy z wyjątkiem wysokiego rangą weterana ABW, który już dawno temu wiedział, że Abu Bakr al-Baghdadi (rocznik 1971) zostanie w przyszłości kalifem, kiedy ten, jako kilkulatek w 1979 roku szedł do szkoły. Abstrahując jednak od przenikliwości weterana, jedno jest pewne: ISIS, którego „nowość” wszyscy podziwiamy, wyrasta z czegoś starego, co już było i ma około dziesięciu lat. Co więcej, jest może nawet nastolatkiem, bo jego pierwszy przywódca, az-Zarkawi, wstąpił na dżihadystyczną drogę pod koniec lat dziewięćdziesiątych w rządonym przez talibów Afganistanie, kiedy to przeprowadzono pewien eksperyment. Przywołajmy w tym miejscu fragment z książki Joby’ego Warricka *Black Flags. The Rise of ISIS*: „Niech Jordańczyk [az-Zarkawi] prowadzi swój obóz nastawiony na islamistycznych ochotników z Jordanii i innych krajów Lewantu, a także Iraku i Turcji. Al-Kaida zapewni pieniądze na rozruch, a potem będzie patrzeć z daleka, co uda się Zarkawiemu osiągnąć. Z daleka, to znaczy z dystansu około pięciuset sześćdziesięciu kilometrów, bo taka odległość dzieliła kwaterę Bin Ladena od obozu Zarkawiego, który znajdował się blisko granicy z Iranem. Zarkawi nie musi składać przysięgi na wierność Bin Ladenowi ani zgadzać się w pełni z ideologią organizacji. Ale ma dostęp do bogatych darczyńców z Zatoki Perskiej. [...] Kiedy po kilku tygodniach [Saif al-] Adel z Al-Kaidy wizytował obóz Zarkawiego, naliczył w nim osiemnaście osób. Po kolejnych dwóch miesiącach były tam czterdzieści dwie osoby, w tym Syryjczycy i Europejczycy. »Tworzyli islamskie minispołeczeństwo« – wspominał dumny Al-Adel”⁷.

To w tym „minispołeczeństwie” wszystko się zaczęło, to tam nawiązano znajomości, kontakty, zadziergnięto więzy. Nie w 2014 roku w Mosulu, gdzie po raz pierwszy publicznie wystąpił nowy kalif Abu Bakr al-Baghdadi, trzeci następcy Az-Zarkawiego na czele organizacji.

Zauważmy, że to przyzwolenie Al-Kaidy i jej pieniądze pozwoliły zaistnieć tej nowej wówczas organizacji. W 2004 roku, kiedy Az-Zarkawi przemieścił się już ze swoimi zwolennikami z Afganistanu przez Iran do Iraku, organizacja oficjalnie weszła w orbitę struktury kierowanej przez Bin Ladena i stała się Al-Kaidą w Iraku. I w teorii, przez następną dekadę, do lutego 2014 roku, nadal stanowiła część szeroko rozumianej Al-Kaidy, nawet jeśli występowała pod nazwą Islamskiego Państwa Iraku (lub: w Iraku). Gdzie tu nowość? Jak w istocie nowa jest ta wcześniej niespotykana jakość? ISIS, jak widać, nie wzięło się znikąd.

Żeby było ciekawiej, to organizacja matka ISIS nadal przecież istnieje. Owszem, parę lat temu popularne było wyśmiewanie się z przywódcy Al-Kaidy Egipcjanina Ajmana az-Zawahiriego. Podobno nie ma charyzmy i źle wypada w mediach, niczym nudny księgowy. Zresztą na nagraniach wideo często tłem Az-Zawahiriego są półki z książkami, co jest przecież takie dwudziestowieczne i nie nadaje się na Twittera, gdzie króluje ISIS. Nie trafia do zrewoltowanej muzułmańskiej młodzieży, która chce działać, a nie wysłuchiwać nudnawych wykładów starego Egipcjanina.

Ten Egipcjanin, owszem, jest stary, być może chowa się w jaskini na afgańsko-pakistańskim pograniczu i musi składać przysięgę na wierność kolejnym przywódcom talibów. Stoi jednak na czele międzynarodowej organizacji terrorystycznej ze spółką córką w Jemenie (Al-Kaida na Półwyspie Arabskim) oraz francyzami w Afryce Północnej i Zachodniej (Al-Kaida w Islamskim Maghrebie), Afryce Wschodniej (As-Szabab) i przede wszystkim w Syrii, gdzie działa Front Obrony Ludności Lewantu (Dżabhat an-Nusra/Front Dżabhat Fath asz-Szam). Ta licząca tysiące syryjskich powstańców organizacja otwarcie uznaje zwierzchność Az-Zawahiriego. I co więcej, kiedy na froncie panuje zawieszenie broni, An-Nusra rośnie w siłę, bo to do niej napływają radykałowie, którzy nie są zainteresowani rozmowami pokojowymi z syryjskim rządem prezydenta Baszszara Hafiza al-Asada. I uwaga: niektórzy z jej członków chcą ogłosić swój kalifat na obszarach kontrolowanych przez organizację w północno-zachodniej Syrii. Czy wtedy będziemy o nich dyskutować jak o nowszej nowości w naszych studiach nad terroryzmem? Wątpliwe.

Spójrzmy też na inne nowości związane z ISIS, aspekty mające oznaczać, że stanowi nową jakość w dziejach terroryzmu. Świetnie wypunktował je historyk terroryzmu Richard English, szef The Handa Centre for Study of Terrorism and Political Violence, czyli Centrum Badań nad Terroryzmem i Przemocą Polityczną, Uniwersytetu w St Andrews, kiedy na moje zaproszenie odwiedził Polskę zimą 2016 roku.

„Zemsta. Mścimy się, odpowiadamy przemocą. Tak to wygląda, to nakręca ISIS. W ten sposób motywowani są jego członkowie – mścisz się na szyickim rządzie w Iraku, alawickim w Syrii, mścisz się za kolonializm i korygujesz setki lat nieszczęsnej historii. ISIS ma na tym polu sukcesy, co tylko wzmacnia jego popularność, bo ludzie przystępują do zwycięskiej drużyny, którą nie jest już Al-

Kaida. ISIS mówi: »Możemy odpowiedzieć wrogom. Wszystkim. Pomścimy nasze krzywdy«, ale to nic nowego w historii terroryzmu. [...] Od Palestyny, przez Irlandię, Kraj Basków i tak dalej, i tak dalej. Historia ludzi, którzy poprzez działania terrorystyczne nie zmieniają w istocie sytuacji społecznej, politycznej tych, w których imieniu walczą, ale czują się dobrze, bo udany zamach terrorystyczny daje im wielką satysfakcję. [...] Idźmy dalej, ISIS kontroluje terytorium i to jest nowość, bo stanowi coś, czym inne organizacje terrorystyczne nie mogą się pochwalić. Czyżby? Myślmy o FARC w Kolumbii. A Hamas? A IRA? Kolejna rzecz – w szeregach ISIS jest pełno emigrantów, obcych, tych wszystkich zagranicznych bojowników. Tak, to te tysiące ludzi, którzy odbyli hidżrę [wędrowkę] do Państwa Islamskiego, bo nie mogli się odnaleźć w swoich krajach. Tylko że to widzieliśmy już wcześniej wśród irlandzkich radykałów, tak bardzo brytyjskich, że zmieniali nazwiska na brzmiące bardziej celtycko. [...] Nie mylmy nowych mediów i tego, jak ISIS skutecznie ich używa z ich domniemaną, a nie zawsze obecną, nowością, nowatorskością. Owszem, rekrutują ludzi do dżihadu przy użyciu tych nowych mediów, ale podobnie było i w przeszłości. Kiedyś jednak używano ulotek, komunikatów, książek. Dziś wykorzystuje się tweety, komentarze, lajki na Facebooku, narzędzia, które – uwaga – za dwadzieścia lat też pewnie będą uchodzić za archaiczne. I wtedy może też powiemy, że oto narodził się nowy terroryzm, a on wcale nie będzie nowy, lecz tylko przyswoi sobie nowe, nowoczesne narzędzia. Zresztą, przypomnijmy sobie to z historii – lata osiemdziesiąte XIX wieku, anarchiści używający dynamitu i ci wszyscy naokoło, którzy mówili: »O mój Boże, świat już nigdy nie będzie taki sam, bo oni mają tę nową broń!«. Albo rok 1972 i atak na izraelskich sportowców podczas igrzysk olimpijskich w Monachium. I znowu: »O mój Boże, teraz terroryści mają po swojej stronie telewizję, opanują świat!«. Nie, to się nie stanie, choć ludzie mówią, że ISIS nadchodzi i zatriumfuje. To samo mówiono pod koniec XIX wieku o anarchistach. A potem o Palestyńczykach, gdy ci porywali samoloty, o Al-Kaidzie. [...] Tak, ISIS nie zniknie, ale jak w przypadku każdej odnoszącej sukcesy organizacji terrorystycznej jego powodzenie będzie fluktuować [...]. ISIS nie stanowi zagrożenia egzystencjalnego. Może zmiany klimatyczne tak, ale nie ISIS. To absurd. Czy oni są tak groźni jak naziści? Nie, absolutnie nie. To nie ta skala”.

To, jak bardzo ISIS stanowiło kiedyś zagrożenie innej skali, oddaje komentarz żony Abu Hamzy al-Muhadzira, przywódcy organizacji po śmierci Az-Zarkawiego.

Miała ona zapytać męża: „Gdzie jest to Islamskie Państwo Iraku, o którym mówisz? Mieszkamy na pustyni!”⁸. Owszem, ISIS odnosiło potem wielkie sukcesy, ale to nie znaczy, że tak będzie zawsze. Krótko mówiąc, następcy Az-Zarkawiego nie znaleźli cudownego leku na stanie się nieśmiertelnymi i są podobni do innych grup zbrojnych, terrorystycznych czy rebelianckich. Nadużyciem byłoby mówić, że nie ma w nich niczego nowego, ale przypisywanie im nadludzkich mocy lub permanentnej zdolności tworzenia historii jest grubą przesadą.

Tu i teraz: radykałowie czy kryminaliści?

Kiedy już uporamy się z domniemaną nowością terroryzmu ISIS, natychmiast pojawia się kolejny problem: pochodzenie terrorystów i powody, dla których stosują oni przemoc. Skąd się biorą i jakie są ich motywacje? I tu też do niedawna coś zakładaliśmy i czegoś byliśmy pewni, ale nagle pojawiają się nowe dowody, badania, wyniki stawiające na głowie wcześniejsze prawdy objawione. Podobnie jak z tą nowością, która, jeśli przyjrzeć się jej bliżej, okazywała się nieco przebrzmiała. Wydaje nam się, że wiemy, skąd się biorą terroryści (getta, dzielnice biedy, na przykład we Francji), co ich motywuje (radykalny islam albo „antykolonializm”), ale czy rzeczywiście mamy rację? Czy cała nasza wiedza w tej dziedzinie opiera się na mocnych fundamentach, czy może na improwizacji i własnych, subiektywnych odczuciach?

Jeśli to drugie, to naukowcy śpieszą z odsieczą, oferują obiektywną wiedzę na temat terroryzmu i terrorystów. Dwójka amerykańskich uczonych zbadała grupę znanych z nazwiska około pięciuset „islamskich ekstremistów”, czyli mówiąc inaczej – terrorystów. I okazało się, że dziewięćdziesięciu trzech z nich ma za sobą studia inżynierskie⁹. Konkluzja? Inżynierowie są bardziej podatni na islamistyczną propagandę, ponieważ czują się zawiedzeni panującą w ich krajach społeczno-polityczną oraz gospodarczą sytuacją. Nie mogą realizować swoich ambicji zawodowych ani planów życiowych, a że posiadają pewne umiejętności przydatne w sianiu terroru (zwłaszcza chemicy) i wyrobioną podczas studiów samodyscyplinę, to stają się uznanymi i skutecznymi terrorystami. *Inżynierowie dżihadu* – taki tytuł ma ich książka. Być może jest to cenne badanie, ale czy wyjaśnia nam terrorystyczną rzeczywistość drugiej dekady XXI wieku?

Inni naukowcy szukają rozwiązań makro i katalogują (samemu zdarzało mi się to robić) incydenty terrorystyczne, ofiary, aresztowania. Są to twarde fakty, które mają pozwolić nam na zrównoważoną, obiektywną ocenę terroryzmu i umieszczenie go w należywym miejscu w katalogu zagrożeń. Mają także pomóc w opisywaniu i zgłębianiu go jako fenomenu nie tylko kryminalnego czy politycznego, lecz także społecznego, bo dają nam informacje o terrorystach:

miejscu ich pochodzenia, daty urodzenia, zawodu wyuczonego i wykonywanego i tak dalej. Niestety, jak mówił mi Jack, znajomy policjant z Irlandii Północnej, nie stanowią one jednak wyczerpującej odpowiedzi na nasze pytania.

„Te bazy danych są potrzebne, ale nie mówią wszystkiego. W mieście, z którego pochodzę w Irlandii Północnej, co noc członkowie organizacji uznawanej za terrorystyczną [jeden z odłamów IRA] coś robią: strzelają, rzucają koktajlami Mołotowa, podkładają jakiś ładunek wybuchowy. Noc w noc. Dosłownie. Jednak aktywność ta nie znajduje odzwierciedlenia w statystykach. Dlaczego? Bo nie pisze o tym nawet nasza prasa, a jak nie ma tego w gazetach, to w Stanach Zjednoczonych ludzie tworzący bazy danych na pewno nie odnotują tych incydentów na swoich arkuszach Excela. Nie mam o to pretensji, bo ja wiem o tym tylko dlatego, że jestem z miasta, gdzie jakaś dawna frakcja IRA jest ciągle aktywna. Pomyśl jednak – skoro ja widzę, że moje statystyki nie są ścisłe, to co mają powiedzieć ludzie w Pakistanie, Kolumbii, Iraku, Syrii? Zresztą stamtąd dociera do nas znacznie mniej wiadomości niż z Europy i tym samym statystyki dotyczące terroryzmu są nieprecyzyjne. A jeśli są nieprecyzyjne, to czy nasza odpowiedź na to zjawisko jest odpowiednia? Nasze jego rozumienie pełne? Nie sądzę”.

Jeszcze gorzej ocenia sytuację Ruairi, dawny członek IRA i znajomy z Belfastu, który na każdym kroku ociera się o towarzyszy z dawnych czasów, którzy podobno też mają być nieaktywni: „Ktoś, kto mówi, że dana organizacja nie istnieje, nie ma pojęcia o rzeczywistości. Owszem, nie dochodzi do zamachów, nie ma spektakularnych działań, ale jak trzeba, to »coś« się dzieje i dzieć będzie. Co? To jak obrona terytorialna. Popatrz, na takiej a takiej ulicy mieszka dużo członków tej organizacji. Nie sympatyków i nie byłych członków, tylko ludzi, którzy nadal się w to bawią. I czasami są podszczypywani przez chuliganów drugiej strony [północnoirlandzkich protestantów]. Jakaś rzucona cegła, wybita szyba w samochodzie i tym podobne. Kiedy to się powtarza, jeden z chłopaków bierze broń i w wieczornym telewizyjnym *prime time*, między dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą, wali serią w powietrze na środku głównej ulicy tego osiedla. Po co? Żeby wszyscy, i jego ludzie, i sąsiedzi, i sympatycy, ale też kolesie z drugiej strony, co to właśnie skradają się na jego osiedle, by spuścić mu powietrze z kół, to usłyszeli. Żyjemy, jesteśmy, będziemy. Czuwamy. Widzimy was. Cóż to innego jak

nie aktywność organizacji zbrojnej, którą niektórzy nazywają terrorystyczną? I znajdziesz informacje o tym w tych wszystkich bazach?”.

Smutnego obrazu terrorystycznej rzeczywistości badanej przez setki naukowców, ekspertów, analityków dopełnia arcybaza, którą rok w rok tworzy się w Europolu. To tam spływają dane ze wszystkich państw członkowskich Unii Europejskiej, a ich obróbka ma dać owoce w postaci wspólnej europejskiej percepcji zagrożenia terrorystycznego. Ma ona mieć oparcie w faktach, a nie być wynikiem subiektywnych odczuć czy zgadywanek. Niestety, tu także pojawiają się problemy, ponieważ, jak zauważył inny mój rozmówca, Eric z francuskiego ministerstwa spraw wewnętrznych: „Mamy te statystyki, te liczby, które znajdziecie w raportach Europolu. I co z nich wynika? Że największym zagrożeniem dla Europy są separatyści. Korsykańscy separatyści! A mamy drugą dekadę XXI wieku! Dlaczego Korsykanie? Bo są aktywni, bo dokonują wielu ataków i w ten sposób napędzają statystyki. Nikogo nie zabili, nie osiągnęli żadnego deklarowanego przez siebie celu, ale podkładają bomby. Są to wprawdzie bomby wielkości batonika Mars, ale ta bombka wybucha i mój kraj klasyfikuje taki incydent jako terroryzm. I puff, wychodzi na to, że Korsyka to siedlisko terrorystycznego zła. Zapomnij o dżihadystach, oni są nieważni”.

Patrzymy na coś, a nie zauważamy tła, kontekstu, bo owszem, dżihadyści mogą dokonywać niewielu ataków, ale te, które udaje im się przeprowadzić, są często nieporównanie bardziej spektakularne niż działania innych terrorystów inspirowanych religią, etnonacjonalistów i separatystów, lewicowców i anarchistów, prawicowców (terminologia Europolu). Nasza krótkowzroczność nie ogranicza się jednak wyłącznie do organizacji terrorystycznych, ich członków, aktywności, pochodzenia i tym podobnych. Tak samo dzieje się z tak zwanymi zagranicznymi bojownikami, czyli osobami, które od 2012 roku zaczęły wyjeżdżać na Bliski Wschód, by wziąć udział w konflikcie w Syrii, często, jak się potem okazuje, w szeregach organizacji uznawanych przez nas za terrorystyczne. To są setki, o ile nie tysiące, osób z różnych europejskich krajów, tamtejsi muzułmanie, sunnici z pierwszego, drugiego lub trzeciego pokolenia, którzy wyjechali walczyć z antysunnickim, ich zdaniem, reżimem prezydenta Asada. Nie są jednak jedynymi zagranicznymi bojownikami obecnymi na liniach frontu w tej wojnie, bo przecież w kurdyjskich szeregach walczą tam także Europejczycy i Amerykanie,

a w szeregach, nazwijmy to, proasadowskich, jest jeszcze jedna grupa takich ochotników.

Ich badaniem zajmuje się David, pełen energii ekspert amerykańskiego Departamentu Stanu: „Wszyscy mówią o dżihadzie sunnitów. Mówią o zagranicznych bojownikach, którzy pojechali walczyć pod sztandarami syryjskich grup rebelianckich. A co z szyitami? Co z bojownikami, których tysiącami wysyła do Syrii Iran, szyicka teokracja? Co z tymi z Afganistanu, Iraku, Iranu, Libanu? Są ich tysiące, walczą po stronie prezydenta Asada i mają wsparcie w postaci specjalnych numerów telefonów, na które możesz dzwonić i zgłaszać się na dżihad. Dosłownie. Dzwoniłem na nie i to jest coś niesamowitego – odpytują cię z podstaw szyizmu, wypytują o adres, o kontakty, kto może za ciebie poręczyć. A jeśli coś wzbudzi ich podejrzenie, natychmiast odkładają słuchawkę”.

Podsumujmy: Iran, jeden ze sponsorów międzynarodowego terroryzmu, wysyła ochotników, by walczyli z ochotnikami, którzy dołączają do organizacji terrorystycznych (ISIS, An-Nusra) uczestniczących w wojnie domowej w Syrii. Terrorysta przeciwko terroryście w międzynarodowym pojedynku na innym kontynencie, ale z możliwymi konsekwencjami dla szeroko rozumianego Zachodu. I jak tu się nie pogubić, jak nie utonąć w gąszczu interpretacji i reinterpretacji?

Kiedyś wszystko było prostsze, świat wydawał się czarno--biały. Terroryzm uchodził za działalność przestępczą i to ci, którzy na co dzień zwalczają przestępczość, stawali do walki z Czerwonymi Brygadami, Frakcją Czerwonej Armii, Irlandzką Armią Republikańską, Ilichem Ramíresem Sánchezem, nazywanym „Carlosem” oraz „Szakalem”, palestyńskimi porywaczami samolotów. „Ci terroryści za wszelką cenę będą chcieli wcielić w życie swoją determinację do dezorganizacji społeczeństwa – mówiła w 1981 roku Margaret Thatcher i zaraz dodawała, że terroryzm nie ma nic wspólnego z polityką. – Nie ma czegoś takiego jak morderstwo polityczne, polityczny zamach bombowy, przemoc polityczna. Jest tylko kryminalne morderstwo, kryminalny zamach bombowy i kryminalna przemoc” – uważała ówczesna brytyjska premier. To zamykało dyskusję. Z terroryzmem się walczy, fizycznie. Bez niuansów, a już za szczyt finezji uchodziło przyzwalanie na to, by terroryści stawali się tak zwanymi *pentiti*, czyli skruszonymi byłymi członkami organizacji terrorystycznych, którzy wyrzekali się przemocy i poszli na współpracę z policją, służbami, prokuraturą w zamian za skrócenie wyroku czy włączenie ich w coś na kształt programu ochrony świadków

koronnych. To był prawdziwy przewrót kopernikański, bo nagle okazało się, że terrorystów można nie tylko zamykać w więzieniach, lecz także z nich wypuszczać i jeszcze pomagać im w organizowaniu „życia po życiu”.

Prawdziwą zmianę przyniósł jednak dopiero początek XXI wieku i odkrywanie, że terroryzm to nie coś obcego, egzotycznego, importowanego, na przykład z Bliskiego Wschodu, lub ograniczonego do środowiska skrajnie lewicowych lub nacjonalistycznych radykałów, których wystarczy inwigilować, by zapobiec kolejnym próbom zamachów. Oto na początku poprzedniej dekady zaczęto w Europie Zachodniej dostrzegać coś nowego: domorosły terroryzm. Sytuacje, w których pozornie normalni ludzie, muzułmanie, radykalizowali się i stawali przepelnionymi żądzą zemsty dżihadystami. Radykalizacja była procesem społecznym, „socjalizacją prowadzącą do ekstremizmu i ostatecznie – do terroryzmu”¹⁰. Pomagali w tym bliscy, przyjaciele, członkowie rodziny o podobnych poglądach lub ludzie szumnie nazywani przez media inicjatorami lub rekruterami, wprost zachęcającymi do terroryzmu. Taki rekruter nierzadko był weteranem dżihadu w Afganistanie, Bośni, Czeczenii, Iraku i tak dalej, miał większą wiedzę religijną, należał do środowiska islamistycznych radykałów i z powodów indywidualnych stawał się dla adepta „świętej wojny” kimś ważnym, punktem odniesienia.

Za przykład niech posłużą zamachowcy, którzy 7 lipca 2005 roku dokonali ataków w Londynie. Ich przywódca, urodzony w Wielkiej Brytanii Mohammad Sidique Khan, miał wówczas trzydzieści lat i był pracownikiem socjalnym, który wykorzystywał swoją pracę do budowania własnej komórki terrorystycznej.

„Khan był menedżerem tej komórki terrorystycznej i to on zrekrutował innych jej członków [...]. Ten syn imigrantów z Pakistanu odniósł relatywny sukces w życiu zawodowym i prywatnym. Ożenił się w 2001 roku, a wcześniej, w 1996 roku, podjął studia z dziedziny zarządzania na Leeds Metropolitan University. Podczas studiów pracował na pół etatu jako pracownik społeczny, na uniwersytecie poznał także swoją żonę [...]. Po studiach, od marca 2001 roku do listopada 2004 roku, pracował jako doradca uczniów z Hillside Primary School. Potem odszedł z powodu częstych nieobecności”¹¹.

Krótko mówiąc, owszem, był mentorem młodych chłopców ze środowisk imigranckich, ale zamiast pomagać im w zaadaptowaniu się w nowej rzeczywistości, sprowadzał ich na drogę dżihadyzmu. „Wasze demokratycznie

wybrane rządy dokonują okropieństw przeciwko muzułmanom na całym świecie. Skoro ich popieracie, stajecie się bezpośrednio za to odpowiedzialni. Tak jak ja jestem bezpośrednio odpowiedzialny za ochronę i pomszczenie moich muzułmańskich braci i sióstr” – mówił Khan na wideo nakręconym przed zamachami z 7 lipca 2005 roku i wysłanym przez Al-Kaidę do mediów dwa miesiące później. I tu pojawiał się problem. W którym momencie ten człowiek zamienił się w radykała i islamistycznego mściciela? Kto za tym stał, kto mu pomógł się zradykalizować? Jak mogliśmy ten fakt przeoczyć? I wreszcie, to najważniejsze i nieodzowne – może ci, którzy walczą z terrorystami, robią coś złe? Coś im umyka, czegoś nie widzą? Może już nie wystarczy rozbijać ugrupowania terrorystów poprzez aresztowania, bo nawet nie wiadomo, kto miałby być aresztowany?

Oczywiście, część odpowiedzi znajdowała się na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowej, gdzie na początku XXI wieku Zachód pod przywództwem Stanów Zjednoczonych interweniował dwukrotnie. To o tych interwencjach, w Afganistanie i w Iraku, mówił Khan w swoim nagraniu wideo. To one stanowiły paliwo dla radykalizacji jego poglądów. I tu nasuwało się rozwiązanie – wycofajmy się z tych miejsc, a terroryzm zniknie. Nie ma paliwa, samochód nie jedzie, a my nie mamy problemu. To błędne rozumowanie, bo nie same interwencje stanowiły problem dla domorosłych dżihadystów. Problemem, powiadają niektórzy, była kolonialna historia Zachodu, jego dominująca pozycja gospodarcza, kulturowa, polityczna, jego sukcesy i bogactwo. Tego nie da się wymazać gumką, a takie właśnie żądania mieli dżihadyści spod znaku Al-Kaidy. Chcieli kapitulacji Europy i Stanów Zjednoczonych, posypania głów popiołem i fizycznego odwrotu ze świata muzułmańskiego – politycznego, gospodarczego, kulturalnego, każdego. To były i są żądania nie do spełnienia, ale w realiach „globalnej wojny z terroryzmem” przekonywały niektórych zachodnich muzułmanów i muzułmańskich konwertytów. W procesie przekonywania pomagały dziesiątki, jeśli nie setki, weteranów dżihadów w Afganistanie, Algierii, Bośni, Czeczenii, którzy osiedli w Europie.

„Napływ dżihadystów do Europy [zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych XX wieku] był po części elementem strategicznej kalkulacji grup zbrojnych, które potrzebowały spokojnych tyłów do walki z reżimami na Bliskim Wschodzie. Był też jednak koniecznością, ponieważ wielu dżihadystom groziła kara więzienia w ich krajach i mieli oni trudności w znalezieniu schronienia gdzieś indziej.

Dżihadyści tworzyli swego rodzaju wyalienowaną część rosnącej islamistycznej »sceny« w Europie, na którą składała się cała gama aktywistów zmuszonych do ucieczki na Stary Kontynent w charakterze azylantów, robotników, studentów, nielegalnych imigrantów. Większość tych islamistów miała za sobą typowe doświadczenia imigranckie. Z reguły osiadali w krajach, które niegdyś posiadały muzułmańskie kolonie zamieszkałe przez muzułmanów, takich jak Wielka Brytania, Francja, lub miały bliskie związki z krajami muzułmańskimi, jak Niemcy [...]”¹².

To właśnie ci aktywiści włączali takich ludzi jak Khan i ich adeptów do istniejących sieci dżihadystycznych, które w Europie zbierały pieniądze i organizowały ochotników na kolejne „święte wojny”, między innymi w Iraku po 2003 roku, a zwłaszcza w Syrii od 2012 lub 2013 roku. To oni sprawili, że Khan i jego następcy zaczęli się radykalizować. I to oni pomagali przekształcać zwykłych ludzi w członków Al-Kaidy, a potem także ISIS. I co gorsza, okazywali się dość skuteczni, bo jak publicznie przyznawali przedstawiciele służb specjalnych Zjednoczonego Królestwa, radykalizacja owocowała tym, że brytyjski kontrwywiad MI5 miał pełne ręce roboty w związku ze śledzeniem tysięcy islamistycznych radykałów na terenie kraju. „Khanów” było za dużo, czego dowodem są zamachy z 7 lipca 2005 roku, dokonane przez ludzi będących w obszarze zainteresowania MI5, ale nie pod ciągłą obserwacją, ponieważ na to Brytyjczycy nie mieli dość środków. Terrorysty po prostu przemknęli im między palcami. Dwa tygodnie później, 21 lipca 2005 roku, kolejna grupa dżihadystów spróbowała powtórzyć sukces Khana i jego komórki terrorystycznej. Tym razem skończyło się to kląpą, ponieważ zamachowcom nie udało się zdetonować przygotowanych bomb, a jeden salwował się ucieczką przebrany za kobietę. Nie zmienia to jednak faktu, że także Brytyjczycy nie zdołali wcześniej zidentyfikować ich jako terrorystów.

Katastrofa z 7 lipca i domorosły charakter komórki terrorystycznej Khana stanowią ważną cezurę w europejskim postrzeganiu terroryzmu. Odtąd do głosu zaczęła dochodzić mantra radykalizacji i deradykalizacji, czyli „zdobywania serc i umysłów” osób zagrożonych wciągnięciem do organizacji, grupy lub sieci terrorystycznej. Już nie tylko aresztowania, procesy, długoletnie więzienie służyły likwidacji zagrożenia. Odtąd wszystkie elementy państwowej maszyny miały

wykonywać pracę w tym obszarze i dokładać swoją cegiełkę do rzeczywistego rozbrajania potencjalnego terroryzmu, zanim stanie się on terroryzmem w pełnym tego słowa znaczeniu. Uznano, że to problem społeczny, więc do walki z tym zjawiskiem zaangażowano wszystkie instrumenty społeczne i państwowe. Warto zwrócić uwagę na jedną rzecz: domorosłych terrorystów uznano za radykałów, którzy muszą jednak podjąć liczne działania, by stać się przestępcami dokonującymi na przykład zamachów bombowych. A więc najpierw zwykły człowiek, potem radykał, a na końcu wyposażony w broń radykał, czyli już kryminalista i terrorysta. Chodziło o to, by interweniować jeszcze przed ostatnim etapem, kiedy to po naszego radykała trzeba będzie wysłać uzbrojonych po zęby antyterrorystów.

Historia najnowsza zna jednak mnóstwo przypadków, kiedy ten schemat nie zadziałał i nie dał ludziom zwalczającym terroryzm odpowiedniej metodologii antyterrorystycznej. Przykładem niech będzie Larossi Abballa, który podczas turnieju Euro 2016 we Francji zamordował policjanta i jego żonę, składając przy tym przysięgę na wierność przywódcy ISIS. Już wcześniej Abballa znalazł się na radarze francuskich służb specjalnych, trafił nawet na dwa lata do więzienia za „spisek kryminalny zmierzający do podjęcia działań terrorystycznych”. Czyli *de facto* związki z nieodpowiednimi osobami, terrorystami, z którymi najprawdopodobniej przygotowywał się do wyjazdu na dżihad do Pakistanu i Afganistanu. Jako że Abballa był najmłodszy ze spiskowców, trafił do więzienia jedynie na dwa lata. Gdy wyszedł na wolność, pozostawał pod obserwacją, ale pół roku po jej zakończeniu dokonał wspomnianych morderstw. Albo miał szczęście, albo doskonale rozpracował policjantów, którzy inwigilowali go od wyjścia z więzienia. Co więcej, najprawdopodobniej uległ dalszej radykalizacji, kiedy korzystał z uroków francuskiego systemu penitencjarnego. I tu pojawiają się pytania: Może niepotrzebnie trafił za kratki? Może zamiast karać go za plany wyjazdu na dżihad i przyłączenie się do organizacji terrorystycznej należało go, no właśnie, leczyć? Resocjalizować? Nawracać? Stał się tymczasem jednym z setek „terrorystycznych” więźniów i po latach wrócił, żeby się zemścić. Z radykała przemienił się w zbrojnego radykała, czyli terrorystę.

Słowo „radykalizacja” odmieniano przez wszystkie przypadki podczas prób opisu zjawiska terroryzmu w Europie w ostatnich dziesięciu latach. Nie wszyscy podzielali brytyjskie podejście i chęć „zdobywania serc i umysłów”, ale każdy

mówił o radykalizacji. Że to problem, że nie wiadomo, jak jej przeciwdziałać, że są różne szkoły, że radykałowie byli, są i będą. Nie podważano jednak dogmatu procesu radykalizacji, samej ewolucji zwykłego obywatela w dżihadystę. Pamiętajmy – najpierw radykał, potem kryminalista. Druga dekada XXI wieku zaczęła jednak przynosić argumenty przeczące tej linearnej logice. Bo co w sytuacji, w której europejscy terroryści najpierw zostawali kryminalistami popełniającymi pospolite przestępstwa, a potem dopiero, często w akcie odkupienia swoich win, stawali się radykalnymi islamistami? I tak bardzo chcieli odpokutować, że wykorzystywali swoje *stricte* kryminalne umiejętności do dokonywania aktów terroru? Krótko mówiąc, przeczyli teorii o radykalizacji prowadzącej ich na złą drogę. Oni już wcześniej znaleźli się na tej drodze, a pod wpływem radykalnego islamizmu jedynie nieco z niej zbczyli. Przestępcami byli jednak wcześniej. Było jeszcze gorzej, bo nagle przypominano też sobie, że podobne przypadki, o zgrozo, miały miejsce także wcześniej – oto Dżamal Ahmidan, numer dwa w komórce, która odpowiadała za krwawe zamachy Madrycie z 11 marca 2004 roku (191 zabitych), był dealerem narkotyków. To w więzieniu spotkał dżihadystów i tam przeszedł proces radykalizacji.

Współcześni dżihadyści są młodszy, nie radykalizują się w długim procesie, którym kierują organizacje terrorystyczne. Stanowią „rój”, zdecentralizowany twór niemający hierarchii i struktury organizacyjnej, ale poruszający się w tę samą stronę. Za ten ruch odpowiadają struktury poziome, to znaczy nie przywódcy czy liderzy, ale przyjaciele, osoby o podobnych poglądach, sąsiedzi, członkowie rodziny, którzy nakierowują członków „roju” na cele i mobilizują ich do skutecznego działania¹³.

Alain Grignard, komisarz w departamencie antyterrorystycznym belgijskiej policji, przyznał, że dla niego „roje” to „w dużym stopniu przedłużenie fenomenu śródmiejskich gangów”. Młodzi muzułmanie mający już za sobą rozmaite działania przestępcze łączą się z ISIS w „supergangu”. „Super”, bo często życie tych ludzi nie ma nic wspólnego z tym słowem. Zdaniem Grignarda nie są oni żadnymi „produktami” powstałymi z nauczania Koranu albo z jego zniekształcenia. „To nie są islamiści-intelektualiści z długimi brodami [...]. To nieudacznicy z gett, którzy są bardzo wkurzeni na [...] społeczeństwo”. A więc najpierw pojawia się złość, do której dodawany jest pierwiastek islamski. I co ciekawe, jest on wyrażany na sposoby, które nie mają wiele wspólnego z tradycyjnym, salafickim islamem^[1].

Oto rekruci ISIS przyłączają się do tej organizacji, ponieważ jej członkowie są dla nich często jak „idole [...]”. Tacy jak kiedyś The Beatles, a ostatnio One Direction i Justin Bieber¹⁴. I choć pięknie śpiewającego wokalistę zastępuje bojownik ISIS z linii frontu w Syrii, to mechanizm pozostaje ten sam – podążasz za swoim idolem, naśladujesz go, chcesz być taki sam. To jest jak moda.

W jaki sposób rodzi się taka fascynacja bojownikiem ISIS? Być może niewiele potrzeba, bo choć nie jesteś radykałem, to już stałeś się człowiekiem wycofanym, funkcjonującym na marginesie społeczeństwa jako kryminalista i wyrzutek, a dżihad to prostu kolejny znaczek w twoim klaserze kontestacji. Nowa forma wyrazu. Krótko mówiąc, to, z czym mamy do czynienia, to nie radykalizacja islamu, bo ci ludzie ani nie są, ani nie stają się radykałami, lecz islamizacja istniejącego już radykalizmu. Przecież europejscy rekruci ISIS są już radykalni jako przestępcy, nihilści, kontestatorzy¹⁵. Ci radykałowie to członkowie szerszej młodzieżowej rewolty „przeciwko społeczeństwu, wyartykułowanej poprzez islamską religijną narrację dżihadu. To nie jest rewolta muzułmańskiej społeczności będącej ofiarą biedy i rasizmu”¹⁶. Owszem, ci radykałowie są sfrustrowani, ale nie są szaleńcami ani wariatami, nie byli także zaangażowani politycznie.

Jak uważa Olivier Roy, guru francuskich badaczy islamu, są to „małe braterstwa superbohaterów, którzy bronią muzułmańskiej wspólnoty”, głównie wyobrażonej, ponieważ nie uczestniczą w jej życiu. Z kolei ta nieznanostwość muzułmańskich realiów wynika z odrzucenia przez nich islamu ich rodziców, którego nie znoszą, uważają za słaby, usidlony, udomowiony. I to przeciwko niemu, po częstych własnych poszukiwaniach, się buntują. Są drugim, już zwesternizowanym pokoleniem muzułmanów, „mówiącym lepiej po francusku niż ich rodzice. Są uczestnikami tej samej kultury młodzieżowej co ich rówieśnicy – pili alkohol, palili trawkę, flirtowali z dziewczynami w nocnych klubach. Duża część z nich ma za sobą odsiadkę w więzieniu. I potem, dokonali oni (re)konwersji, wybrali salaficki islam”¹⁷.

Czy to, co pisze Roy, tak duże uogólnienie, ma sens? Czy to rzeczywiście zjawisko na skalę makro, które w tak prosty sposób można spłaszczyć i sprowadzić do nowej młodzieżowej rewolty? Z taką interpretacją po części zgadza się David Thomson, człowiek, który z aptekarską dokładnością kataloguje motywacje i powody przyłączenia się Francuzów do idei globalnego dżihadu, ostatnio firmowanego przez ISIS. Jego zdaniem dżihadyści należą do tego samego

pokolenia, ale „ich profile społeczne są bardzo zróżnicowane [...]. Jeśli jest jakaś rzecz, która ich łączy, to świadomość, że wcześniej trwali w stanie *jahiliyyah* – ignorancji, nieświadomości boskiego przewodnictwa [...]. Wszyscy mówią o niepobożnym życiu, przed konwersją [...]. Tym, co jeszcze ciągle powraca, jest powszechna frustracja. Dżihadyzm to dla ego takich ludzi osiągnięcie prestiżowego statusu bohatera sunnickiego islamu”¹⁸.

Słowa Thomsona potwierdza brytyjski dżihadysta Amer Deghayes, który w Syrii walczył w szeregach związanej z Al-Kaidą An-Nusry. Mówi on tak: „Czuję, że robię coś cennego i ważnego w porównaniu z tym, gdybym nadal tkwił w Brighton [miasto w południowej Anglii, w którym osiadła rodzina Deghayesa] i wiódł normalne życie, miał zwyczajną pracę”¹⁹. Przygoda, samorealizacja, satysfakcja. Zupełnie jak w przypadku tysiąca innych aktywności, dziedzin życia, z którymi stykamy się na co dzień. Pamiętajmy jednak, że podobnie jak nas, tak i przyszlých członków ISIS lub Al-Kaidy napędzają różne impulsy.

Według Thomsona „pewną rolę odgrywa także element indywidualnych doświadczeń. Dla niektórych to efekt bycia częścią mniejszości, co ma umiejscawiać ich w pozycji gorszej od tej, z której korzystają członkowie społeczności większościowej [rdzenni mieszkańcy Europy, chrześcijanie]. [...] Ich frustracja miewa także podłoże religijne, bo przykładowo najpierw zwrócili się do kwietystycznego, niewojowniczego salafizmu i słyszeli, że nie mogą go praktykować z powodu na przykład francuskiego sekularyzmu. Dla nich oznacza to tyle, że prawo stanowi instrument wymierzony w islam jako całość [...]. Inni mówią o własnych obawach i traumach, które poprzedziły proces refleksji, niemal objawienia i konwersji [...]. Niektórzy doświadczyli przemocy seksualnej, byli świadkami morderstw, poważnych chorób, ofiarami nadużywania narkotyków, prostytutki, braku i/lub porzucenia przez rodzica/ów [...]. W tym sensie ideologia przywraca wiarę w przyszłość jako raj po życiu ziemskim, daje poczucie wyższości nad niewiernymi i pozwala na renesans poprzez członkostwo w społeczności wybranych [...]. Ale są też inne wyjaśnienia – nuda [...]. Dżihadyzm staje się więc sposobem na odnalezienie sensu życia”²⁰.

Wydawać by się mogło, że podobne doświadczenia znajdziemy w innych społeczeństwach, a ich ofiary niekoniecznie zwracają się ku organizacjom terrorystycznym. I, co ważniejsze, tych poszczególnych małych motywacji jest tyle i są tak zróżnicowane, że trudno tu mówić o młodzieżowej rewolcie. Wielu

realizuje swój młodzieńczy bunt poprzez dżihadyzm, ale setki tysięcy, o ile nie miliony, nie mają z tym nic wspólnego. Pomyślmy o kolegach terrorystów z Paryża i Brukseli, towarzyszach zabaw z podwórka. Oni się w to nie wciągnęli, nie wyjechali na dżihad i nie wrócili, by dokonać aktów terroru u siebie w domu. To nie oni są bohaterami tej książki ani też setek reportaży i artykułów, ale warto o nich pamiętać. Nikt nie mówi, że są bez skazy, ale istnieją i zaprzeczają generalizacjom, które wytwarzamy my wszyscy, próbując opisać terroryzm. Thomson sam zresztą uśmierca różne generalizacje, kiedy mówi:

„Dla zrozumienia motywacji tych domorosłych dżihadystów trzeba wyjść poza kontekst francuski [...]. Weźmy Tunezję. Społeczeństwo jest muzułmańskie, krajem współrządzi islamistyczna partia Ennahda i nie ma islamofobicznych impulsów większości przeciwko mniejszości, których mogli doświadczyć przyszli dżihadysty z Francji. A jednak sześć tysięcy Tunezyjczyków przystępuje do ISIS w Syrii, Iraku i Libii. To są ci sami Tunezyjczycy, którzy wcześniej próbowali dostać się przez Lampedusę do Europy [...]. Ich nadzieje i oczekiwania się zmieniły – oddalają się od rajy materialnego i podążają w stronę rajy niebiańskiego. Wśród nich są różni ludzie – młodzi lekarze, artyści, sportowcy, wcale nie sami bezrobotni”²¹.

I tu w naszych rozważaniach pojawia się trzeci – po nowości terroryzmu i dylemacie dotyczącym pochodzenia terrorystów – problem: co robić z tymi specjalnymi przypadkami zrewoltowanych młodzieńców, którzy podążają do różnych rajów i których bardzo często nic oprócz tego nie łączy? Co ich czeka?

Tu i teraz: co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?

Częstą reakcją na pytania o dalsze losy zrewoltowanych i podążających do raju młodzieńców jest jedno słowo: więzienie, czyli miejsce, gdzie wielu z nich trafiło za pospolite przestępstwa. Miejsce, w którym ulegli radykalizacji i przepoczwarzyli się z radykałów-kryminalistów w radykałów-islamskich ekstremistów. I znowu bardzo ważną rolę w tym procesie odgrywają inni ludzie z otoczenia bohaterów tej książki, zwłaszcza ci z dżihadystycznym doświadczeniem, którzy kiedyś walczyli w Afganistanie, Algierii, Bośni, Czeczenii, Iraku, Libii, Syrii, a potem zajmowali się rekrutacją lub przygotowaniem ataków na terenie Europy. Za kratkami często stają się prawdziwymi watażkami, niemal bossami. Na przykład Dżamel Beghal. Na swojej więziennej ścieżce spotkał przyszłych zamachowców z Paryża z 7 stycznia 2015 roku, którzy dokonali masakry w redakcji tygodnika „Charlie Hebdo”. Podczas odsiadki został „gwiazdą [...]”. W zamian za obietnicę pomocy w utrzymywaniu spokoju na terenie więzienia, jeden z jego dyrektorów pozwolił mu na prowadzenie modłów na spacerunku i udzielanie więźniom ślubów w pokojach odwiedzin”. Dlaczego? „Bo wystarczyłoby, by pstryknął palcami i natychmiast na terenie więzienia wybuchłyby zamieszki”²².

Teraz wyobraźmy sobie, że takich Beghalów jest w więzieniach we Francji około dwustu. Tylu bowiem więźniów, jak podaje francuski wymiar sprawiedliwości, ma związki z organizacjami terrorystycznymi. Fakt, nie każdy ma charyzmę Beghala, nie każdy owinie sobie wokół palca współwięźniów, ale wielu z racji swoich koneksji i osiągnięć terrorystycznych może liczyć na poważanie. I potem mogą ruszać na łowy, a jest gdzie, bo chociażby wśród tych osiemnastu tysięcy więźniów, którzy poszczą w czasie ramadanu (co jednoznacznie identyfikuje ich jako muzułmanów), a na nich przypada mniej niż dwustu więziennych imamów. W tę pustkę wchodzi Beghal i jemu podobni, to oni stają się autorytetami i to oni niosą kaganek dżihadyzmu między więzienny lud. Co więcej, mają pomocników, ponieważ kolejne dwa tysiące więźniów uchodzi za zradykalizowanych, choć niekoniecznie bezpośrednio związanych z organizacjami

terrorystycznymi. Te dwie grupy, weterani i radykałowie, są jak wirus, który atakuje zdrowe lub nieowładnięte chorobą komórki w organizmie więziennej populacji we Francji.

Aby chronić te komórki, stosuje się dwa rozwiązania. Pierwsze polega na komasowaniu wszystkich „zarazonych” pod jednym dachem i izolowaniu ich od reszty. Drugie – na rozproszeniu ich po więzieniach w całym kraju, by uniemożliwić im wspólne planowanie ataków i spisków terrorystycznych, które mogliby przeprowadzić po wyjściu na wolność. Żadne rozwiązanie nie jest idealne, a dowodów na to dostarczają przykłady z przeszłości, związane z innym terroryzmem. Rozwiązanie centralizacyjne stosowali Brytyjczycy wobec więźniów z północnoirlandzkich organizacji terrorystycznych. Wszyscy oni siedzieli w jednym kryminale, Maze niedaleko Belfastu. Seamus, były członek IRA, z którym rozmawiałem przy kawie w hipsterskiej kawiarni w centrum Belfastu, tak wspomina swój pobyt w tym miejscu: „Tam byli wszyscy, wszyscy przewijali się przez te mury. Można powiedzieć: batalion IRA za kratkami, batalion, który się szkolił, trenował, przygotowywał, edukował politycznie. To była integralna część naszej organizacji. W innym skrzydle Maze siedzieli członkowie lojalistycznych oddziałów śmierci [protestanckich organizacji paramilitarnych i w istocie terrorystycznych walczących z IRA]. Wszyscy nosiliśmy swoje ubrania, dbaliśmy o wspólną przestrzeń w swoich skrzydłach, mogliśmy swobodnie poruszać się między celami. I wszystko było do załatwienia – książki, telefony, papierosy, alkohol. Seks z małżonką, która przyszła w odwiedzinie? Proszę bardzo. Owszem, byliśmy w więzieniu fizycznie, ale na pewno nie do końca i nie psychicznie”.

Widząc, jak się mają sprawy w Maze, Hiszpanie poszli w drugą stronę i rozrzucali członków baskijskiej ETA po wszystkich więzieniach w całym kraju. Dzięki temu ludzie ci mieli małe szanse, by zradykalizować współwięźniów i nawrócić ich na baskijski nacjonalizm. Niestety, działania te często podlegały krytyce obrońców praw człowieka, ponieważ hiszpańskie władze nie potrafiły się powstrzymać przed celowym i demonstracyjnym przetrzucaniem baskijskich więźniów z Bilbao do tak odległych miejsc od Kraju Basków jak Malaga, Sewilla czy Badajoz. Krótko mówiąc, Hiszpania za bardzo i zbyt nieudolnie starała się zohydzić członkom ETA więzienne życie. W końcu zaczęło także brakować więzień – w każdym siedzieli baskijscy terroryści i siłą rzeczy musieli w nich na siebie wpadać, co oznaczało, że mogli się spotykać i wspólnie knuć.

W XXI wieku przed dylematem więziennym stanęli Amerykanie – w Iraku. Nie do końca panowali nad więziennymi populacjami, które były stale zasilane przez setki kolejnych aresztowanych, często w operacjach przypominających sowieckie *zaczystki*, łapanki. W teorii podejrzanych o terroryzm, a w praktyce – ludzi złapanych w sieci zastawione przez amerykańskich wojskowych i po prostu osadzonych w więzieniach bez sprawdzenia, czy zrobili cokolwiek złego. „Byłeś w okolicy zamachu, znasz zamachowca, byłeś w jego domu, kiedy po niego przyszliśmy? Spojrzałeś na mnie krzywo na punkcie kontrolnym? Dziękuję, pójdiesz z nami” – opisywał tamtą rzeczywistość Scott, oficer amerykańskich oddziałów specjalnych, którego spotkałem na konferencji w San Diego w 2009 roku. „Potem ci ludzie trafiali na przykład do Abu Ghraib, a tam zbyt wielu więźniów pilnowała jakaś gromada chłystków, rezerwistów z żandarmerii, którzy nie radzili sobie z tym wszystkim – liczbą aresztowanych, presją związaną z wojną. Odgrywali własne fantazje na więźniach, odreagowywali własne frustracje. To było jak trawestacja eksperymentu Zimbardo^[2]. Oni w ogóle nie powinni się tam znajdować, nie mieli kwalifikacji, ale dano tym młodym żandarmom władzę. Jak wiadomo, robili oni sobie zdjęcia z więźniami, zmuszając ich do pozowania w upokarzających dla nich sytuacjach. Potem to wyciekło i stało się najlepszym argumentem na rzecz przystąpienia do Al-Kaidy w Iraku, bo to ona dawała Irakijczykom iluzję szansy odpłacenia nam pięknym za nadobne”.

Jak już wcześniej zauważyłem, to zemsta napędza organizacje terrorystyczne i wskutek nakręcającej się spirali terroru następowało kolejne zapełnianie więzień, bo choć Amerykanie odeszli od metod *zaczystkowych*, to więźniów wcale nie ubywało. Stawały się one „miejscem spotkań i networkingu dla dżihadystów”. W Camp Bucca na południu Iraku przebywało piętnaście tysięcy więźniów, w tym około tysiąca trzystu islamistycznych radykałów. Niektórzy z nich chcieli, by ich aresztowano. Douglas Stone, *de facto* szef więziennictwa w Iraku w latach 2007–2009, wspomina, że ludzie ci „pozwalali na to, żebyśmy ich złapali, a potem prosili o umieszczenie w konkretnych obozach, blokach, w których przebywali już członkowie Al-Kaidy”. Co ciekawe, nie odgradzali się od innych więźniów, aktywnie uczestniczyli w życiu więziennym i rekrutowali kolejną grupę terrorystów. Nie uszło to uwadze Amerykanów, którzy nie byli jednak w stanie powstrzymać tego procesu przy tak dużej liczbie więźniów. Generał Stone skomentował to następująco: „Jeśli chcesz zbudować armię, to więzienie świetnie

się do tego nadaje. Zapewniliśmy im opiekę medyczną, dentystyczną, karmiliśmy ich i co najważniejsze – powstrzymaliśmy ich i ochroniliśmy przed śmiercią w walce”²³. W efekcie członkowie Al-Kaidy – po wymianie doświadczeń z kolegami, których spotkali za kratami, zaopatrzeni w adresy nowych punktów kontaktowych i numery telefonów – po opuszczeniu więzień wracali do gry. Krwawej gry, którą do dziś ISIS prowadzi na całym świecie. Być może więzienie umożliwiło im wejście na wyższy szczebel w drabince terrorystycznej ewolucji – przestali być lokalną czy regionalną organizacją i sięgnęli gwiazd, stając się „kalifatem” z globalnymi ambicjami, którego członkowie i sympatycy przeprowadzają zamachy na różnych kontynentach.

Sposobem na zakończenie więziennego dylematu ma być nowe, francuskie, ale też belgijskie i holenderskie podejście do sprawy. Niegdyś Francuzi, idąc za przykładem Hiszpanów, rozsyłali więźniów po kraju. Teraz grupują ich w specjalnie skonstruowanych „oddziałach [...]”, na które trafi dwudziestu niebezpiecznych ekstremistów [...]. Środki przeznaczone na konstrukcję i utrzymanie tych oddziałów zawstydzają resztę francuskiego systemu penitencjarnego. Więźniowie znajdują się pod nadzorem większej niż zwykle liczby strażników, przeszkolonych z podstaw salafizmu, będą ich odwiedzać socjologowie, psychologowie i historycy, by przekonywać, że sny o średniowiecznych kalifatach to mrzonka. Na co dzień grafik osadzonych ma być wypełniony warsztatami teatralnymi, dyskusjami politycznymi i lekcjami w szkole więziennej – czytanie i pisanie dla najśłabszych, japoński dla zaawansowanych intelektualnie. A ci, którzy nie zareagują pozytywnie na ten program, zostaną z powrotem zesłani do regularnego więzienia [...]. Nie są to wcale najniebezpieczniejsi więźniowie [...]. Są uznawani za niebezpiecznych, ale można ich uratować, choć nikt nie wie, czy tak jest na pewno”²⁴.

Równolegle trwają działania zmierzające do izolowania najgroźniejszych. Dobrym przykładem jest tutaj Holandia oraz więzienie Nieuw Vosseveld, z którego pracownikami miałem okazję rozmawiać. Są to ludzie bardzo skoncentrowani, asertywni, z dystansem do siebie i do tego, co robią. Zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw, które czyhają na nich za murami, i jak groźni są ci, których przyszło im obserwować. Jak powiedziała mi więzienna lekarka, „w Nieuw Vosseveld istnieje specjalne skrzydło, w którym przebywa osiem osób, w tym Mohammed Bouyeri, zabójca reżysera Theo van Gogha [Bouyeri zamordował van

Gogha, znienawidzonego przez islamistów za film *Submission* [Podporządkowanie], kiedy ten 2 listopada 2004 roku jechał w Amsterdamie na rowerze do pracy]. On ani trochę nie zmienił poglądów, nie ma w nim krzty żalu za to, co się stało. To ten sam człowiek, może nawet jeszcze bardziej radykalny. Ktoś taki funkcjonujący w normalnym środowisku więziennym...? Nie, to nie do pomyślenia. Za duże ryzyko”.

Jeśli to za duże ryzyko, to co musi się dziać w głowie Bouyeriego, skoro nie może on liczyć na lekcje japońskiego i filozoficzne dysputy z gośćmi odwiedzającymi jego oddział? „Więźniowie są obserwowani za pomocą kamer. Prawie cały dzień spędzają w celach. Gdy je opuszczają, każdemu towarzyszy kilku strażników, są stale w kajdankach. Spacerują odbywają się w klatkach z metalowymi kratami ze wszystkich stron, także nad głowami, by nikt nie mógł zostać odbity przy użyciu helikoptera. Kontakt z innymi więźniami jest bardzo ograniczony, widzenia tylko przez szybę. Po każdej wizycie uwięziony jest przeszukiwany, zarówno wewnątrz [usta i miejsca intymne], jak i zewnątrz”²⁵.

Taki los czeka terrorystów, którzy trafią do więzienia, gdzie personel będzie ich niezwykle skrupulatnie obserwować i kontrolować. Nie dotyczy to jednak ich kamratów, którzy pozostali na wolności. A co oni robią, czym się zajmują, jak wygląda ich dzień? Warto poświęcić temu chwilę, zanim przejdę do kolejnych etapów omawiania fenomenu człowieka z małą bombą.

Codzienna codzienność

– Szanowni państwo, jestem bardzo zawiedziony. Bardzo. – Prowadzący zajęcia mówi tonem księdza wygłaszającego kazanie, ale jego słowa powodują, że podnosimy głowy znad zeszytów, gazet, książek, niepotrzebne skreślić. „Będzie ciekawie” – myślimy i wlepiamy w niego wzrok, analizując mowę ciała i czekając na ciąg dalszy.

– Niedawno dostałem tę książkę – w górę wędruje leżące dotąd na biurku tomiszczce – i jestem zawiedziony. Jest źle, słabo, to w ogóle są jakieś jaja. Zresztą, jak państwo widzą, ta rzecz ma w podtytule coś z „infiltrowaniem Al-Kaidy”. I super, człowiek coś tam zinfiltrował. Spędził w ich szeregach mnóstwo czasu, siedział z nimi, rozmawiał, no, po prostu był tam. I tu jest problem. Bardzo duży problem, bo ci goście zajmują się dziwnymi rzeczami. Całymi godzinami siedzą i rozmawiają o Proroku, modlą się, medytują niemalże. Dywagują, co wolno, co jest islamskie, a co jest zakazane i jak na to reagowałby Prorok i jego towarzysze. Rozumieją mnie państwo? Widzę, że nie – konstatuje wykładowca, a my naprawdę nie wiemy, o co mu chodzi. I co z tego, że to jest dziwne? Opowiada nam o fundamentalistach islamskich, terrorystach i myśli, że grają w piłkę i popijają alkohol?

– OK, to trochę perspektywy porównawczej – kontynuuje swój wywód niezrażony i zarazem rozbawiony prowadzący. – A jak zachowują się inni terroryści, co porabiają na co dzień, w czasie wolnym? Jak państwo myślą? Robią to samo, co ci goście z Al-Kaidy? Nikt nie wie?

– Pewnie nie... – wyrywa się koledze.

– Bravo! Pewnie, że nie, bo mają inne rzeczy na głowie. I to nie są nudy, co to, to nie. Mogę was zapewnić. Taki Andreas Baader z Frakcji Czerwonej Armii lub Baader-Meinhof, jak kto woli, to nic innego, tylko kobiety, wino, śpiew. Rozumieją państwo? Imprezy, zabawa, alkohol. Jak studenci – mówi wykładowca, śmiejąc się, i my też wybuchamy śmiechem. – Ale już zupełnie poważnie, istnieje niesamowita różnica, jak dzień i noc, w tym, co robią, czym się interesują, zajmują terroryści

typu A i terroryści typu B. I wcale nie ma w ich codziennych czynnościach zbyt dużo terroryzmu. Jest mnóstwo innych rzeczy.

Słowa te usłyszałem jakieś trzynaście lat temu podczas zajęć z profesorem Ryszardem Machnikowskim, najwybitniejszym znawcą tematyki terrorystycznej w naszym kraju. Wypowiadając je, profesor dotknął kluczowych kwestii: Czym w istocie są organizacje terrorystyczne? Co robią ich członkowie? Jak się zachowują? Na jakich zajęciach upływa im czas? Media pompują informacje o ich akcjach zbrojnych, zamachach, ale to przecież nie składa się na ich codzienność. Niektóre organizacje dokonują ataku raz w roku, bo muszą go najpierw zaplanować, przygotować i w końcu przeprowadzić, a po drodze napotykają dziesiątki problemów mogących te przygotowania opóźnić, skomplikować lub przerwać.

Szukałem odpowiedzi na te pytania wśród byłych terrorystów, których poznałem. Nie robili na mnie wrażenia krwiożerczych wariatów, a już na pewno nie supermenów tajności, skrytości czy demonów logistyki i planowania. To byli raczej zwyczajni ludzie, czasem nawet interesujący i przyjemni. Nie ma mowy, by spędzali cały czas na obmyślaniu kolejnych ataków. Dawny członek egipskiej Grupy Islamskiej, która dokonała między innymi masakry turystów 18 listopada 1997 roku w tak dobrze znanym w Polsce Luksorze, kiedy to zginęły sześćdziesiąt dwie osoby, pracuje w think tanku. Wygląda jak przeciętny Egipcjanin z tamtejszej klasy urzędniczej: grafitowy garnitur, biała koszula, ogolony, nieco przysadzisty. Mówi spokojnie, cicho, jest skoncentrowany na rozmówcy, ale chętnie wdaje się w dyskusje, nie ma najmniejszych problemów, by przyjmować argumenty kogoś takiego jak ja. Jest krytyczny wobec swojej przeszłości i swojej dawnej organizacji. Żartuje, w jego komentarzach pobrzmiewa nuta sarkazmu, tego egipskiego humoru, dzięki któremu Egipcjanie znoszą kolejne trudności i przeciwności losu fundowane im przez sklerotyczny i nepotyczny reżim wojskowy.

Nieco inny jest pewien naukowiec, a dawniej członek organizacji dżihadystycznej w Wielkiej Brytanii, którego wszędzie pełno i wydaje się szybszy od wiatru. Wyrzuca z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego i usiłuje za wszelką cenę znajdować się w centrum zainteresowania; wciska ci więc swoją wizytówkę, pragnie twojej uwagi i uwagi. Biegał po kuluarach konferencji, na której się poznaliśmy, i wyglądał na kogoś, kto nie odpuści żadnego kontaktu,

wymiany uwag, uścisku dłoni. I bez końca promował swoją książkę, mówił o niej, wspominał i do niej nawiązywał. To ma być krwiożerczy terrorysta?

Jeszcze innych wrażeń dostarcza człowiek, który kiedyś o mało nie zabił Margaret Thatcher, podkładając bombę w hotelu w Brighton, gdzie mieszkali delegaci na konferencję Partii Konserwatywnej. Premier zginęłaby, gdyby w chwili wybuchu nadal znajdowała się w łazience, z której wyszła kilka minut wcześniej. Jej niedoszły zabójca to dziś powolny w ruchach, spokojny starszy pan chodzący o lasce. Wita się ze mną i ciepłym głosem komplementuje naszych wspólnych znajomych z Belfastu. „Dobry, starszy wujek, którego dawno nie widziałem” – taka myśl przechodzi mi przez głowę. I znowu zwątpienie: „No tak, ten człowiek był w organizacji terrorystycznej, ale nikt mnie nie przekona, że także w tamtych czasach w wolnych chwilach planował sprawienie hekatomby swoim przeciwnikom”. Podobne wrażenie odniosłem, gdy jeszcze inny dawny terrorysta uciszał swoje małe dziecko podczas rozmowy telefonicznej ze mną, a potem przerwał ją, oświadczając, że właśnie śpieszy się na basen, gdzie maluch uczy się pływać. „To się nie dzieje – pomyślałem – coś tu nie gra”.

Nie grało także wtedy, gdy *de facto* przywódca największej terrorystycznej organizacji w Europie, liczącej tysiące ludzi UDA (Stowarzyszenia Obrony Ulsteru), która kiedyś próbowała walczyć z IRA, podjął mnie herbatą i spoglądając na mnie, stwierdził, że „wyglądam na pogodnego młodzieńca”. Zbladłem, bo wydawało mi się, że to jakaś kpina, tymczasem on mówił poważnie i spędziliśmy uroczę czterdzieści pięć minut, gawędząc o jego historii „w organizacji”. Każde zdanie zaczynał od „ja”, „według mnie”, „jeśli o mnie chodzi”. Zresztą w podobny sposób zachowywali się wszyscy wyżej wymienieni. Ludzie ci dobrze wiedzą, że mają w zanadrzu ciekawe historie, że w naturalny sposób znajdują się w centrum uwagi i inni po prostu łakną ich opowieści. Zależy im na dziennikarzach, specjalistach od terroryzmu, historykach, którzy wyjdą z siebie, by ich hołubić, dopieścić, przytulić. Coś nas wszystkich do nich ciągnie, coś nas w nich elektryzuje.

Opowieść o tym, czym zajmują się terroryści, warto zacząć od pewnego rozróżnienia. Inaczej bowiem będą się zachowywać członkowie liczących po dwadzieścia osób grup skrajnie lewicowych, skupiających się głównie na tym, by nie zostały rozbite aresztowaniami, a inaczej organizacje nacjonalistyczne

i separatystyczne, których nadrzędnym celem jest stworzenie nowego państwa. Te drugie mają ogromne ambicje i mnóstwo różnorodnych zadań dla swoich „żołnierzy”. Jeszcze inaczej zachowują się dżihadysty, zamknięci w obozach szkoleniowych Al-Kaidy lub patrolujący ulice Ar-Rakki. Nie ma jednak jednego wzorca narzuconego odgórnie, w terroryzmie nie ma reguł, profili charakterologicznych lub osobowościowych terrorysty. Owszem, jest między nimi mnóstwo podobieństw, ale i milion różnic. Jedno jest pewne – terroryści spędzają mnóstwo czasu na czynnościach nieterrorystycznych, niemających wiele wspólnego z przemocą, zamachami, morderstwami.

Oczywiście jeśli przeczytać wspomnienia niektórych dżihadystów, tych, którzy trafili do obozów treningowych, w tym prowadzonych przez Al-Kaidę w Afganistanie, to okaże się, że całe dni spędzali na szkoleniach – broń, taktyka, materiały wybuchowe i bieganie, bieganie, bieganie. Niektórzy w kamizelkach kuloodpornych, bo zwierzchnicy kazali im szybko pozbyć się zbędnych kilogramów. Do tego recytacja Koranu, wspólne czytanie klasyków dżihadyzmu. Istnieje jednak także druga strona medalu. Thomas Hegghammer, norweski ekspert od tematyki terrorystycznej, bada, czym zajmują się tacy ludzie, i dochodzi do zaskakujących wniosków. Okazuje się, że dżihadysty płaczą, bywają wręcz ckliwi lub mają obsesję na punkcie małych i uroczych kociąt. „Pomyślmy o dżihadystach w terenie, w obozach szkoleniowych, gdzieś na Bliskim Wschodzie albo w Azji Południowej – mówił podczas wykładu na Uniwersytecie w St. Andrews, na którym miałem okazję być. – Mają więcej możliwości i potencjalnie ogromny wybór czynności, które mogą wykonywać. Spędzają dużo czasu na modlitwach i innych praktykach religijnych, ale nie ogranicza to ich kreatywności i elastyczności odnośnie rekreacji i wypoczynku. Mam na myśli sport [przypomina się fascynacja siatkówką wysokiego Osamy bin Ladena] i inne formy wspólnego spędzania czasu – dzielenie się różnymi opowieściami czy przypowieściami, recytacje wierszy, interpretacja snów, wspólne gotowanie, sprzątanie obszarów komunalnych, oglądanie materiałów wideo i przesłuchiwanie materiałów audio”.
Uzbrojone harcerstwo?

– Harcerstwo? – pyta mnie David, brytyjski policjant, który ostatnie dwadzieścia lat spędził na śledzeniu i zatrzymywaniu różnej maści ekstremistów, w tym dżihadystów. Siedzimy w londyńskim pubie, on po służbie, zrelaksowany, szykuje się do emerytury, swojego „życia po życiu”. – Nie, to nie harcerstwo, to

coś innego. To znaczy miewa z harcerstwem coś wspólnego, że jest trochę niezdarne, nieporadne, ale jednocześnie przerażające. Harcerstwo, bo chcą, próbują, a mnóstwo rzeczy im się nie udaje, bo za dużo gadają. Oni po prostu spędzają mnóstwo czasu na pierdołach, rozumiesz?

– Mhm...

– No, no, na przykład – mówi, machając rękami w górze niczym tonący w jeziorze albo na basenie – filmują swoje cele, tak?

– Jasne, standardowa praktyka terrorystów.

– Niby tak, ale komentarze nie wydają się tu szczególnie potrzebne, co nie? – Policjant jest teraz wyraźnie rozbawiony. – Dosłownie. „O, tu te niewierne świnie się bawią, a kiedyś, jak Bóg da, my ich tutaj pozabijamy”. Oni to mówią, na taśmie, rozumiesz? Albo jeszcze inni, my ich podsłuchujemy, a oni rozprawiają o celach, bombach, ładunkach, omawiają taktykę swoich zamachów. Spędzają na tym mnóstwo czasu. Razem, siedząc na kanapie, oglądają wiadomości, filmy, wspólnie się nakręcają. Ktoś powiedziałby, że się radykalizują. Tak, być może tak, ale to jest mechanizm społeczny – jestem w grupie, grupa idzie w tę stronę, a ja? Trzeba mieć wielkie ego i charakter, żeby pójść w inną, żeby się postawić.

– A stawiają się? – pytam z nadzieją.

– Ci, co siedzą na tej kanapie, oglądają razem wiadomości i są już wyselekcjonowani? Nie, ci się nie stawiają, ale to nie znaczy, że wszyscy wezmą udział w planowanych zamachach albo że dołożą cegiełkę do ich przygotowania. Są częścią „sceny”, rozumiesz? No, środowiska, ale to dzieli się na kilka podgrup. Jego jądro stanowią terroryści, ludzie, którzy z sukcesami lub bez nich sięgną po broń, materiały wybuchowe. Oni spędzają razem czas, jakiś mądrała powiedziałby, że się socjalizują, przeżywają różne rzeczy razem, nie tylko te wiadomości. Gadają o tym, a potem zamawiają pizzę albo chcą obejrzeć ulubiony program w telewizji. Potem mają wyrzuty sumienia, bo czy im wolno? – kończy z uśmiechem człowiek, który aresztował i przesłuchiwał wielu terrorystów.

– To jest świat równoległy?

– I tak, i nie. Tak, bo mentalnie są gdzie indziej, ale też nie, bo tak samo jak zwyczajni ludzie mieszkający w Wielkiej Brytanii pobierają zasiłki, robią zakupy w tych samych miejscach, jeżdżą komunikacją miejską i tak dalej. Są tutaj. Mają telefony, komputery, samochody. I co ważne – to często przyjaciele, kumple, ale też

członkowie tych samych rodzin, kuzyni, bracia. Tak jest łatwiej wejść w to środowisko. Ufasz swoim, nie musisz się ukrywać, wiesz, że możesz być z nimi bardziej szczerzy. Może cię potem nie wydadzą, gdyby zaczęły się kłopoty?

Brytyjczyk trafił w sedno. W środowisku obserwującym tych „harcery” od lat zwraca się uwagę na rodzinę i więzy łączące poszczególnych terrorystów. Nie są to więzy przypadkowe, ale kształtujące się latami, jeszcze długo przed tym, nim zwykli ludzie stali się terrorystami. Dowody? Trzysta na tysiąc dwieście osób z włoskich Czerwonych Brygad miało kogoś z rodziny w środowisku skrajnej, często zbrojnej lewicy. I to właśnie krewni wprowadzali bliskich w kolejne stopnie terrorystycznego wtajemniczenia. Z kolei całej organizacji przewodziło małżeństwo.

Nie inaczej jest z dżihadystami. Zamachowcy, którzy zaatakowali redakcję „Charlie Hebdo” w Paryżu w 2015 roku, byli braćmi i to bracia brali udział w paryskich zamachach z 13 listopada tego samego roku (jeden z nich porzucił jednak pas szahida i przez kolejne cztery miesiące ukrywał się w Brukseli), dwaj bracia zaatakowali belgijskie lotnisko Zaventem i brukselskie metro 22 marca 2016 roku, kiedy to zginęło trzydzieści pięć osób. Wielu, według niektórych nawet jedna trzecia, walczących w Syrii i w Iraku pod sztandarami ISIS ma rodzinne związki z dżihadem – poprzez krewnych, którzy wcześniej uczestniczyli w tym lub innym konflikcie, małżeństwo czy znajomość z innymi terrorystami. Dodajmy do tego wyjazdy grupowe na Bliski Wschód, to znaczy niemal wycieczki, korowody znajomych z określonych miast, dzielnic Francji, Wielkiej Brytanii, Belgii, które od 2013 roku ciągnęły do Turcji, a stamtąd przez granicę prosto do grup zbrojnych działających na terenie Syrii. I powiedzmy na koniec, że te wyjazdy często miały charakter rodzinny, bo oto konkretny rekrut ISIS zabierał ze sobą żonę i dzieci, chcąc przenieść swoje życie do prawdziwie islamskiego kalifatu. Terroryzm nie był więc koniecznym nowym życiem, ale kontynuacją starego w nowej formule, choć z dawnymi znajomymi i kontaktami. To było zerwanie z przeszłością, ale już niekoniecznie wyrzeczenie się wszystkich czynności i aktywności rodzinnych, społecznych, rekreacyjnych podejmowanych przez terrorystów w przeszłości. Więzów, które czasem pomagają, bo dzięki nim Salah Abdeslam, jeden z dziesiątki zamachowców z Paryża z listopada 2015 roku, mógł przez cztery miesiące ukrywać się w Brukseli, ale też przeszkadzają, bo któryś z jego kontaktów zdradził go policji, co doprowadziło do jego spektakularnego aresztowania.

Z podobnym dylematem musieli zmagać się w przeszłości także członkowie greckiej skrajnie lewicowej Organizacji Rewolucyjnej 17 Listopada (17N). W latach 1975–2000 członkowie 17N zabili ponad dwadzieścia osób, w tym amerykańskich, brytyjskich i tureckich dyplomatów oraz przedstawicieli służb specjalnych pracujących pod przykrywką dyplomatyczną. W przypadku tej niedużej organizacji terrorystycznej więzy te przez wiele lat działały na jej korzyść. W ścisłym kierownictwie znajdowało się dwóch braci, a część członków łączyły bliskie, rodzinne i przyjacielskie relacje, często zawiązane w czasach poprzedzających powstanie 17N. Bliskość, dyscyplina i lojalność pozwoliły grupie przetrwać w podziemiu przez prawie trzy dekady.

– Ale ta ich siła była także powodem ich zguby – podkreśla Nikos z dowództwa operacji antyterrorystycznych greckiej policji.

Jesteśmy w Belgradzie, mieście wymarzone do relaksu i zabawy, ale też, jak się okazało, do dyskusji o terroryzmie. Sączymy okropne serbskie piwo, a ja chłonę opowieść o nieuchwytnych europejskich i zarazem „ostatnich czerwonych” terrorystach (to tytuł książki o nich).

– Oni prowadzili normalne życie, bo zobacz, jakie było tempo ich operacji. Jedna, dwie rocznie, i to żeby jeszcze. OK, było ich niewielu, nie mogli robić więcej, ale to jest właśnie to: znamy się, ufamy sobie, rekrutujemy tych, których chcemy, sami się do nich zwracamy. Nie dążymy do otwierania się na nowe środowiska, nie interesuje nas organizacja masowa. Przy okazji żyjemy normalnie, ale też kręcimy się na uczelniach, wśród studentów, wypatrujemy „zdolnych” robotników, którzy mogliby nas wesprzeć. Dużo czasu poświęcamy swoim rekrutom – Nikos wyraźnie wchodzi w rolę – urabiamy ich, przygotowujemy, później sprawdzamy. I wszystko im wychodzi! Nikt w żaden sposób nie może ich złapać.

– Ale w końcu w 2002 roku wpadli? Dlaczego?

– Bo byli leniwi. Jak ci wszystko wychodzi, to nic nie zmieniasz, prawda? Wierzysz w swoją szczęśliwą gwiazdę. I tak właśnie było z nimi. Nie pilnowali się tak bardzo, jawnie się spotykali, już pomijam ich manifest, w którym napisali do policji: „znajdźcie nas, jeśli potraficie”. No, wyobraź sobie, my tu siedzimy w knajpie, prawda? – ekscytuje się. – Oni zachowywali się jak wszyscy Grecy. Tawerny, te sprawy, jedzenie, alkohol. Siedzisz w takiej tawernie i nie wiesz, że tam obok są goście z 17N. Po co tak ryzykowali? Tracisz czujność, już ci się nie

chce, zostawiasz ślady. I popełniasz błędy. Tak jak ta bomba, którą szykowali latem 2002 roku. Coś poszło nie tak, członek organizacji został ranny i od niego, jak po sznurku, trafili do wszystkich, wyławiając jednego po drugim z ich normalnego życia – kończy Nikos.

Jest jeszcze postscriptum do tej historii. W 2014 roku jeden z członków 17N uciekł z pilnie strzeżonego więzienia i... wrócił do normalnego życia. Mieszkał w Atenach, wynajmował mieszkanie i nadal obracał się w kręgach „rewolucyjnych”. Nie zmieniał sposobu swojego wcześniejszego funkcjonowania. Po niemal roku został aresztowany, gdy jechał na rowerze, co trudno uznać za oznakę przynależności do organizacji terrorystycznej. Podobnie jak inną aktywność – zakupy, podczas których w centrum Belfastu spotykam Seana Murraya, domniemanego szefa IRA. Przechadza się jak gdyby nigdy nic, jest najspokojniejszym i najszcześniejszym człowiekiem na świecie, błogo nieświadomym rzucanych na niego ukradkiem spojrzeń.

O organizacjach terrorystycznych i ich członkach wiele można się dowiedzieć w barach. Tak, to tam właśnie spodziewałem się spotkać członków IRA, ale tym razem wpadłem na kogoś innego – człowieka, który przyjechał do Irlandii po odsiadce w więzieniu w innym kraju.

– Kto to był? – prawie dławię się drinkiem, a znajomy irlandzki dziennikarz wybuchając głośnym śmiechem. Właśnie wskazał palcem na mężczyznę wychodzącego z pubu, w którym spędzaliśmy piątkowy wieczór, i zapytał, czy wiem, kim on jest.

– Ten, który wcześniej siedział obok nas przy barze? Zielona kurtka? – dopytuję.

– José Ignacio de Juana Chaos. Mówi ci to coś? – Pytanie brzmi jak cios, prawie wyrok.

– Ten gość z ETA? Skazany na trzy tysiące lat więzienia i wyszedł po... – szukam w głowie liczby.

– Coś koło dwudziestu latach. No, to już wiesz, kto to był. Kolega z ETA, krwawej baskijskiej organizacji terrorystycznej, która istnieje do dziś, ale pewnie liczy dwóch, może trzech gości i ich psa, choć kiedyś to było coś. Ten pan przyjechał tu do kolegów z IRA, *capiche*? Czemu? Bo to jest wspólnota.

Wspólnota taka, że oni, podobnie jak my, walczą o wolność, więc w związku z tym trzeba sobie pomagać. Nadążasz? Zuch. I teraz uważaj. Wszyscy, gazety, radio, telewizja, pisali i mówili w przeszłości, że ETA i IRA to w ogóle jedna sitwa, za którą stoi Kaddafi. Wyobrażasz to sobie? Ten bałwan z Afryki, ten pajac od namiotu, co go sobie kazał ustawiać w Paryżu przed spotkaniem z Sarkozym. No i uważaj dalej. To jest *bullshit*. Oni się spiknęli inaczej i później. Jak IRA się zaczęła rozbierać, myśleć o tym najpierw, ale to oczywiście zaraz zostało ujawnione, to Baskowie się z jednej strony wku....i, ale paru z nich postanowiło przyjrzeć się tematowi bliżej. I tak to jakoś wyszło, że koledzy z Sinn Féin^[3], czyli IRA w garniturach – puszcza oko snujący opowieść irlandzki dziennikarz – zaczęli jeździć do Bilbao, do Basków. Spotykali się też na międzynarodowych konferencjach, w Parlamencie Europejskim i tak dalej. Kumasz? Nawet nie musieli się specjalnie starać, świat się zmniejszał i to się stawało łatwe. Kiedy IRA się rozbrajała, a Sinn Féin rosła w siłę i zdobywała kolejne procenty w kolejnych wyborach, to goście z ETA, przynajmniej niektórzy, zapragnęli tego samego. Myśleli: „K...a, mają taki piękny proces pokojowy, nie siedzą w pierdlu, są politykami, koszą kasę. A my co? To my tkwimy w tym kiciu, udajemy, że dzięki terroryzmowi coś osiągniemy, a i tak kończy się jak zwykle. Cały świat zaczyna na nas patrzeć jak na jakichś jaskiniowców”. A Irlandczycy też poczuli pismo nosem i chcieli pomóc tamtym się rozbroić, stać się zwolennikami pokoju, takie sruty-pierduty, tak? Wyobrażasz sobie coś takiego? Oni, mordercy z IRA, pomogą tym z ETA przejść na jasną stronę mocy. No to pomogli. Zakumplowali się, zwłaszcza ich byli więźniowie, co po wyjściu udają, że nie mają już nic wspólnego z dawnym pracodawcą. Taaaa, jasne. Odwiedzają się, k...a, są w tym mieście kierowcy, którzy uczą się baskijskiego, czujesz? – krzyczy już jak ktoś, kto nigdy nie zdobędzie Pulitzera.

– Czego się uczą? Że co proszę? – znowu prawie udławiłem się drinkiem.

– A co, nie można? Jasne, że można. Stary, oni mają żony stamtąd, rozumiesz?! – piekli się dziennikarz, a ja zastanawiam się, czy aby nie za dużo wypiliśmy. – Pojechał sobie klient do Basków, tak? Na wczasy, nawet go może Sinn Féin wysłała, bo to jakiś zasłużony „żołnierz” IRA. Jedzie, fajnie jest, nawet rządziej pada niż u nas, jedzenie lepsze, jest impreza, poznaje na niej kogoś, zakochuje się, ona jedzie za nim, a on, zobacz, jaki dobry, uczy się dla niej języka. Żeby teściowi zaimponować albo coś. Przecież to takiej normalne, co nie? „O, tato,

poznaj mojego chłopaka z Irlandii. Kiedyś był terrorystą, a może jest nim nadal. Tak, tato, tak jak ty i jak mój brat Iñaki. Prawda, że pobłogosławisz nasz związek?”

Puenta tej historii nastąpiła kilka tygodni później. Jadę taksówką ulicami Belfastu, a ze ściszonego radia dobiegają monotonne dźwięki. Pytam taksówkarza, co to za stacja.

– To nie radio, to mój audiobook. Kurczę, zapomniałem go wyłączyć, kiedy wsiadłem. Wiesz – szybko skraca dystans – uczę się. – Mówi to, jakby był zawstydzony.

– Człowiek uczy się całe życie. A czego się uczysz o tej porze?

Pytanie jest na miejscu, bo jest środek nocy, leje deszcz, jest zimno.

– Baskijskiego, bo wiesz...

Wybucham śmiechem.

Miłość. Terrorysty kochają, są do tego zdolni. Było już o dziecku, które trzeba odprowadzić na basen, a to przecież niejedyny taki przypadek. Bliscy Osamy bin Ladeną nie wspominają go jako ziejącego ogniem potwora, lecz jako ciepłego i cierpliwego ojca. Podobnie rzecz miała się z jego następcą w Al-Kaidzie Egipcjaninem Ajmanem az-Zawahirim. Miłość miała podobno odegrać wielką rolę w demontażu czy, jak kto woli, uśmierceniu jednej z najślawniejszych grup terrorystycznych w dziejach – Czarnego Września. Organizacja ta jest odpowiedzialna za masakrę izraelskich sportowców podczas igrzysk olimpijskich w Monachium w 1972 roku. Palestyńscy przywódcy mieli się zastanawiać, jak przekonać do przejścia na „emeryturę” członków tej grupy, których aktywność w pewnym momencie zaczęła szkodzić sprawie. Okazywało się to niemal niemożliwe, bo terrorysty nie mieli zamiaru porzucać wyuczonego zajęcia. Postanowiono więc sięgnąć po nietypowe środki i zaaranżowano szereg spotkań członków Czarnego Września ze specjalnie wybranymi, najpiękniejszymi młodymi Palestynkami zamieszkującymi kraje Zatoki Perskiej. Młodzi ludzie się poznali, niektórzy polubili, inni zakochali w sobie i wynikiem tych niby przypadkowych spotkań miała być seria ślubów. Oczywiście Palestyna zatroszczyła się o swoich bohaterów i odpowiednimi bonusami osłodziła nową drogę życia – domy, samochody, dodatki finansowe po urodzeniu dziecka. Po kilku latach tej sielanki pytano dawnych terrorystów, czy są gotowi na nową, niebezpieczną misję

w Europie?” Podobno nikt nie odpowiedział twierdząco. Za sprawą miłości terroryści stracili dawny zapał do siania przemocy²⁶.

Miłość oznacza też ryzyko, bo zakochanie to kłopoty, stres i możliwość dekonspiracji. Abdelhamid Abaaoud, szef komórki terrorystycznej, która w listopadzie 2015 roku zaatakowała Paryż, nie został wydany przez młodszą kuzynkę, z którą kilka lat wcześniej miał się żenić i która podobno nadal go kochała i pomagała mu się ukrywać już po spektakularnych zamachach. Jednak na nieszczęście dla terrorysty nieroztropna kuzynka na spotkanie z nim przyprowadziła koleżankę, która dostarczyła później policji cennych informacji. Miłość napędza też terroryzm, wszak małżeństwo Radżawi kieruje irańskimi Ludowymi Mudżahedinami, organizacją jeszcze do niedawna uznawaną za terrorystyczną. W rzeczywistości przypomina sektę, której istotą jest oddawanie czci Marjam Radżawi.

Alkohol. Wiemy, że zamachowcy z 11 września 2001 roku, członkowie pozornie purytańskiej Al-Kaidy, przed dokonaniem ataków bywali w nocnych klubach i pili alkohol. Może się maskowali, a może nie? Dodawali sobie otuchy przed pójściem na tamten świat? Inni się nie maskowali, bo po prostu ciągle pili. „Wóda, narkotyki i rock and roll” – tak podsumowano metody finansowania protestanckich organizacji terrorystycznych w Irlandii Północnej. Sieć nielegalnych klubów, nielegalna dystrybucja alkoholu, sprzedaż spod lady „po godzinach”. Ci ze strony katolickiej nie byli lepsi:

– Odwiedziła nas delegacja grup trockistowskich ze Stanów Zjednoczonych – wspomina Paddy, członek skrajnie lewicowej, ale też nacjonalistycznej Irlandzkiej Armii Wyzwolenia Narodowego (INLA), odpowiedzialnej za śmierć ponad stu dwudziestu osób w czasie konfliktu w Irlandii Północnej (dla porównania: słynna niemiecka Frakcja Czerwonej Armii zabiła około trzydziestu osób). – Zjechali do Dublina, chcieli się spotkać z nami, bojownikami. Powstał dylemat, kto ma jechać, bo to trochę strata czasu i trochę niepotrzebne. W końcu padło na trzech naszych ludzi z Belfastu, co tylko podkreśliło Amerykanów, bo oto spotkają bojowników z prawdziwej linii frontu. Belfast dzieli od Dublina sto sześćdziesiąt kilometrów, w połowie drogi, już w Irlandii, znajduje się miasteczko Drogheda. I ta nasza dzielna trójka będąca w drodze do Dublina postanowiła zaopatrzyć się tam w alkohol. Wszystko byłoby w porządku, gdyby go kupili, ale nie, to byłoby za proste, postanowili go ukraść. Wpadli do monopolowego – mój rozmówca już

trzęsie się ze śmiechu – przystawili obsłudze pistolety do głów, zgarnęli tyle whisky, ile mogli, i odjechali. Po prostu pojechali dalej, wyobrażasz to sobie?

– I co, pewnie kilometr dalej zostali aresztowani? – pytam z nadzieją w głosie.

– A skąd, i to jest właśnie najlepsze... – Dawny terrorysta śmieje się do rozpuku. – Spokojnie dotarli do Dublina, a po drodze, co sobie będą żałować, skonsumowali tę whisky. Zajechali pod dom, gdzie czekała na nich ta amerykańska delegacja, składająca się z samych kobiet, to już tak na marginesie, a potem wpadli do środka z okrzykiem: „Gdzie są laski?”. Nie muszę chyba dodawać, że po tym incydencie nasze relacje z tymi amerykańskimi trockistami umarły śmiercią naturalną.

Jedzenie. Pomaga w relacjach społecznych, ale może też przysporzyć kłopotów, również terrorystom. Zwłaszcza jeśli próbuje się potraktować wieprzowiną byłych dżihadystów. Do takiego zdarzenia ponoć doszło i zaciążyło ono na relacjach weteranów z IRA oraz członków bliskowschodnich grup terrorystycznych, w tym Al-Kaidy, którzy mieszkają dziś w Wielkiej Brytanii. Irlandczycy spotkali się z nimi jako byli więźniowie brytyjskiego „reżimu”...

– Irlandzka gościnność dyktowała, by podjąć ich porządnie. Wiesz, *Irish stew* i takie tam – wspomina Shaun, „upadły” członek IRA, który dziś wstydzi się swojej przeszłości. – My, Irlandczycy, jesteśmy w tym najlepsi na świecie, tworzymy dobry klimat, czujesz się z nami dobrze. Niestety, wyszło fatalnie – uśmiecha się.

Zaczynam chichotać, bo już się domyślam, jaki będzie dalszy ciąg tej opowieści.

– Guinness?

– Tak, to też! Trzeba jednak przyznać, że nasi goście trzymali fason. Uśmiechali się, podziękowali, ale wiedzieli, że to takie irlandzkie, i zaznaczyli, że doceniają. Nasi dziwnie się na nich popatrzyli, po czym zorientowali, o co chodzi, i zrobiło im się głupio. Pospuszczali głowy, ale potem miało być tylko lepiej. I tu padł cios, po którym ci wszyscy Egipcjanie, Algierczycy i inni Arabowie po prostu podziękowali. Te sknerusy nie pozwoliły im wybierać z karty i zamówili „menu bez wyboru”. Wszyscy jedzą to samo. No, to jedli. W teorii, bo tego dnia w menu była tylko wieprzowina.

Seks. To nieodłączny element walki o nową rzeczywistość w wykonaniu tak zwanych walczących organizacji komunistycznych, jak wspomniana Frakcja

Czerwonej Armii czy kolumbijski FARC, w którego szeregach jeszcze w 2016 roku miała kwitnąć wolna miłość. Seks jako czynność odstresowująca, relaksująca i dostępna, nieobciążona koniecznością zawierania nawet nieformalnych związków, bo to w rozumieniu tych ludzi nosi przecież zamię burżuazyjnego światopoglądu. To miało doprowadzać do rozpaczki bliskowschodnich instruktorów członków Frakcji Czerwonej Armii – nie byli w stanie pogodzić się z tym, że zachodniemieckie terrorystki z lubością opalają się topless na terenie obozu szkoleniowego. Seks jako odskocznia, marzenie? Wiemy, że żołnierze koalicji NATO znajdowali mnóstwo pornografii w pamięciach telefonów komórkowych schwytanych lub martwych talibów, członków Islamskiej Republiki Afganistanu.

Seks jako środek finansowania organizacji terrorystycznej – do dziś krąży legendy o tym, że protestanckie, czyli walczące z IRA, organizacje paramilitarne w Irlandii Północnej same kręciły filmy pornograficzne, a następnie rozprowadzały je, licząc na zyski z tego procederu. Oczywiście, równolegle rozpowszechniano także pozyskane nielegalnie filmy pornograficzne nakręcone przez zawodowców. Innym sposobem zarabiania na seksie przez organizacje terrorystyczne był udział w handlu ludźmi, a konkretnie zapewnianie „dostaw” do bliskowschodnich i europejskich domów publicznych. Zarzuca się to między innymi Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) i Hamasowi. Jeszcze innym sposobem wykorzystania seksu było zastawianie tak zwanych *honeytraps* (*honey* – ang. miód, *trap* – ang. pułapka). Miodem był seks lub jego obietnica, wabiące żołnierzy lub policjantów w pułapkę, w której tracili dokumenty, sprzęt, broń, życie.

Gry komputerowe. Popularna forma spędzania czasu, a niekiedy i życia, zwłaszcza przez młodych mężczyzn. Kiedyś dodatek do dnia, bo ileż razy można grać na tych samych poziomach ukochanej platformówki albo wygrywać *Ligę Mistrzów* z jakimiś pataluchami z polskiej ekstraklasy. Dziś to religia, czasem sport, nieodłączny towarzysz dnia. Profesor z Uniwersytetu w Bostonie, zajmujący się naukowo terroryzmem, powiedział mi: „No nie, czasem muszę sobie pograć, bo nie zdzierzę. Dla odstresowania”. Drugi, z Lancaster University, który bada media społecznościowe terrorystów, przyznał, że Championship Manager prawie doprowadziła go do rozwodu, bo za bardzo się w tę grę wkręcił. Terrorysty mają być inni? Nie są. ISIS reklamuje swoje podboje i doświadczenia plakatem z hasłem: „Ty grasz w *Call of Duty*, my to mamy naprawdę”. Nie udawaj, chodź do nas, przyjdź, jesteśmy tacy jak ty, a ty taki jak my. Nic nas nie dzieli, nic nas nie

odpycha od siebie. Anders Breivik, norweski ekstremista, który 22 lipca 2011 roku w dwóch atakach terrorystycznych zabił siedemdziesiąt siedem osób, miał podobno „przerwę”, coś jak anglosaski *gap year*, kiedy „w niepełnym wymiarze czasowym” grał na komputerze, w *World of Warcraft*. Może to tłumaczy jego złość na władze Norwegii, które zabraniają mu w więzieniu dostępu do internetu. Chyba nie mniej wkurzone były dzieciaki Ajmana az-Zawahiriego, wówczas numeru dwa w Al-Kaidzie, kiedy w Afganistanie toczyły się wielkie dyskusje o tym, czy mogą grać na tej albo innej grze telewizyjnej, jednej ze starszych sióstr dzisiejszych konsoli, bo to może jednak nieislamskie?

Porządek. Większość organizacji terrorystycznych chce się rozwijać. Pozyskiwać nowych członków, przygotowywać więcej ataków, po prostu sięgać gwiazd. Chcą się zamieniać w powstańców, kontrolować teren i rządzić nim. Dziś widzimy to na ekranach telewizorów w postaci różnych policyjnych formacji, które w kontrolowanych przez siebie miastach wprowadził ISIS. Oddziały męskie, kobiece, służby specjalne, sieć konfidentów – to jest armia ludzi, którzy na co dzień nie przeprowadzają ataków terrorystycznych, lecz pilnują porządku, dyscyplinują podległą terrorystom populację. Są śledczymi, sędziami i katami, jeśli trzeba.

To jednak nie ISIS było pierwsze w tych praktykach. Owszem, może robią to na największą skalę i może najbrutalniej, ale nie są pionierami. Widzimy tysiące bojowników Hamasu, Hezbollahu karnie ustawionych w szeregach, ale przecież na co dzień niekoniecznie planują oni kolejne ataki zbrojne, czy to przeciwko Izraelowi, czy syryjskim rebeliantom. Mają jednak broń, są zdyscyplinowani i lojalni, więc czemu nie dać im możliwości działania? Jakiego? Na przykład o charakterze socjalnym, mającym wzbudzić aprobatę części społeczeństwa. Na dużo mniejszą skalę robiły to między innymi skrajnie lewicowe organizacje terrorystyczne w Europie. Czerwone Brygady strzelały kilka razy w nogi znienawidzonych „kapitalistów” lub osób zajmujących kierownicze stanowiska we włoskich przedsiębiorstwach. I nie chodziło o rekinów finansjery. Dlaczego to robiły? Aby ukarać, żeby komuś się przypodobać albo pod publiczność. ETA z kolei dbała o to, by biznesmeni działający na jej terenie odpowiednio się opłacali. Alternatywą były kłopoty. IRA zamieniła się w terrorystycznego Sędziego Dredda, który na ślepo wymierzał ciosy wszystkim tym, którzy zgrzeszyli przeciwko niej. Katalog kar zaczynał się na ostrzeżeniach, a kończył na egzekucji. W menu znajdowało się też ukrzyżowanie ofiary, a szef kuchni polecał danie specjalne –

egzekucje dilerów narkotyków, którzy odważyli się wejść na teren kontrolowany przez IRA. Oczywiście nie było problemu, kiedy ten sam diler robił to za zgodą IRA. Jednak nieopłacanie się IRA skutkowało szybką śmiercią.

Warto pochylić się nad tym, jak to działało w praktyce, jak było wprowadzane w życie, bo jest to obszar wykraczający poza wewnętrzne sprawy organizacji terrorystycznej lub danego terrorysty. Porządek dotyczył ulicy, osiedla, dzielnicy, miasta, regionu, państwa. Stawał się sprawą społeczną, a terroryści, chcąc katapultować się w stronę nowych lądów, liczyli, że dzięki „uporządkowaniu” jakiegoś obszaru zdobędą niespotykane profity. Czy to działało? Daphne, obecnie wykładowczyni na uniwersytecie w Belfaście, nie Irlandka ani nie Brytyjka, ma specyficzne związane z tym doświadczenie. Opowiedziała mi kiedyś taką historię: „Mieszkam w takiej, a nie innej części miasta. Sama klasa średnia, porządek, czysto, schludnie. Można bez obaw chodzić w nocy. W czym problem? Koleżanka, która mieszka dwa domy dalej, znaczy sąsiadka. Tak, sąsiadka, nie ja, absolutnie nie! – śmieje się nerwowo. – Ona miała problem. Wiesz, rozwiodła się z mężem, ale on nie chciał jej dać spokoju, przyłaził pijany pod dom, dobijał się, stawiał na nogi całą ulicę i mnie też. I ona, wiesz, poszła na policję. Bardzo ją w tym wspierałam. A tam jej powiedzieli, że to potrwa, że w sumie ten mąż nic nie zrobił. Była załamana. Kiedyś w desperacji mówi mi, że pójdzie do tamtych. Mnie ręce opadły, odwodziłam ją od tego, prosiłam, a ona nic. Pewnego dnia pod dom zajechał samochód i wysiadło dwóch schludnie ubranych mężczyzn. To oczywiście byli goście z UDA [Ulster Defence Association – największej, nielegalnej organizacji paramilitarnej w Europie, dokonującej ataków terrorystycznych pod inną nazwą]. Wyszli po dwudziestu minutach. Ja biegiem do niej i pytam, co się dzieje? A ona mi mówi, że byli, posiedzieli, wypili herbatkę, zadali trochę pytań, ponotowali i obiecali zająć się sprawą. Przeżył, na szczęście, choć go poturbowali. Mocno. Jakaś złamana noga i potłuczone żebra”.

Nie zapominajmy jednak o jednym. Terroryści, choć niekoniecznie przede wszystkim, planują, przygotowują i przeprowadzają ataki. Wiele z nich kończy się fiaskiem i często okazuje się, że aby zakończyły się sukcesem, potrzeba łutu szczęścia, wyobraźni i kreatywności, ale przede wszystkim innowacyjnego podejścia.

Innowacyjność. James Bond to błąd?

– Dobrze, teraz wasze propozycje. Propozycje przedmiotów fakultatywnych, otwartych dla wszystkich studentów naszej uczelni. Jeśli się zapiszą, punkt dla was, ale jest ryzyko, że to się nie uda, więc bądźcie kreatywni w proponowaniu tytułów. Słucham, kto pierwszy? Tak?

Scena jakich tysiące każdego lata i zimy w każdej polskiej uczelni. Wszyscy chcemy uczyć tego, na czym się znamy, i mamy wspaniałą okazję, by to osiągnąć.

– Ja mam propozycję. „James Bond to błąd” – mówię i uśmiecham się szeroko.

– Możesz powtórzyć? – pyta mój szef z przerażeniem w oczach.

– James Bond to błąd... – staram się dobitnie akcentować wypowiedane słowa.

– Aha... I o czym to ma być?

– No o tym, że świat terroryzmu i jego zwalczania to żadne Hollywood, żadne filmy z Jamesem Bondem, że to coś zupełnie innego. Coś... – szukam słowa – jakby tragifarsa. Tak, tragifarsa, bo z jednej strony tragizm śmierci, zamachów, egzekucji, samych planów ataków, a z drugiej farsa, bo ci ludzie to żadne Bondy, żadni arcyzłoczyńcy, których znamy ze *Szklanej pułapki* czy innych filmów. To często pierdoły – kończę.

Przekonałem szefa, zaproponowane zajęcia się odbyły i chyba się udały, bo zebrałem dobre oceny. Wtedy narodził się pomysł zebrania tych historii w formie pisemnej, która uzupełni opowieść o dniu codziennym członków organizacji terrorystycznych.

Terroryści mają jedną przewagę nad swoimi przeciwnikami: pojawiają się w ich świadomości, kiedy zaczynają coś robić, a w percepcji opinii publicznej, kiedy odnoszą sukcesy. Są więc aktywni, dynamiczni, myślą ofensywnie. I czasami udają im się rzeczy niezwykle – zamachy z 11 września 2001 roku uznano za lot na Księżyc w wykonaniu Al-Kaidy. Taki obrót spraw tylko potęguje nasze wrażenie, że nie popełniają błędów i są wszechmocni. Czają się gdzieś w mrokach,

w ciemnych okularach, kapturach i przydługich płaszczach, by zaskakiwać nas ciosami. I trzeba przyznać, że te ciosy bywają bardzo celne i spektakularne, a przy tym niejednokrotnie proste, wzbudzające zdziwienie, że nikt na to nie wpadł wcześniej. Terrorysty są więc innowatorami – innowatorami przemocy.

Zacznijmy od filmowego przypadku, który ma oparcie w rzeczywistości i atakach przeprowadzonych przez Hezbollah lub Al-Kaidę w Arabii Saudyjskiej w latach dziewięćdziesiątych XX i na początku XXI wieku. W hollywoodzkiej produkcji zatytułowanej *Królestwo* ekipa agentów FBI udaje się do Arabii Saudyjskiej, by pomóc tamtejszym siłom bezpieczeństwa rozwikłać zagadkę ataków na osiedle zamieszkanе przez Amerykanów. Zamachy zaczynają się od paniki, którą wzbudza dwóch terrorystów w mundurach saudyjskiej policji, strzelających do każdego napotkanego białego. Efektem jest ucieczka z boiska graczy i widzów meczu bejsbolowego. Nad sytuacją próbują zapanować kolejni saudyjscy policjanci. Jeden z nich wzywa do siebie uciekających Amerykanów, by następnie zdetonować ukryte pod mundurem ładunki wybuchowe. Padają zabici i ranni. Ofiar nie byłoby, gdyby terrorysty nie przeniknęli na strzeżony i odgradzony teren osiedla jako policjanci. Postąpili innowacyjnie i odnieśli sukces.

W podobnie innowacyjny sposób zachowywał się Anders Breivik, który 22 lipca 2011 roku „przebrał się w przygotowany wcześniej policyjny uniform, a następnie, tuż po godzinie 15:00, wyruszył do dzielnicy rządowej [w centrum Oslo]. Jazda do centrum odbyła się bez problemu [...]. Breivik [...] zaparkował [volkswagena] craftera przed głównym wejściem [do budynku H, gdzie mieściła się między innymi kancelaria premiera]. Po zatrzymaniu samochodu Breivik szybko zapalił lont, co dawało mu sześć minut i trzydzieści sekund na oddalenie się przed detonacją ładunku. Potem wysiadł z samochodu i zamknął go, aby nikt nie mógł dostać się do środka i udaremnić zamach. Następnie oddalił się, idąc pewnie w stronę swojego drugiego samochodu zaparkowanego na placu Hammersborg Torg. W prawej ręce trzymał pistolet Glock, na wypadek gdyby ochroniarze lub jacyś inni ludzie zastąpili mu drogę. Tak się jednak nie stało i terrorysta odszedł nieniekajony [...]. Po około godzinie od wybuchu w Oslo Breivik dotarł w okolice wyspy Utøya [...], chciał zgrać swój przyjazd z godziną odpłynięcia promu, którą znalazł na stronie internetowej obozu młodzieżowego odbywającego się na wyspie. Zaparkował i przez około pół godziny czekał na prom [...]. W tym czasie przebrał się [...], miał też przy sobie widoczną fałszywą oznakę policyjną,

która miała mu pomóc w zdobyciu zaufania w trakcie próby dostania się na wyspę. Kiedy [na promie] osoba z norweskiej Partii Pracy [organizatora obozu na wyspie] podeszła do niego, terrorysta zaczął odgrywać rolę policjanta z norweskiej PST [odpowiednik polskiej ABW]. Powiedział, że przyjechał z Oslo, żeby zabezpieczyć obóz, że jest to efekt zamachu bombowego, do którego doszło w stolicy oraz wyłącznie środek zapobiegawczy [...]. Jego wyjaśnienia zostały zaakceptowane przez administratora obozu, a terrorysta zasugerował, żeby zabrano go na wyspę, gdzie mógłby wyjaśnić sytuację personelowi odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo uczestników obozu”²⁷. Następnie Breivik zastrzelił sześćdziesiąt dziewięć osób.

Nie inaczej wyglądała sytuacja podczas zamachów samobójczych organizowanych przez Al-Kaidę w Iraku – mobilne biura rekrutacji do odtwarzanych irackich sił bezpieczeństwa nagle zamieniały się w fabryki śmierci, które eksplodowały, zabijając potencjalnych rekrutów, wojskowych lub policyjnych. Inną wersję tej taktyki zaadaptowały kolejne irackie organizacje terrorystyczne, które wysyłały swoich członków w przebraniach policjantów, by porywali obcokrajowców, na przykład z siedziby ministerstwa finansów. Innowacyjne, proste i skuteczne. Coś nowego, co pozwala osiągać zakładane cele, a nie wymaga zdolności paranormalnych i milionowych budżetów.

Oczywiście mundury to niejedyny sposób na zdobycie zaufania, odwrócenie uwagi, uzyskanie dostępu do terenu, obszaru, gdzie nie każdy może przebywać. Terrorysty gotowi są sięgać po inne innowacje, by uśpić czujność przeciwników. Byli już zamachowcy samobójcy przebrani za kobiety w ciąży w Arabii Saudyjskiej, był też uciekający w burce niedoszły zamachowiec, którego bomba nie wybuchła na londyńskiej stacji metra Shepherd’s Bush. Zdarzali się zamachowcy ukrywający ładunki wybuchowe w bieliźnie lub butach, aby zdetonować je podczas lotu samolotem oraz zamachowcy próbujący przemycić na pokład siedmiu samolotów lecących do Kanady i Stanów Zjednoczonych płynne materiały wybuchowe w butelkach po napojach energetyzujących. I członek Al-Kaidy na Półwyspie Arabskim, który ogłosił chęć poddania się władzom, czego owocem było spotkanie z wiceministrem spraw wewnętrznych i próba uśmiercenia go za sprawą ładunku ukrytego w odbyciu zamachowca. Była to próba nieudana, a jej cel stanowił żyjący do dziś saudyjski następca tronu.

Mistrzostwem świata w dziedzinie maskowania i być może terrorystycznej innowacji była jednak operacja Al-Kaidy, która w 2009 roku przewerbowała agenta pozyskanego wcześniej przez służby specjalne Jordanii i Stanów Zjednoczonych. Humam Khalil al-Balawi miał być kluczem do bram samego sanktuarium Al-Kaidy i pomóc w uśmierceniu wierchuszki tej organizacji, w tym Ajmana az-Zawahiriego i przede wszystkim Osamy bin Ladena. I owszem, informacje napływały, agent znajdował się na miejscu, na pograniczu Afganistanu i Pakistanu. Był tak ceniony i hołubiony, że CIA nie tylko chciała się z nim spotkać w terenie, już po afgańskiej stronie granicy, w swojej bezpiecznej bazie, lecz także go ufetować. Szykowano dla niego ucztę. Przed budynkiem, w którym miał wyjawić Amerykanom swoje tajemnice, ustawił się w szyku komitet powitalny. Al-Balawi nie został przeszukany przed wjazdem do bazy.

„Podwójny agent CIA, a właściwie potrójny [bo dzielony z jordańskimi służbami i jak się potem okazało, z Al-Kaidą] dostał się do tajnej bazy z bombą na ciele. Znalazł się o kilka stóp od szesnastu pracowników i współpracowników służb specjalnych i wysadził się w powietrze [...]. Zginęło dziesięć osób, w tym zamachowiec i wyszkolony przez CIA afgański kierowca [...]. Ustalono, że CIA zawiesiła obowiązujące procedury bezpieczeństwa, podobno z powodu chęci zyskania jego zaufania [...]. CIA uważała, że Balawi to zaufany jordański agent [...], a ostrzeżenia przekazywane przez tych, którzy znali go najlepiej [...], były przykryte przez »dowody«, jakie pracownicy Agencji mieli przed sobą: słowa i zdjęcia przesyłane im przez Balawiego e-mailem z kwater Al-Kaidy”²⁸. Nie trzeba dodawać, że akurat te „dowody”, słowa i zdjęcia były odpowiednio i innowacyjnie spreparowane przez terrorystów, a Balawi ukrył się na widoku (*hiding in plain sight*).

Innowacyjne metody służące ukrywaniu się stosował też szef IRA w Belfaście, Brendan Hughes. Przeszedł on zabiegi charakteryzatorskie i na pięć miesięcy przemienił się w Arthura McAllistera, sprzedawcę zabawek, który podróżował po kraju i mieszkał w bezpiecznej, niekojarzonej z jego organizacją części miasta. Stał się mieszcuchem z klasy średniej, ale przy okazji kierował działaniami IRA w Belfaście. Oczywiście nikt z jego sąsiadów niczego nie podejrzewał, a w czasie aresztowania Hughes miał podobno nadal utrzymywać, że zajmuje się handlem artykułami dziecięcymi.

Swojej przykrywki pilnował tłumacz holenderskich służb specjalnych, który w 2004 roku przekazywał tak zwanej siatce z Hofstad, odpowiedzialnej za słynne zabójstwo reżysera Theo van Gogha w Amsterdamie, wewnętrzne i tajne raporty na jej temat. Znał wcześniej terrorystów i okazało się, że jego lojalność wobec kolegów z dawnych lat przewyższyła tę wobec Królestwa Niderlandów. W przeciwieństwie do Hughesa tłumacz nie udawał kogoś innego, ale ciągle wykonywał swoją pracę.

Swoją pracę wykonywali także pracownicy centrali Northern Bank w Belfaście, których losy mogły posłużyć za scenariusz filmu *Firewall* z Harrisonem Fordem w roli głównej. Grany przez Forda bohater zostaje zmuszony do kradzieży, ponieważ jego rodzina znajduje się w rękach porywaczy. To samo działo się w grudniu 2004 roku w Belfaście. Za komentarz do tego terrorystycznego wyczynu niech posłuży opis Niezależnej Komisji Monitorującej, powołanej do obserwowania aktywności północnoirlandzkich organizacji terrorystycznych przez rządy Wielkiej Brytanii i Irlandii: „Skradziono dwadzieścia sześć i pół miliona funtów. Było to przestępstwo obarczone dużym ryzykiem niepowodzenia, a jego przygotowanie wymagało starannego i długotrwałego planowania. Częścią składową stało się wzięcie zakładników, dwójki pracowników Northern Banku, i bezprawne przetrzymywanie ich rodzin w domach. Ponadto mamy do czynienia z kolejnymi ofiarami, między innymi pracownikami banku, którzy boją się, że podobne rzeczy mogą spotkać także ich samych oraz ich rodziny [...]. Napastnicy zagrozili skrzywdzeniem bliskich dwójki pracowników banku, których zmusili do dostarczenia porywaczom pieniędzy w dzień po porwaniu [to jest 20 grudnia 2004 roku, w poniedziałek. Porwania miały miejsce w niedzielę wieczorem, 19 grudnia 2004 roku]”²⁹.

Te staranne i długie przygotowania przed akcją przeprowadzała „doświadczona ekipa [...], która pracowała z sukcesami nad podobnymi operacjami. Ta wymagała jednak zaangażowania większej liczby ludzi, dwudziestu pięciu do trzydziestu osób. Zostali oni podzieleni na małe zespoły mające wykonać konkretne zadania. Każdy zespół wie tylko tyle, żeby wykonać swoją część operacji”³⁰. Dwa zespoły porywają bankowców, którym mówią: „Wiemy, kim jesteś. Wiemy o tobie wszystko. Wiemy, kim są członkowie twojej rodziny, wiemy o nich wszystko, a jesteśmy tu z powodu twojej pracy”³¹. Potem zaczynają się przesłuchania – setki pytań, powtarzanych wiele razy. Terroryci wiedzą wszystko o życiu dwójki

pracowników banku oraz bardzo dobrze znają topografię budynku centrali Northern Bank w Belfaście. Przygotowywali się do tego skoku od dawna, musieli spędzić godziny na obserwacji swoich celów.

Sterroryzowani bankowcy wstali rano, jak gdyby nigdy nic pojechali do pracy i przepracowali dzień w banku. Opróżnili sejf, zapakowali pieniądze do toreb, a te ułożyli następnie na wózki, które wystawili pod boczne wejście do budynku, gdzie z reguły podjeżdżały śmieciarki. Tym razem za kierownicą zasiadł członek IRA, który spokojnie przejął zrabowane pieniądze i odjechał. Cała operacja, choć sporo w niej było przemocy lub groźby jej użycia, stanowiła triumf innowacji nad tępa siłą i krwiożerczością, z którą najczęściej kojarzymy terrorystów.

Terrorysty, tym razem z baskijskiej ETA, też potrafili długo czekać na admirała Luisa Carrero Blanco, premiera Hiszpanii, i przyglądać się jego rozkładowi dnia. Dzięki temu zdołali precyzyjnie umieścić ładunek pod ulicą, którą poruszała się limuzyna polityka. Siła wybuchu ładunku odpalonego 20 grudnia 1973 roku przez terrorystów udających elektryków wyrzuciła samochód admirała na dwadzieścia metrów w górę. Elektrycy „innowacyjnie” oddalili się, krzycząc, że w okolicy nastąpił wybuch gazu.

Nie mniejszą cierpliwością i zabójczą pomysłowością wykazała się Frakcja Czerwonej Armii, która skrupulatnie przygotowała się do przeprowadzonego 30 listopada 1989 roku zamachu na Alfreda Herrhausena, ówczesnego szefa Deutsche Banku. Terrorysty nie tylko znali rozkład konwoju, w którym poruszał się bankier, lecz także precyzyjnie ustawili ładunek wybuchowy uruchamiany na podczerwień, by trafił on w najsłabszy element opancerzonego mercedesa Herrhausena – tylne drzwi. IRA czekała tylko trzy tygodnie na wybuch bomby podczas dorocznej konferencji Partii Konserwatywnej, którą w pokoju hotelowym w Brighton umieścił poznany przeze mnie w 2015 roku ochotnik (tak tytułuje się członków Irlandzkiej Armii Republikańskiej). Bomba przeleżała w hotelowej łazience, a czas do jej wybuchu odliczał mechanizm wymontowany ze starego magnetowidu, dzięki któremu można było ustawić nagrywanie programu emitowanego w konkretny dzień i o danej godzinie.

Innowacyjne okazywały się też ataki w „rojach” (*swarm attacks*), które chętnie przeprowadzali Czeczeńcy. Takie ataki to „skoordynowane uderzenia, czasami nakierowane na liczne cele albo grupy budynków przy użyciu grup mobilnych, co ma pomóc napastnikom w ominięciu środków bezpieczeństwa i pozwolić im na

spowodowanie strat w ludziach, zdobycie rozgłosu oraz w ostatnich latach także na spowodowanie zniszczeń”³². Mówiąc nieco inaczej, to atak na cele stacjonarne, siedziby X, Y, Z, miejsca publiczne, przy użyciu komand terrorystów zmieniających lokalizację, przemieszczających się i szukających nowych celów. Czasem wyznaczonych z góry, czasami wybieranych na gorąco, w drodze improwizacji. Takie ataki określa się dziś mianem *inghimasi*. Przeprowadzają je ludzie, którzy chcą zginąć w walce, co oznacza, że uzbrojeni w broń krótką, długą oraz materiały wybuchowe terroryści prowadzą swoje działania aż do śmierci³³. Za przykład niech posłuży atak w Paryżu w listopadzie 2015 roku, kiedy strzały do zakładników wziętych w teatrze Bataclan stanowiły końcowy etap masakry urządzonej w tym miejscu przez członków ISIS.

Dwadzieścia lat temu Czeczeńcy pod dowództwem Szamila Basajewa nie mieli zamiaru poświęcać swojego życia, kiedy atakowali położony w południowo-zachodniej Rosji Budionnowsk. Chcieli przenieść konflikt z Czeczenii do serca Rosji, podobno do samej Moskwy, co miało zmusić przeciwnika do zakończenia działań wojennych.

„Atak zaczął się w chwili, kiedy dziesiątki lekko uzbrojonych ochotników [...] wysiadły z ciężarówek [które wjechały do miasta] i podzieliły się na trzy grupy, atakując jednocześnie trzy cele: siedzibę policji, ratusz i rynek. Po pierwszych walkach napastnicy zebrali zakładników i zabarykadowali się w ratuszu, który nie był jednak odpowiednim miejscem do przetrwania w oblężeniu, zwłaszcza że część ludzi Basajewa potrzebowała pomocy medycznej. W następnych godzinach, nieco improwizując, Basajew i jego podwładni wycofali się do szpitala, używając przy tym zakładników jako żywych tarcz. W ten sposób dołączyli do wysłanego w tamte okolice czeczeńskiego zwiadu, który od jakiegoś czasu był już zabarykadowany na terenie szpitala”³⁴.

W wyniku ataku przeprowadzonego przez czeczeńskich rebeliantów, stosujących jednak metody terrorystyczne (cele cywilne, branie zakładników i używanie ich jako żywych tarcz), śmierć poniosło co najmniej sto czterdzieści osób, a Moskwa utraciła inicjatywę polityczną oraz militarną w tym konflikcie. Wszystko przez terrorystyczną innowację i poszerzenie pola walki, to jest sterroryzowanie rosyjskiego miasta i przeciąganie kryzysu w świetle kamer telewizyjnych dla maksymalizacji jego politycznego efektu.

14 lipca 2016 roku we francuskiej Nicei powiązany z ISIS zamachowiec zabił osiemdziesiąt cztery osoby, rozjeżdżając je wynajętą i prowadzoną przez siebie ciężarówką. Nie był, jak początkowo podejrzewano, tak zwanym samotnym wilkiem. Niemal żaden francuski dżihadysta nie działa sam, z czasem zawsze okazuje się, że ludzie ci są z kimś powiązani, połączeni, kogoś znają, kogoś spotkali. Ten przygotowywał atak od dawna, miał współników i również okazał się terrorystycznym innowatorem – użył urządzenia, które, owszem, kojarzymy z terroryzmem, ale raczej jako środek do przenoszenia olbrzymich ładunków wybuchowych, na przykład przez ISIS na terenie Iraku, a nie jako bezpośredniego siewcę śmierci na wielką skalę. Już wcześniej przy użyciu samochodów terroryści zabijali jedną lub dwie osoby – w 2013 roku w Wielkiej Brytanii, w 2014 roku we Francji. Tę tragiczną innowację podpowiedział mu zatem ktoś inny, sam nie wpadł na ten makabryczny pomysł.

Osiemnaście lat wcześniej Al-Kaida wezwała pośrednio do takich ataków poprzez swoje „orzeczenie stwierdzające, że zabijanie Amerykanów i ich sojuszników [a więc także Francuzów], cywilów i wojskowych, jest indywidualnym obowiązkiem każdego muzułmanina, który może to zrobić w każdym kraju, gdzie jest to możliwe [...]”³⁵. W 2010 roku Al-Kaida na Półwyspie Arabskim, spółka córka organizacji kierowanej wtedy jeszcze przez Osamę bin Ladena, poszła o krok dalej w swoim anglojęzycznym magazynie „Inspire”: „W tej sekcji, dotyczącej dżihadu w źródłach jawnych, podsuwamy czytelnikom sugestie, jak prowadzić własne, indywidualne dżihady. Oto pomysł, jak muzułmanie mogą go wykonywać. To prosty pomysł – nie trzeba wiele planować. Wszystko, czego potrzeba, to gotowość do oddania życia dla Allaha [...]. Plan sprowadza się do użycia ciężarówki typu pick-up jako kosiarki, ale nie po to, by kosić trawę, ale by kosić przeciwników Allaha [...]. Im mocniejszy pick-up, tym lepiej. Zamontuj stalowe ostrza na przodzie ciężarówki. Mogą być to ostrza rzeźnicze lub cienkie płachty stali. Nie muszą być specjalnie ostre, ponieważ prędkość ciężarówki spowoduje, że w momencie uderzenia także tępe ostrza będą z łatwością cięły kości. Możesz umieścić te ostrza nawet na wysokości świateł, co spowoduje, że osiągną twoje cele na wysokości torsu lub wyżej. Ostrożnie wybierz cel i czas ataku. Skoncentruj się na najbardziej zatłoczonych miejscach [...]. Żeby spowodować jak największą masakrę, musisz rozpędzić ciężarówkę, jednocześnie zachowując kontrolę nad pojazdem, co zmaksymalizuje twoją

bezwładność i umożliwi ścięcie jak największej liczby osób w pierwszym ataku. Pamiętaj, że gdy tylko ludzie zorientują się, co się dzieje, rozbiegną się w każdym kierunku w poszukiwaniu ukrycia [...]. Będą szukać miejsc, w których pojazd ich nie dosięgnie. Musisz więc z wyprzedzeniem przestudiować trasę swojej operacji”³⁶.

Wezwanie odnosiło się do ataków na terenie Stanów Zjednoczonych, ale czytając je, trudno mieć wątpliwości co do tego, że zainspirowały zamachowca z Nicei: ciężki pojazd, atak w miejscu, gdzie przebywało wiele osób (miejska promenada), odpowiednio dobrany czas operacji – wieczór 14 lipca 2016 roku, czyli dzień obchodów święta narodowego Francji, zachowanie kontroli nad pojazdem i manewrowanie w celu „skoszenia” jak największej liczby ludzi.

Jeśli jednak mimo to mielibyśmy uznać, że taka inspiracja nie miała miejsca, bo w końcu od ukazania się artykułu w „Inspire” do wydarzeń z Nicei upłynęło niemal sześć lat, to mamy jeszcze coś. W 2014 roku, a więc niecałe dwa lata przed masakrą na południu Francji, przyszedł z pomocą Abu Muhammad al-Adnani, swoisty rzecznik ISIS, który oświadczył: „Jeśli nie możesz znaleźć improwizowanego ładunku wybuchowego lub kuli, to skoncentruj się na jednym niewierzącym Amerykaninie, Francuzie lub którymkolwiek z ich sojuszników. Rozwal mu głowę kamieniem, zarznij go nożem, przejeźdź go swoim samochodem, zrzuć go z wysokiego budynku albo uduś go lub zatruj”³⁷.

Krótko mówiąc, działaj, kombinuj, bądź aktywny, a uda ci się. Improwizuj i bądź innowacyjny, a osiągniesz sukces. Do tego właśnie wezwał w 2014 roku Al-Adnani i dwa lata później Europę zalała fala takich ataków – Nicea, Ansbach, Saint-Étienne-du-Rouvray, Berlin. Już czy dopiero? Ten rozdział sugerował, że już, że to udane innowacje. Następny pokaże drugą stronę medalu, ponieważ terroryści ponoszą mnóstwo porażek.

James Bond to jednak błąd

Sukcesy terrorystów to wisienka na torcie, często wynik wielu godzin przygotowań, ślęczenia nad planami, starannego ich szlifowania. Co jednak dzieje się, kiedy plany nie wypalają, gdy wizji rodem z Hollywood nie da się zrealizować? Czasem bywa boleśnie: „Wiesz, Jack nie był intelektualistą – mówił mi jeden z weteranów IRA, wspominając kolegę z wczesnych lat działalności tej organizacji [czyli wczesnych lat siedemdziesiątych XX wieku]. – Na początku nie mieliśmy pojęcia, jak w ogóle prowadzić walkę, jak na przykład produkować bomby. I Jack poniósł tego konsekwencje. Już wiedzieliśmy, że nawóz można wykorzystać do bomb, a on go mieszał na podłodze swojego garażu. Metalową szuflą. Poszła iskra i... nie muszę ci mówić, co z niego zostało. Niewiele”³⁸. Ostatnie zdanie wypowiedział ze smutkiem, choć jednocześnie trudno było mu powstrzymać się od uśmiechu.

Niewiele zostało też z szóstki niedoszłych talibskich zamachowców samobójców z afgańskiej prowincji Paktika, którzy przed wyruszeniem na misję w lipcu 2010 roku postanowili się pożegnać uściskiem niedźwiedzia. Efekt? Eksplozja ładunków znajdujących się pod ubraniami dwójki desperatów, którzy zginęli na miejscu, a śmierć poniosła też co najmniej czwórka ich towarzyszy. Owszem, za tym wypadkiem stoi niewiedza czy głupota talibów, uchodzących zresztą za jedną z najgorzej wykształconych grup zbrojnych współczesnego świata, ale co w takim razie powiedzieć o losach terrorystów z ISIS, arcyłotrów z globalnego kalifatu? Zabójczo skutecznych, atakujących cele na różnych kontynentach, i to czasami symultanicznie?

To jedna z największych niespodzianek współczesnego świata, bo jak się okazuje, członkowie tego budzącego grozę tworu, ucinający głowy, zrzucający homoseksualistów z dachów budynków i radykalizujący ponoć tysiące młodych na całym świecie za pośrednictwem internetu, także popełniają błędy. I to jakie. W Paryżu w listopadzie 2015 roku nie było pod tym względem o wiele lepiej. Czwórka zamachowców, którzy atakowali Stade de France, kiedy francuscy piłkarze grali z Niemcami, spóźniła się do swojego celu, bo za późno wyjechali na

akcję i nie wzięli poprawki na to, że okolica stadionu może być zakorkowana. Co gorsza, nie mieli biletów, a próby jednego z nich, by mimo to dostać się na spotkanie międzypaństwowe zakończyły się fiaskiem. Ochroniarz cztery razy powstrzymywał jednego z terrorystów przed nieuprawnionym wejściem na stadion, aż w końcu ten zdetonował swój pas szahida przed obiektem. Dawało to szansę na zamordowanie wielu osób, ale na pół godziny, piętnaście, dziesięć minut przed rozpoczęciem meczu, tymczasem pierwsza eksplozja nastąpiła dwadzieścia minut po pierwszym gwizdku sędziego. Kolejna dziesięć minut później, a ostatnia już po zakończeniu pierwszej połowy. Zginęło trzech zamachowców i jedna osoba postronna. Czwarty zamachowiec porzucił swój pas szahida i uciekł. On pojawi się jeszcze w kontekście późniejszych zamachów w Brukseli, bo to być może jego aresztowanie przyśpieszyło realizację terrorystycznych planów szykowanych przez jego kamratów.

Ta sama komórka popełniła także inne błędy – jeden z brukselskich zamachowców nie zdążył zniszczyć komputera, na którym, o czym rozpisywała się prasa, znajdowała się między innymi wiadomość nagrana specjalnie dla jego matki. Terrorysta wrzucił komputer do ulicznego śmietnika, a jego odnalezienie okazało się prawdziwym prezentem świątecznym dla belgijskich służb specjalnych i policji. Podobny prezent sprawił przeciwnikowi inny zamachowiec wysłany do Francji przez ISIS. Urządzenie USB ze specjalnym programem szyfrującym chował on pod kanapą w mieszkaniu swojej matki, a w plecaku miał zapisane hasło pozwalające uruchomić powyższe oprogramowanie. Kolejny wyszkolony w Syrii rekrut ISIS, który miał zaatakować kościół we francuskim Villejuif, podczas przygotowań postrzelił się w nogę, więc wezwał pogotowie. To z kolei zaalarmowało policję, co doprowadziło do aresztowania przestępcy. Jeszcze inny członek ISIS został zatrzymany tuż za turecko-grecką granicą, bo znaleziono przy nim wydruk dokumentu w języku francuskim o tytule: „Jak w imię Allaha wykonać rzemieślniczą bombę”. Nie wiedzieć czemu, grecka policja puściła go wolno, ale informacja o tym wydarzeniu dotarła do Francuzów, którzy obserwowali rodzinę i przyjaciół terrorysty i w końcu dotarli także do niego. Jak się potem okazało, tuż przed aresztowaniem próbował odnaleźć w wyszukiwarce Google informacje o tym, jak zrobić zdalny detonator, zdetonować ładunek za pomocą telefonu komórkowego i gdzie kupić petardy³⁹.

Na detonacjach nie znali się też mieszkający w Wielkiej Brytanii zamachowcy, być może powiązani z protoplastą ISIS, czyli Islamskim Państwem Iraku: „[w czerwcu 2007 roku] zakończyli rekonesans i powrócili do Glasgow, gdzie zaczęli przygotowywać rzeczy potrzebne do wprowadzenia swego planu w życie. Kupili gwoździe, butle z gazem, zbiorniki na paliwo, pościel do ukrycia w niej bomb podczas transportu [...]. Gdy gromadzili te materiały, Bilal [Abdullah] dalej pracował w szpitalu Royal Alexandra, a Kafeel [Ahmed] zostawał w domu i projektował detonatory do szykowanych bomb [...]. W końcu 27 czerwca [2007 roku] pracowali przez całą noc i testowali detonatory, co zarejestrowały podłączone do nich telefony komórkowe. Następnie nieco odpoczęli i po południu ruszyli do Londynu dwoma zielonymi mercedesami [...]. Przed dotarciem na miejsce dotankowali samochody, by baki były pełne przed porzuceniem ich u celu. W Londynie podjechali pod klub Tiger Tiger, w sercu West Endu, a oba auta zaparkowali tak, by zmaksymalizować zniszczenia. Detonatory zadziały, ale materiały wybuchowe już nie, bo się wypaliły i ulotniły, co zaalarmowało przechodniów [...]”. Później było jednak już tylko gorzej, bo: „poczucie zawodu szybko zastąpiła obawa – zamachowcy zorientowali się, że dowody przestępstwa znajdowały się w dwóch wypełnionych materiałami wybuchowymi samochodach. Ponownie udali się do Szkocji [...] i tam przygotowali jeepa z podobnym zestawem materiałów wybuchowych [...]. Następnie ruszyli w stronę lotniska w Glasgow [...] będącego celem ich podróży – chcieli wjechać autem w wypełnioną ludźmi halę odlotów. Ale tak jak i poprzedniego dnia, bomba nie wybuchła. Kafeel, który został w samochodzie, uległ ciężkim poparzeniom, a Bilal wyskoczył z auta, ale zaraz obezwładnili go przechodnie”⁴⁰. Bomby, które miały eksplodować pod klubem Tiger Tiger, nie zadziały, a mimo to terroryści próbowali dalej. Efekt ich działań? Jedna ofiara, którą był zamachowiec Kafeel Ahmed. Bilal przeżył i mógł potem wyrazić skruchę oraz przeproszać w sądzie za swoje działania, ale wiele mu to nie pomogło, bo w 2009 roku został skazany na trzydzieści dwa lata więzienia.

Tyle czasu nie spędzili w więzieniu terroryści z egipskiej Grupy Islamskiej (jak mi powiedział Wael, emerytowany pracownik egipskich służb specjalnych, „organizacji z jednym z najbardziej niekompetentnych kierownictw w całej historii terroryzmu”). Grupie tej udało się jednak w sposób spektakularny zamordować sześćdziesiąt dwie osoby w ataku na turystów odwiedzających świątynie

w Luksorze w 1997 roku. Władze Egiptu, przerażone stratami, jakie w wyniku zamachu poniósł przemysł turystyczny, wypowiedziały organizacji wojnę i jeszcze przed końcem dekady właściwie ją zlikwidowały – wielu terrorystów zginęło, a tysiące trafiły do więzień. Zabójcza kreatywność *de facto* zniszczyła więc Grupę Islamską: atak w Luxorze w dłuższej perspektywie nie oznaczał sukcesu organizacji, lecz doprowadził do jej likwidacji. Po latach spędzonych w więzieniu i wyrzeczeniu się przemocy niektórzy z terrorystów rozpoczęli działalność polityczną, założyli Partię Budowy i Rozwoju, która weszła do egipskiego parlamentu. W 2012 roku posłowie tej partii należeli do delegacji parlamentarnej komisji obrony, która odwiedziła Polskę. Tak wspominał tę wizytę urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który zajmował się jej przygotowaniem: „Spotkanie naszej i ich komisji obrony było prześmieszne. Oni tu przyjechali już po swojej rewolucji, a my robimy za kraj, który dokonał transformacji i co ważniejsze, z sukcesem. Jesteśmy więc jakby starszym bratem i ci Egipcjanie, nawet jeśli tylko retorycznie, to uznawali. Nasza strona, pełna dawnych członków »Solidarności«, chyba chciała trochę powspominać. Jeden poseł z piękną kartą opozycyjną chciał na nich zrobić wrażenie i powiedział, oczywiście przez tłumacza, że w PRL-u siedział łącznie pięć lat w więzieniu. A na to Egipcjanin, ten z Grupy Islamskiej, odparł, że to bardzo pięknie, ale on siedział lat szesnaście. Wtedy zapadła cisza, bo nagle starszy brat zrobił się młodszy. Potem padło pytanie, które u nas się zawsze zadaje: a co z naszymi turystami, czy są bezpieczni w Egipcie? To było ogólne pytanie, do całej delegacji, ale ten dawny terrorysta pomyślał, że to do niego, do jego partii i Grupy Islamskiej, która tę partię przecież założyła. I poczuł, że musi się wytłumaczyć, co też uczynił. I tu popełnił wielki, wielki błąd. Powiedział: »Są bezpieczni. Ze strony mojej organizacji nic im nie grozi. Nie wydaje nam się, aby obecnie można było cokolwiek osiągnąć przez terroryzm«. Nasi zbledli. Powinieneś ich zobaczyć, to był niezapomniany widok”.

Chyba nigdy nie zapomnę mojego wywiadu z grupą członków jednej z frakcji IRA. Najpierw były telefony, maile, prośby, długie umawianie się. Oni udawali, że nie wiedzą, o co mi chodzi, że przecież nie mają nic wspólnego z terroryzmem, nigdy nic złego nie zrobili. Problem w tym, że wiedziałem o nich sporo przez wspólnych znajomych, a Belfast to bardzo małe miasto. Dawałem im to do zrozumienia i puszczałem do nich oko: „Ja wiem, ale jestem w porządku. Spójrzcie, wasi

koledzy rozmawiali ze mną i wszystko było OK”. W końcu po trwającym miesiące kontredansie umówiliśmy się na ten wywiad. I wszystko szło dobrze do trzydziestej minuty. Siedzimy przy stole, kawa, herbata, papierosy, coraz ciekawsze historie. Od ulic Belfastu przechodzimy do wspomnień jednego z moich rozmówców o szkoleniu, które przeszedł w Moskwie, i o uniwersytecie imienia Patrice’a Lumumby, uchodzącym za kuźnię międzynarodowych kadr terrorystycznych. Opowiadają też historie, jak to dostali ze Wschodu broń, którą KGB zorganizowała im ze zdobycznych, zachodnich zasobów z terenu dawnej NRD. Trzech panów w średnim wieku, „wpływowych”, z ciekawością przygląda się Polakowi, który coś wie o ich organizacji. I nagle pukanie do drzwi, ktoś wpada do środka, taśma jednak kręci się dalej, bo nie zdążyłem jej zatrzymać. Jakiś zziębnięty młody człowiek oznajmia:

– Panowie, jest problem w pubie!

– Problem? Jaki problem? – odpowiada niechętnie jeden z trójki moich rozmówców.

– No... Problem. – Nowo przybyły nieśmiało zerka na mnie i robi ruch głową oznaczający: „przy tym gościu nie będę gadał”.

– Ale co nas to obchodzi? – pyta dobrotliwie inny terrorysta.

– Noo... obchodzi, obchodzi. Musicie... – mówi z naciskiem i miną przypominającą ironiczny uśmiezek – ze mną pójść i pomóc go rozwiązać, bo to jest problem.

Taśma kręci się dalej. Ja siedzę osłupiały, ale też zafascynowany. Twoi ludzie proszą cię o pomoc, a ty także po to jesteś terrorystą, by działać w ich imieniu, podobno za nich walczysz i dla nich się poświęcasz. Wstaną, ruszą się, pójdą z nim czy nie? Ich twarze czerwienieją. Cały konstrukt, że już „nie mamy nic wspólnego” z przemocą, właśnie legł w gruzach. Wiercą się na swoich krzesłach. Iść – źle, nie iść – też nie najlepiej. W końcu się otrząsam i wciskam klawisz „stop” na dyktafonie. To ośmiela najbardziej wygadane z nich.

– Mamy jeszcze chwilę, prawda? Ten problem nie ucieknie. Jak skończymy rozmowę z panem, to przyjdziemy, OK?

Wilk syty i owca cała.

Wilk też bywa syty, a owca pozostaje cała w innych sytuacjach związanych z terrorystami. Na przykład podczas rozgrywki paintballa. Kilku amerykańskich

dziennikarzy zabiegało przez rok o to, by członkowie zbrojnego ramienia Hezbollahu rozegrali z nimi partyjkę tej gry. Libańscy terroryści nie palili się do takich spotkań, bo Partia Boga (Hezbollah) woli, by obcokrajowcy kontaktowali się tylko z jej biurem prasowym. Ktoś jednak w końcu uległ, co nie znaczyło, że Hezbollah chciał, by spotkanie miało charakter towarzyski czy integrujący. Co to, to nie. Hezbollahowcy mieli wygrać za wszelką cenę. Coś za coś. Robimy to, choć nie do końca nam się podoba, ale miejmy coś z tego. Wilk syty i owca cała.

„Sądziłem, że będą oszukiwać, w końcu to Hezbollah. Nikt z nas [...] nie spodziewał się jednak, że podczas gry przyjdzie nam się chować przed granatami hukowymi stosowanymi przez wojsko [...]. Kiedy te granaty eksplodują blisko ciebie, to tak jakbyś znalazł się w samym środku gwałtownej burzy z piorunami: oślepiające błyski gorącego, białego światła, wybuchy dźwięku, które wbijają się głęboko w uszy. Kiedy mój wzrok przystosował się do ciemności panującej w hali, w której gramy i odzyskałem zdolność widzenia, wyglądam z mojego stanowiska za niską betonową ścianą i widzę dwóch wielkich gości w zielonych kombinezonach roboczych, którzy walą prosto na mnie. Mam ich na muszce, ale to ich nie rusza, nawet gdy otwieram do nich ogień z bliska. Każdego trafiam kilka razy, nie mogę nie trafić. Czekam, aż się zatrzymają, może uznają, że ten mięczak, amerykański dziennikarz, wyłączył ich z gry, pomimo tricków z granatami hukowymi. Może nawet się uśmiechną i poklepią mnie po plecach, kiedy będziemy opuszczać halę [...]. Zamiast tego strzelają do mnie z bliska, trzy razy, prosto w pachwinę. Z tej odległości uderzenia kulek z farbą w ciało bolą jak uządlenia pszczoły. Podnoszę rękę do góry w bólu i zdziwieniu i daję znać sędziemu, że to koniec, opuszczam grę. Ale ten większy [...] jeszcze ze mną nie skończył. Obejmuje mnie i chce mnie przerzucić przez ramię z łatwością, która przychodzi za sprawą długotrwałych ćwiczeń praktycznych. Jestem dostatecznie szybki, by mu się wyrwać i uciec, ale Ben, kolega z drużyny, już nie ma tyle szczęścia. [...] Oni zostawiają mnie w tyle i [...] wkrótce pędzą Bena przed sobą w charakterze żywej tarczy”⁴¹.

A teraz wyobraźmy sobie korporacyjnego paintballa w Polsce, z granatami hukowymi i żywymi tarczami. Zapewne niejeden chciałby w taki sposób potraktować szefa, a potem poklepać go po plecach i powiedzieć, że to tylko tak dla zabawy i nie ma przełożenia na rzeczywistość. Dla chłopców z Hezbollahu to

jednak ma takie przełożenie, a tamten paintball urósł do rangi kolejnego fetyszu, zdobytego skalpu.

Wilk bywa też syty, a owca cała, gdy dwie organizacje terrorystyczne ze sobą rywalizują. Muszą podzielić teren, by potem go kontrolować niczym gangi. Sytuacja komplikuje się jednak w miejscach, gdzie wypracowano pewien kompromis i jedni i drudzy żyją obok siebie, ale w chwilach zwiększonego napięcia wszelkie porozumienia uważa się za niebyłe. Trzeba jednak jakoś dalej żyć i wówczas pojawiają się zadziwiające pomysły. Przenieśmy się na chwilę do Belfastu, gdzie latem 2000 roku dwie protestanckie, a więc w teorii walczące z katolicką IRA, organizacje terrorystyczne UDA i UVF [Ulster Defence Association, czyli Stowarzyszenie Obrońców Ulsteru oraz Ulster Volunteer Force to znaczy Oddziały Ochotników Ulsteru] wzięły się za łby. UDA uderzyła pierwsza, ale nie wszędzie zdołała pokonać rywali z UVF.

„Dochodziło do absurdalnych sytuacji. W Highfield, w zachodniej części miasta, UVF była silniejsza, ale to UDA miała zaatakować. Tamtejszy szef UDA poszedł więc do swojego sąsiada, członka UVF, powiedział mu o rozkazie ataku i zapytał, czy miałby coś przeciwko, gdyby wybił mu okna w domu i czy tamten nie mógłby potem się wynieść na dzień lub dwa. To miało pokazać, że lokalna UDA wykonała rozkaz i zadowolić szefostwo organizacji”⁴².

Ciekaw jestem, jaką minę ma członek organizacji terrorystycznej, gdy przedstawiciel innej grupy proponuje mu taki układ. I jakie miny mieli niemieccy policjanci obserwujący komórkę terrorystyczną z Sauerland szykującą atak na amerykańskie bazy wojskowe w Niemczech w 2007 roku. Dzięki informacjom otrzymanym od CIA, namierzyli trójkę weteranów powiązanej z Al-Kaidą uzbeckiej organizacji Unia Islamskiego Dżihadu (UID). Powrócili oni do Niemiec, by rozpocząć działania terrorystyczne. Co ciekawe, informacja o ich planach przedostała się do... mediów: „Kilka razy [...] spiskowcy zdali sobie sprawę, że są obserwowani. Jednak za każdym razem [...] musieli w końcu dochodzić do wniosku, że zaprzestano ich inwigilacji, i kontynuowali wdrażanie swoich planów w życie. Nie wycofali się nawet, gdy w kwietniu 2007 roku tygodnik »Der Spiegel« napisał o komórce UID, która przeniosła się z Turcji do Niemiec, by przeprowadzić tam ataki [...]. Spiskowcy przeczytali ten artykuł i zorientowali się, że był o nich, a jednak nie zrezygnowali. Ich zapał nie osłabł także po publikacjach z maja i czerwca tego samego roku. [...] I znowu nie wstrzymali przygotowań.

Jakby [...] wierzyli, że udało im się zgubić śledzących i że ich przygotowania pozostają niezauważone”. Szczytem naiwności, czy może głupoty, było zachowanie jednego z terrorystów, który „zorientowawszy się, że jest śledzony, po prostu wysiadł z auta, wyciągnął nóż i pociął oponę w samochodzie, który go śledził. Siedzący w nim oficerowie niemieckiego BfV, czyli Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji [odpowiednik polskiego ABW], nie zareagowali”⁴³. W ten sposób terrorysta bezsensownie odkrył się przed swoimi prześladowcami, którzy byli tak zszokowani jego postępkami, że długo nie mogli dojść do siebie. Ale wszystko stało się teraz jasne: oni wiedzą, że my wiemy, więc trzeba ich aresztować.

Terroryzm to nie tylko sukcesy terrorystów i ich spektakularne zamachy, ale też błędy, pomyłki, porażki i przesada. W sposób tragiczny pokazuje to scena z nagrania pochodzącego najprawdopodobniej z 2006 roku, w której Abu Musab az-Zarkawi, krwawy przywódca Al-Kaidy w Iraku, protoplasty ISIS, próbuje strzelać z karabinu maszynowego⁴⁴. Trzyma go w powietrzu, co wymaga pewnej krzepy i doświadczenia, naciska spust i... nic się nie dzieje. Powtarza tę czynność i dalej nic. W końcu zamaskowany podwładny, usilnie próbujący nie wejść w kadr, który ma wypełnić emir, stara się przeładować karabin. Zarkawi bezradnie trzyma broń i czeka na cud, a kiedy ten wreszcie następuje, z radością puszcza serię. Trudno się nie uśmiechnąć, bo sytuacja jest groteskowa, ale nie zapominajmy o innych nagraniach wideo, na których Az-Zarkawi ucina głowy porwanym zakładnikom. Farsa zamienia się w tragedię.

Jako farsę można też traktować sytuację, kiedy okazywało się, że zmierzający z Europy do „kalifatu” rekruci tuż przed wyjazdem kupowali książkę *Islam dla opornych*. Śmiejemy się, bo to parodia terroryzmu. Tyle tylko, że wielu im podobnych wyjechało z Europy, dotarło na Bliski Wschód, a niektórzy stali się prawdziwymi gwiazdami na firmamencie ISIS. Na przykład Brytyjczyk Jihadi John, który występował w filmach z egzekucji europejskich i amerykańskich zakładników „kalifatu”, czy nawet przyszli zamachowcy z Paryża z listopada 2015 roku, których ukazano, jak wcielają się w rolę egzekutorów. I to nie było udawane, lecz działało się naprawdę, a wideo zostało opublikowane po atakach w Paryżu i stało się pozdrowieniem zza grobu, ostrzeżeniem i całkowitym przeciwieństwem farsy.

Farsą i jej przeciwieństwem są inne kojarzone z ISIS sytuacje. Oto brytyjski rekrut ISIS narzeka na obyczaje panujące w „kalifacie”: „Możesz czekać w kolejce nawet i pół godziny, a potem przychodzi jakiś Arab i wpycha się przed ciebie [...]. Na Zachodzie jest rzeczą powszechnie wiadomą, że z pomieszczenia wychodzi się w tych samych butach, w których się tam weszło. Niestety w Syrii nasi syryjscy bracia mają bardzo specyficzną filozofię, dzięki której każdy może korzystać z obuwia kogoś innego, rozmiar nie jest ważny. Ktoś z numerem buta czterdzieści może swobodnie wyjść z pomieszczenia w twoich butach, nawet jeśli nosisz czterdzieści cztery, i czasami, o dziwo, może sobie nawet z tego nie zdawać sprawy [...]. Arabowie nie wiedzą, gdzie przebiega czerwona linia w odniesieniu do przestrzeni prywatnej – brat [tak nazywają siebie członkowie ISIS] nie pytał mnie o pozwolenie, bo podobno nie jest potrzebne, jeśli chce się przejrzeć czyjś dobytek. [...] Weźmy twoją ładowarkę – oni wzięliby ją sobie ot tak, po prostu, żeby podładować telefon, nawet kiedy w danym momencie nie ma takiej potrzeby [...]. Jeśli coś kupisz i włożysz do lodówki, to możesz się spodziewać, że zniknie w ciągu kilku godzin [...]. Podczas pobytu w Syrii spotkałem tylko kilku Syryjczyków, którzy dbali o to, by kuchnia była czysta, i niech Allah da nam więcej takich braci [...]. Niestety, umiejętności administracyjne nie są mocną stroną Arabów, którzy najczęściej mówią: »Jutro, jak Bóg da«, co na angielski można przetłumaczyć: »Jestem za leniwy, zostaw mnie w spokoju i przyjdź kiedy indziej [...]«”⁴⁵.

I znowu uśmiech, bo jak się nie uśmiechnąć, kiedy wyobrazimy sobie dżihadystę pochodzącego z małego miasteczka w Wielkiej Brytanii, który dotarł do „kalifatu” i nie pozbył się wyspiarskich manier. Nie zmienia to jednak faktu, że młody mieszkaniec Europy zdecydował się na taką podróż, a zamieszczone na blogu komentarze dotyczące realiów życia w państwie ISIS pisał z pozycji zniecierpliwionego ojca, sfrustrowanego starszego krewnego, który wszak nie odcina się od swoich braci i nadal w nich wierzy. Jego koledzy mogą narzekać na brak nutelli w „kalifacie”, ale wciąż tam jeżdżą i walczą, często popełniając przy tym zbrodnie wojenne. To się dzieje naprawdę i nie jest śmieszne.

Lubię prowadzić zajęcia na uczelni na temat błędów popełnianych przez terrorystów. To najczęściej tylko dwie godziny lekcyjne z trzydziestu, ale pomagają rozładować atmosferę. Można wówczas pokazać ludzki wymiar dżihadyzmu, jego

braki, niedociągnięcia oraz wyznawców z zupełnie innej strony. Jest to potrzebne, bo skoro przez pozostałe dwadzieścia osiem godzin czytamy teksty i traktaty ideologiczne, które wyszły spod piór dżihadystycznych luminarzy, to chwila oddechu staje się po prostu niezbędna. I nawet lepiej, że akurat te zajęcia przypadają u nas na okres zimy, tuż po sylwestrze, kiedy dyskusje o organizacjach terrorystycznych operujących na pustyniach Bliskiego Wschodu i Afryki brzmią jak bajka o żelaznym wilku. Ktoś go widział, coś słyszał, ale żeby był w stanie go opisać, to już zupełnie inna historia. Kosmos, jak mawiają studenci.

Opowiadam o literaturze ISIS, o tym, co się na nią składa. a są tam na przykład porady, jakie plecaki zabrać do Syrii, sugestie, by nie brać walizek, ile wziąć par skarpet, ile podkoszulków, jakie kosmetyki i tym podobne. Studenci pękają ze śmiechu.

– Przepraszam? – podnosi rękę student z Hiszpanii.

– Tak, słucham pana?

– Jeśli oni to piszą, to znaczy, że jest na to zapotrzebowanie, prawda?

– Wiele wskazuje, że tak.

– To znaczy, że jeśli oni, no, ci przyszli członkowie ISIS, pytają o takie rzeczy, to... tego nie wiedzą? Nie wiedzą, nie mają pojęcia, co będzie przydatne w „kalifacie”?

– Na to wygląda – uśmiecham się szeroko.

– To wystarczy za komentarz.

– Jaki, proszę pana? – pytam zaciekawiony.

– Ano taki, że to są, przepraszam za słowo, fajłapy.

Znowu śmiech w sali, kiwanie głowami, przytakiwania.

– Pan zrobiłby to lepiej, tak? Nie zadawałby pan tych pytań?

– Tak sędzę. Wydaje mi się, że byłbym lepszy.

– OK, nie wątpię. Przecież jest pan moim studentem. – Teraz ja wybucham śmiechem. – Jest jednak jedno „ale”.

– Tak?

– Wie pan, jaki telefon wziąć do Syrii? Jaką baterię? Jaką ładowarkę? Jaka tam jest pogoda, jakie ciuchy się sprawdzają? Ile wziąć pieniędzy i w jakich

banknotach? – pytania padają szybko, a mój rozmówca z każdą chwilą robi się coraz mniej pewny siebie. – Nie wie pan, prawda? I co teraz?

– Sprawdziłbym w necie...

– Słusznie, ale nie sądzi pan, że pański świat zrobiłby się niebieski od świateł policyjnych kogutów niedługo po takich badaniach w Google'u?

Zapada cisza, bo oto dotknęliśmy specyficznego tematu. Jak kończy się terroryzm? Jakie są drogi wyjścia dla ludzi z małą bombą? Dużo było już o więzieniach i śmierci, ale są też inne kwestie.

O falach, pieniądzach i miękkości

„Wiesz, ja już jestem zmęczony. Bardzo zmęczony. To trwa tak wiele lat. Uganiamy się za nimi po kraju, po lasach, po dżungli, po różnych wyspach i to nie ma końca. To jest gra. Raz oni, raz my, w górę i w dół. A ja chcę iść do domu, do rodziny. Czas ucieka, a mnie nie ma z bliskimi”.

Major filipińskiej armii nie mówił tego ze smutkiem, raczej z rezygnacją, z wynikającą z doświadczenia świadomością, że jego walka jeszcze potrwa. Miał jej dość i nie bał się tego powiedzieć obcokrajowcom. Nie powinien był, ale powiedział. Musiał na to zapracować, zasłużyć, bo w nagrodę za uganie się za komunistycznymi partyzantami i dżihadystycznymi terrorystami mógł także pojechać na szkolenia do Stanów Zjednoczonych. I nie tylko. Jeździł również na konferencje akademickie, gdzie spotykał cywilów takich jak ja i innych naukowców, którzy każde jego (i jemu podobnych) słowo chłonęli niczym komunię. Bo to oni walczyli ze złem, które my tylko badaliśmy. Jakże śmiesznie wyglądaliśmy na ich tle ze swoimi teoriami i etyką badań społecznych. Parafrazując słowa Franza Maurera, bohatera *Psów* Władysława Pasikowskiego: „Co my wiedzieliśmy o zabijaniu?”. Nic.

Major, nazwijmy go Thej, trafił w dziesiątkę. Jego walka trwała już prawie dwadzieścia lat, życie mu uciekało, a problem, z którym się zmagał, nie znikał. Owszem, czasem się zmniejszał, ale jakoś nigdy nie chciał lub nie mógł się skończyć. I nie miało wielkiego znaczenia to, co Thej robił, by ten proces przyspieszyć. Terroryzm odchodził i powracał, niczym fale⁴⁶.

Do dziś trwa dyskusja o falach w dziejach terroryzmu. Są zwolennicy i przeciwnicy tej teorii, która przedstawia terroryzm jako zbiór aktywności grup zbrojnych z całego świata w określonych latach i w imię podobnych lub wspólnych wartości: „Współczesny terror zaczął się w Rosji w latach osiemdziesiątych XIX wieku i w ciągu dekady pojawił się w Europie Zachodniej, na Bałkanach, w Azji [...]. Fala anarchistyczna stanowiła pierwsze, globalne lub międzynarodowe

doświadczenie terrorystyczne w historii, ale nastąpiły jeszcze trzy kolejne, nakładające się na siebie. Fala antykolonialna, która zaczęła się w latach dwudziestych XX wieku i trwała około czterdziestu lat. Potem przyszła fala nowej lewicy i skończyła się, gdy wiek XX dobiegał końca [...]. W 1979 roku [roku sowieckiej inwazji w Afganistanie i rewolucji ajatollaha Chomeiniego w Iranie] pojawiła się »fala religijna« [...]»⁴⁷. Każda fala trwała około czterdziestu lat, co oznacza, że z obecną będziemy mieć do czynienia przynajmniej do 2019 roku. Fale bardzo się od siebie różnią – inne są cele, inne ideologie, inna jest taktyka grup terrorystycznych.

Są jednak i podobieństwa: „Bomby, brody i plecaki to, przynajmniej w wyobraźni społecznej, znaki szczególne propagatorów terroru, którzy albo go inicjują, albo przeprowadzają zamachy destabilizujące co jakiś czas miasta na Zachodzie. Sytuacja sprzed wieku nie różniła się tak bardzo od obecnej – były bomby, brody, palące się lonty. Zmartwienia wywołane przez dwie fale terroryzmu, odpowiedzi na nie. Są też inne podobieństwa. Spazmy anarchistycznej przemocy, najbardziej widoczne w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XIX wieku, odczuwano, przynajmniej pośrednio, na wszystkich kontynentach. Pochłonęły setki istnień ludzkich, w tym niektórych szefów rządów, wzbudzały powszechny strach i stały u źródła szeregu nowych praw i restrykcji. Dżihadyzm z pewnością nie jest w linii prostej potomkiem anarchizmu, niemniej paralele pomiędzy anarchistycznymi zamachami z XIX wieku a dzisiejszymi atakami islamistów mogą być pouczające”⁴⁸.

Terroryzm się nie skończy. Zawsze z nami będzie. Zmieniają się nazwy, maski, barwy, nazwiska, ale terroryzm pozostanie terroryzmem, a pewni ludzie będą po niego sięgać, by osiągnąć swoje cele, realizować ambicje lub po prostu się mścić. Tak to wygląda z perspektywy historycznej. Nie znaczy to jednak, że nie ma końca terroryzm rozumiany jako zajęcie czy praca podejmowana przez konkretnych ludzi. Podobnie jest z organizacjami czy grupami, w których barwach ludzie ci wykonują tę pracę. Te powstają i upadają, reaktywują się i rozwiązują, wychodzą z tego biznesu i do niego wchodzą, a major Thej w końcu przejdzie na emeryturę albo po prostu rzuci wojowanie. Będzie spędzać więcej czasu z rodziną, odpocznie, zajmie się swoimi hobby. Co jednak czeka jego wrogów, za którymi uganiał się po dżungli? Co z ich pracodawcami? Gdzie pójdą? Jak kończy się terroryzm?

W przeszłości dominowała perspektywa, nazwijmy ją, bezpieczeniacka. Aresztowanie i likwidacja poszczególnych terrorystów niszczyły zdolność danej organizacji do prowadzenia działań, co przekładało się na jej upadek. Po wyjściu z więzienia terroryści albo nie mieli już sił na wznowienie poprzedniej działalności, albo zwyczajnie okazywali się już na to za starzy. Tak można było niszczyć terroryzm lewacki, to znaczy terroryzm spod znaku struktur kilkunastu-, kilkudziesięciosobowych, gangów w rodzaju Frakcji Czerwonej Armii. Neutralizacja większości ich członków to w praktyce jej demontaż. Co ciekawe, niektórzy członkowie tej organizacji opuszczali niemieckie więzienia po trwającej często ćwierć wieku odsiadce, całkiem niedawno – w 2007, 2008 i 2011 roku wychodzili na wolność jako pięćdziesięcio- lub sześćdziesięciolatekowie.

„Podobno organizowano dla nich kursy życia w XXI wieku – mówił mi chcący zachować anonimowość niemiecki pracownik Europolu, instytucji, którą niektórzy uważają za przyszłą europejską FBI. – Na miesiąc przed zwolnieniem z więzień wyprowadzano ich pod strażą na zewnątrz i pokazywano, jak wygląda świat. Uczono korzystać z karty debetowej, telefonu komórkowego, internetu. Wszystko po to, by się nie zagubili po opuszczeniu celi, bo wyobraź sobie siebie, jak wracasz do świata po dwudziestu pięciu latach. Jesteś bezradny, nie masz szans. Ci ludzie już nie myśleli o żadnym terroryzmie, zresztą część zdystansowała się od swojej młodzieńczej działalności podczas odbywania kary w więzieniu”.

Za pomocą aresztowań można też walczyć z poszczególnymi komórkami terrorystycznymi organizacji dżihadystycznych. Komórkami, bo są małe i liczą po kilka, kilkanaście osób, a ich cel sprowadza się do przeprowadzania kolejnych zamachów, najczęściej samobójczych. I albo całą taką komórkę zneutralizuje się przed zamachem, albo jej żywot zakończą udane ataki, w których jej członkowie poniosą śmierć. Problemy pojawiają się jednak, gdy jedna taka komórka okazuje się dopiero wstępem do odkrycia kolejnych i demaskacją całej sieci powiązań. Przykładem takiej struktury są francuscy, ale przede wszystkim belgijscy terroryści pochodzenia marokańskiego, którzy w 2015 i w 2016 roku atakowali w Paryżu i w Brukseli. Kolejni jej członkowie ginęli w zamachach, niektórych udawało się aresztować, między innymi Salaha Abdeslama, który porzucił swój pas szahida i zrezygnował z ataku na paryski Stade de France, ale zagrożenie dla Belgii i Francji nadal pozostawało wysokie.

„To jeszcze nie koniec – mówił mi wiosną 2016 roku Jean z belgijskiej policji. – Te zamachy to dzieło tylko jednego z elementów belgijskiego kontyngentu w ISIS, »naszych« bojowników zagranicznych, którzy pojechali do Syrii walczyć w szeregach armii »kalifatu«. Do dżihadu zostali zrekrutowani w Brukseli, gdzie na czele siatki werbunkowej stał Khalid Zerkani, najskuteczniejszy belgijski rekruter. Jednak większość Belgów działających w Syrii to absolwenci grupy Sharia4Belgium [Szariat dla Belgii]. Teoretycznie rozbito ją niedawno aresztowaniami, ale część jej członków przebywa w Syrii. Może niektórzy wrócą, może też będą dokonywać zamachów i dlatego twierdzę, że to jeszcze nie jest koniec”.

Mogło się więc nagle okazać, że przeciwnikiem nie jest pięciu czy dziesięciu terrorystów, ale coś znacznie większego. Struktura z zapleczem, ludźmi zapewniającymi wsparcie logistyczne czy wręcz administracyjne, otoczona wianuszkiem sympatyków i powiązań niekojarzonych przez nas z terroryzmem – przyjaźniami jej członków, wspólnymi doświadczeniami ze szkoły, z podwórka czy wakacji lub nawet młodzieńczymi romansami: „[Hasna ait Boulahcen] była zakochana w Abdelhamidzie Abaaoudzie [organizatorze zamachów w Paryżu z listopada 2015 roku] od momentu, kiedy prawie poślubiła go w wieku lat szesnastu. Pozostała z nim w kontakcie po jego dołączeniu do ISIS w Syrii [...]. [Dwa dni po zamachach] spotkała się z nim w jego kryjówce we Francji [...]. [Abaaoud] wręczył jej cztery tysiące euro, by kupiła ubrania i buty potrzebne terrorystom do przeprowadzenia następnych ataków [...]. [Potem] odebrała Abaaouda i Akrouha [innego z zamachowców z Paryża] z ich kryjówki i przetransportowała w taksówce do kolejnego mieszkania [...]"⁴⁹.

Została z ukochanym i jego towarzyszem w tym mieszkaniu i kilka godzin później, po szturmie elitarniej jednostki antyterrorystycznej, już nie żyła. Owszem, popełniła przestępstwo, ukrywając zamachowców, ale nie powinna była zginąć. Jej krótki flirt z terroryzmem zakończył się tragicznie. Podobnie stało się z dwójką terrorystów planujących następne ataki. Ich towarzysze także ginęli w zamachach samobójczych w Brukseli w marcu 2016 roku, a innych aresztowała policja tropiąca już nie komórkę terrorystyczną, ale niemal osobną organizację. Niektórzy jednak wymknęli się z obławy, a ich ukochane i przyjaciele pozostają nieznanymi i być może pałają żądzą zemsty. W tym miejscu pojawia się pytanie: Co dalej? Co zrobić z tymi ludźmi, bo przecież wszystkich nie uda się aresztować lub

zlikwidować w szturmach podobnych do tego, w którym śmierć poniosła Hasna ait Boulahcen? Wraca też stawiane wcześniej pytanie, choć nieco zmodyfikowane: Jak kończy się (wspomaganie) terroryzm(u)?

Wróćmy jeszcze do wpadki Abaaouda i jego kompana. Nie, nie chodzi o miłość, ale o pieniądze, bo ktoś musiał kupić terrorystom nowe ubrania. Czy pieniądze to skuteczny środek kończący terroryzm lub, mówiąc ściślej, działalność terrorystyczną członków danej organizacji?

„Pieniądze to najważniejszy element strategii walki z terroryzmem – twierdzi Henry McDonald, korespondent „The Guardian” w Irlandii, autor książek o trzech organizacjach terrorystycznych. – Irak po 2003 roku dlatego stał się taką porażką, bo Amerykanie zapomnieli, że trzeba wygrać nie tylko wojnę, ale też pokój. U nas, w Irlandii Północnej, na półtora miliona ludzi mamy, ja wiem, coś około trzydziestu tysięcy pracowników socjalnych. Większość z nich to byli członkowie organizacji terrorystycznych, a każdy z nich dostaje po dziesięć tysięcy funtów rocznie netto, co razem daje trzysta milionów funtów łąpówki. Tak, łąpówki, bo w ten sposób Wielka Brytania wykupiła się z wojny. I to działa, działa zaskakująco dobrze [...]. Istnieją całe minispołeczeństwa w rozmaitych częściach Irlandii Północnej, gdzie obowiązuje zasada »praca dla swoich«. Państwo jest tam jedynym pracodawcą i jeśli nie grasz z »chłopakami« do jednej bramki, to zapomnij, nie znajdziesz roboty. Londyn na to pozwolił, scedował kontrolę nad niektórymi obszarami tej części Zjednoczonego Królestwa i wszedł w ten nepotyzm. Oczywiście, można powiedzieć, że to jedyne wyjście z tej jakże trudnej sytuacji, bo inaczej po ulicach szwendałoby się mnóstwo bezrobotnych terrorystów. Można też mówić, że to nieetyczne, ale to działa, bo nie ma przemocy i nie ma terroryzmu. Sukces tej łąpówki to bardzo, ale to bardzo przekonujący argument. Jeśli jesteś decydem w Londynie, to się nie zastanawiasz, jak to się stało, że w Belfaście się nie zabijają. Nie mordują się i już, nie wnikasz w kwestię etyczną, że w gruncie rzeczy z twojego budżetu opłaca się kogoś, kto kiedyś był niegrzeczny”.

„Pozostaje tylko zapytać, jak to działa w praktyce, co to znaczy, że brak poparcia »chłopaków« jest równoznaczny z brakiem szans? – mówi Hugh Jordan, dziennikarz irlandzkiej niedzielnej bulwarówki „Sunday World”. – Chcesz przykład? Jeden ważniak z IRA, który jeszcze wiele lat po tym, jak jego organizacja podobno zawiesiła broń [w 1997 roku], ciągle wydawał na swoich

wrogów wyroki śmierci. Wrogów, to znaczy osoby, które kiedyś mu podpadły. I teraz uważaj: jego pensja to dwadzieścia osiem tysięcy funtów rocznie za pracę w organizacji pozarządowej zajmującej się rewitalizacją zaniedbanego kwartału miasta. A gość ledwo pisze i czyta, nie ma żadnych, ale to żadnych kwalifikacji, nic, totalne zero. Nie było żadnej rozmowy o pracę, żadnego testu, zapomnij o transparentności. Dostał tę robotę, bo jest tym, kim jest. Jest jednym z »chłopaków«, a oni są opłacani. Istnieją takie organizacje pozarządowe, które zajmują się pomocą dla bezrobotnych w mieście. Po cholere? Co to, nie ma pośredniaków? Zresztą tu jest góra sześć procent bezrobocia! Czy naprawdę trzeba jeszcze wyrzucać w błoto dodatkowe pieniądze, by tych bezrobotnych na siłę aktywizować? Wiesz, niedaleko siedziby gości z tej »pomocy dla bezrobotnych«, jest taki znany pub. Jeśli chcesz ich spotkać, pogadać, zobaczyć, jak to jest być byłym terrorystą, to zajrzyj tam w porze lunchu. Wtedy się tam schodzą, stamtąd prowadzą swoją działalność”.

Kiedy słyszę te słowa, mam ochotę zapytać cynicznie, czy zgodzi się ze mną, że tym ludziom opłacało się być złymi, angażować się w terroryzm, bo teraz dostają pieniądze za to, by już się w to nie bawili? Oczywiście takie wypowiedzi nie uwzględniają jednego drobiazgu – pieniądze to tylko wierzchołek góry lodowej i one same nie przekonają zatwardziałyh terrorystów, by przeszli na jasną stronę mocy. Pieniądze pomagają, pogłębiają ideologiczne wyłomy świadczące, że kwestionuje się programy organizacji terrorystycznych.

Ktoś powie, że powyższe doświadczenie jest nie do zastosowania w przypadku innych terrorystów, innych organizacji, bo w przeciwieństwie do etnonacjonalistycznego bojownika z IRA, żadnego skrajnego lewicowca albo dżihadysty nie da się przekupić. Nieprawda. Da się ich może nie tyle przekupić, ile przekonać, przy użyciu także zachęt materialnych, i trzeba przyznać, że niektórzy są dobrzy w takim przekonywaniu. Na przykład Duńczycy, którzy jeszcze dwie dekady temu nie mieli żadnego problemu z islamistycznymi terrorystami. Do walki z nimi podeszli dwutorowo. Z jednej strony skoncentrowali się na zapewnianiu bezpieczeństwa obywatelom za pomocą tradycyjnych metod antyterrorystycznych (policja, służby specjalne), a z drugiej zaprzęgli do tych działań duńską specjalność, czyli ich system opieki społecznej. To jego narzędzia i mechanizmy miały stanowić miękką przeciwwagę dla policyjno-kryminalnego antyterroryzmu, i to dzięki nim odciąga się ludzi od ekstremizmu. Kogo?

„Osoby zagrożone radykalizacją, funkcjonujące w środowiskach, z których wywodzą się znani ekstremiści, na przykład duńscy członkowie ISIS, »nasi« zagraniczni bojownicy, którzy pojechali do Syrii – mówi Ann z duńskiego ministerstwa spraw gospodarczych i wewnętrznych, która współtworzyła duński model antyterrorystyczny. – Nie daje im się pieniędzy, ale pomaga w znalezieniu pracy, szkoli pod kątem zdobycia zatrudnienia, oferuje doradztwo, pomoc psychologiczną. To nie jest nic wielkiego, ale oszczędza miliony, które trzeba byłoby wydawać na działania policyjne. I najważniejsze: taką pomoc otrzymują ci, którzy nie popełnili przestępstw, choć obracają się w kręgach *de facto* przestępczych, znają niektórych terrorystów. Naturalnie muszą chcieć z tej pomocy skorzystać. Natomiast jeśli są przestępcami, to rozmowa jest zupełnie inna i wobec nich stosuje się tradycyjne rozwiązania antyterrorystyczne. Po prostu idą do więzienia”.

Niektórym Duńczykom to się jednak nie podoba. Powiadają, jak jeden z posłów Duńskiej Partii Ludowej, że wysyła się „sygnał świadczący o słabości, bo zamiast karać tak zwanych świętych wojowników, daje im się wszystko to, co najlepsze w państwie dobrobytu”⁵⁰.

Podobne dyskusje toczą się w sąsiedniej Szwecji, która nie ma jeszcze własnych programów rehabilitacyjnych dla ekstremistów, radykałów ze środowisk islamistycznych, choć posiada rozbudowane i sprawne instytucje czyniące z niej państwo dobrobytu. Na wojnę w Syrii wyjechało ze Szwecji co najmniej trzysta osób, co jest drugim wynikiem w Unii Europejskiej, po Belgii, licząc *per capita* to jest na milion mieszkańców (Belgia jest krajem, w którym na ulicach wybuchają bomby i gdzie planuje się zamachy). Reasumując, wypadałoby się przejąć tymi wyjazdami do Syrii i powrotami z niej do Szwecji. Okazuje się jednak, że Szwedzi nie za bardzo wiedzą, co robić z tymi świętymi wojownikami. Zapytałem o to Jonasa ze szwedzkiej policji w Göteborgu, człowieka znającego jak własną kieszeń dzielnice i osiedla, z których wywodzili się szwedzcy bojownicy w Syrii.

„[Powracający z wojny w Syrii] nie muszą i nie spodziewają się aresztowania [...]. Służbom specjalnym i prokuraturze jest bardzo ciężko zebrać dowody [na ich działalność terrorystyczną w Syrii lub w Iraku], z którymi można by pójść do sądu. Na tę chwilę nie ma także dla tych ludzi programów deradykalizacyjnych i rehabilitacyjnych. Rząd przez kilka lat nakłaniał do tego społeczeństwo obywatelskie i nawet oferował środki na finansowanie takich działań. Równolegle

toczy się intensywna debata na ten temat w rządzie i w społeczeństwie. Część polityków i obywateli jest przerażona perspektywą powstawania takich programów, nie zdając sobie przy tym sprawy, że one od wielu lat istnieją, a ich beneficjentami są osoby opuszczające środowiska skrajnie prawicowe i kryminalne [Dania ma taki program adresowany do członków gangów motocyklowych]. Toczy się sarkastyczna debata pod hasłem: »Jedź do Syrii, wróć, dostań pracę i darmową opiekę zdrowotną w Szwecji«. Mnie ona nie dziwi, ale to nie pomaga i nie posuwa niczego do przodu. No i do tego ta irytacja, że tak niewielu z nich trafiło do więzień”.

Dania i Szwecja stanowią przykłady państw, w których, jeśli się chce, to można „na miękko” odciągać ludzi od środowisk niebezpiecznych i zagrażających reszcie społeczeństwa. Także terrorystów, byłych terrorystów lub potencjalnych terrorystów. Ktoś powie, że to łatwe, bo Dania i Szwecja to bogate kraje ze sprawnymi instytucjami cieszącymi się dużym zaufaniem oraz z obywatelami mającymi szacunek do państwa. Nie tylko jednak Europejczycy chcą w ten sposób pozbywać się terroryzmu, dusić go w zarodku albo przekonywać przestępców wcale nie przy użyciu policji lub służb specjalnych. Tak próbują radzić sobie z byłymi członkami Boko Haram Nigeryjczycy. Na początku XXI wieku podobnie postępowali Jemeńczycy, którzy za sprawą poradnictwa religijnego próbowali skierować na właściwą drogę członków Al-Kaidy. I ani nie mieli na to duńskich pieniędzy, ani nie korzystali ze skutecznych instytucji państwowych, które z sukcesami mogłyby wprowadzać w życie taki program.

„Przez dziesięć tygodni Hamud al-Hitar [szef programu rehabilitacyjnego w Jemenie] i jego współpracownicy spotykali się ze stu czterema więźniami, próbując przekonywać, że ich rozumienie islamu zostało wypaczone przez spragnionych władzy wyrzutków w rodzaju Osamy bin Laden i Ajmana az-Zawahiriego. Ci młodzi ludzie mieli dobre intencje, ale byli zagubieni i słabo wykształceni. Hitar wierzył, że przytłaczały ich lingwistyczne i gramatyczne komplikacje Koranu. Jego zdaniem ludzie ci »nie są znawcami Koranu« [...]. 11 listopada 2002 roku [...] Hitar zakończył ostatnią sesję i wydał rekomendację, żeby trzydziestu sześciu ze stu czterech więźniów uwolnić na próbę [...]. Pomimo trudności program posuwał się do przodu, więźniowie podpisywali co trzeba, obiecując dobre sprawowanie w zamian za uwolnienie. Hitar szybko przestał porywać się na to, by zmieniać ich ideologiczne patrzenie na świat i program

ewoluował w kierunku czegoś na kształt taktycznego paktu o nieagresji między rządem a [...] aresztowanymi terrorystami. Więźniowie nie musieli już wyrzekać się zbrojnego dżihadu, musieli się tylko zobowiązać, że nie będzie ataków w Jemenie. Państwo zawarło niebezpieczny kompromis: nie atakujcie nas, a my nie będziemy atakować was”⁵¹.

Podobnego podejścia próbowali także Egipcjanie, których nikt nie kojarzy z miękkim antyterroryzmem. Nie przeszkadzali swoim dżihadystom w dyskusjach na temat porzucenia przez nich terroryzmu toczonych głównie w więzieniach, gdzie w zamknięciu przebywała duża część członków Egipskiej Grupy Islamskiej. Przeciwnie, państwo pomagało w tych dyskusjach, wynajmując na ich potrzeby specjalne sale, budując sceny, dostarczając mikrofony, ławki, stoły i tak dalej. W tych cieplarnianych, jak na Egipt, warunkach, terroryści mieli swobodnie usiąść i dyskutować o końcu terroryzmu prowadzonego przez organizacje: „[...] kiedy historyczni przywódcy Grupy Islamskiej ogłosili swoją »Inicjatywę na rzecz zaprzestania przemocy« (ICV) w 1997 roku, nie koordynowali tego z państwem egipskim. Reżim [prezydenta Hosniego Mubaraka] był zaskoczony i najpierw zareagował negatywnie [...]. Jednak od 1998 roku państwo zaczęło wchodzić w interakcję z Grupą Islamską i rozpoczął się okres odwracania wcześniejszych represji. Przemoc, której doświadczali członkowie Grupy w więzieniach, powoli stawała się przeszłością, posiłki poprawiły się pod względem zarówno jakości, jak i ilości. Od 1999 i 2000 roku wizyty w więzieniach, zakazane [...] od lat 1992–1993, były przywracane, a warunki się poprawiły. Od grudnia 2001 roku polityka rządu w stosunku do Grupy weszła na inny poziom – bezpośredniej koordynacji. Odzwierciedleniem tego była możliwość odwiedzania więzień i dawania w więzieniach wykładów przez historycznych przywódców Grupy [...]. Ostatecznie [...] reżim zaczął zwalniać więźniów pod koniec 2002 roku i na początku 2003 roku, najpierw w setkach, potem w tysiącach”⁵².

Nikt jednak nie pomagał terrorystom tak, jak robili to Saudyjczycy, a ich program „doradczy” stał się przedmiotem żartów i kpin. Działo się tak być może dlatego, że wielu uważało go za nieskuteczny, i tak się jakoś składało, że jego niektórzy „absolwenci”, podobno wyleczeni z dżihadyzmu, dziwnym trafem odnajdywali się później w szeregach Al-Kaidy na Półwyspie Arabskim. Jej bazą jest sąsiadujący z Arabią Saudyjską Jemen. Krytyka okazała się nie do końca celna, bo sam pomysł na PRAC – prewencję, rehabilitację i „opiekę po” – nie był zły

i wiązał się też z saudyjską tradycją dopuszczającą, że więźniów odwiedzają duchowni, autorytety religijne lub plemienni przywódcy⁵³. Sama część rehabilitacyjna programu w praktyce sprowadzała się do nauki religii lub, jak kto woli, wykładni tej religii według saudyjskiego establishmentu religijnego. Z kolei *clou* programu polegało na przeniesieniu zrehabilitowanych więźniów do Centrum Doradztwa i Opieki, co miało im pomóc w powrocie na łono społeczeństwa. I właśnie to Centrum stało się solą w oku krytyków programu PRAC, ponieważ: „dwustu pięćdziesięciu pacjentów miało [w Centrum] codziennie dostęp do terapii poprzez sztukę, zajęć z aerobiku w basenie, możliwości gry w ping-ponga, jacuzzi i wyśmienitych kucharzy [...]. W kilku umieszczonych w cieniu palm, dyskretnych domkach, wyposażonych w klimatyzację i baseny, saudyjscy psychologowie, imamowie i socjologowie pomagają przygotować pacjentów na ich powrót do świata zewnętrznego”⁵⁴.

I koło się zamyka. W Szwecji kręcą nosem nad miejscami pracy dla wracających z Syrii zagranicznych bojowników, ale nie inaczej dzieje się na innym kontynencie, w dalekiej Arabii Saudyjskiej, którą jeszcze na całym świecie wyśmiewają za luksusowe traktowanie dżihadystów. Skoro takie podejście jest kontrowersyjne, to może warto inaczej zwalczać terrorizm. Nie przy użyciu pieniędzy.

Usunięcie przywódcy

Są inne sposoby walki z terroryzmem. Paul Wilkinson, który jako jeden z pierwszych zaczął badać to zjawisko przy użyciu narzędzi dostępnych naukowcom, pisał o demokratycznych i niedemokratycznych „ścieżkach odchodzenia od terroryzmu”⁵⁵. Negocjacje, procesy pokojowe, ale też, a może przede wszystkim, aktywne działania policji i służb specjalnych stanowią pierwszą kategorię. Jedna uwaga – nic pozaprawnego, wszystko zgodnie z przepisami i nic z własnej inicjatywy. Żadnych szwadronów śmierci, czystek, masakr, „zniknięć”. Żadnych „wypadków przy pracy”, żadnej militaryzacji zwalczania terroryzmu, a jedynie kryminalizacja przeciwnika, który łamie prawo i po prostu jest przestępcą.

Druga kategoria, nazywana ścieżką niedemokratyczną, stanowi przeciwieństwo pierwszej. Chodzi tu o działania pozaprawne, tak tajne, że nie wiedzą o nich nawet mający dostęp do podobno wszystkich informacji, operacji i akcji, po których nie ma śladów w dokumentach (tak w PRL-u zachowywała się między innymi wobec księdza Jerzego Popiełuszki Samodzielna Grupa „D” Departamentu IV MSW). Nic na papierze, wszystko „na gębę”, dla jakiegoś wyimaginowanego przez zleceniodawców wyższego dobra i celu politycznego, któremu takie działania miały służyć. To trawestacja zwalczania terroryzmu, bo jego istota polega na sterroryzowaniu terrorystów.

Za jeden z elementów terroryzowania terrorystów można uznać tak zwane ucinanie głowy, czyli aresztowanie lub eliminowanie szefa danej organizacji⁵⁶, co ma spowodować lub przyspieszyć upadek danej struktury terrorystycznej. Brzmi sensownie i wydaje się jasną oraz prostą drogą do pozbycia się terrorystów – zlikwiduj przywódcę, a to tak podkopie morale jego podwładnych, że organizacja posypie się jak domek z kart. Niestety tak się nie dzieje. Jenna Jordan z Uniwersytetu w Chicago przebadła pod tym kątem około trzystu grup terrorystycznych i doszła do wniosku, że: „dekapitacja [usunięcie przywódcy] nie jest efektywną strategią. Okazuje się efektywna w siedemnastu procentach przypadków. [...] grupy pozbawione przywództwa mają wolniejszy wskaźnik

regresu niż grupy, których przywódcy nie zostali usunięci [...]. Dekapitacja będzie kontrproduktywna w przypadku dużych, starszych, religijnych i separatystycznych organizacji, kiedy to przynosi skutek odwrotny do zamierzonego”⁵⁷.

Jeszcze raz i na spokojnie – zabicie przywódcy dużej, ugruntowanej organizacji terrorystycznej nic drugiej stronie nie da. Okaze się bezcelowe, a nawet wydłuży egzystencję takiej organizacji. Spójrzmy na przykłady: czy Al-Kaida skończyła się po śmierci Osamy bin Ladena, jej założyciela i *spiritus movens*? Nie, istnieje do dziś i ma ciekawe perspektywy rozwoju, na przykład w Syrii. Czy usunięcie Abu Bakra al-Baghdadiego będzie oznaczać koniec Państwa Islamskiego – ISIS? Kto dziś w ogóle pamięta, że przed nim organizacją tą kierował inny Al-Baghdadi, Abu Omar? IRA odrodziła się w 1969 roku i przez lata miała wielu szefów, których aresztowania, owszem, miały wpływ na kierowaną przez nich organizację, ale nigdy nie oznaczały jej końca. Niekiedy nawet mniejsze grupy terrorystyczne, jak Baader-Meinhof, przetrwały śmierć swoich przywódców, czy może lepiej powiedzieć – ojca i matki założycieli, których nazwiska stanowiły jedną z obowiązujących nazw tej organizacji.

Z krytyką znaczenia przywódcy w organizacji terrorystycznej można iść jeszcze dalej. „W gruncie rzeczy mówienie o jednoosobowym przywództwie jest czasami nadużyciem – stwierdził Pedro z hiszpańskiej policji, który świetnie zna historię baskijskiej ETA, „dużej, starszej i separatystycznej” organizacji terrorystycznej. – Co, jeśli dana organizacja ma kolektywne kierownictwo? W ETA to były trzy osoby: szef do spraw militarnych, szef do spraw logistyki i szef do spraw politycznych. Co z tego, że usuniesz jednego, skoro są następcy na jego miejsce? Dodaj do tego, że to osoby ważne i wpływowe, bo są weteranami i z jakichś powodów cieszą się szacunkiem kolegów. W teorii ci ludzie są poza kierownictwem, ale często to ich opinie kształtują kierunek, w jakim podąża organizacja”.

Takie ograniczenia efektywności „dekapitacji” jako sposobu zwalczania terroryzmu prowadzą badaczy do konkluzji, że usunięcie przywódcy jest równoważne z upadkiem i rozwiązaniem organizacji terrorystycznej tylko wówczas, gdyby istniał w niej kult jednostki. Usunąć króla słońce, założyciela, ojca, a jego podopieczni, poddani, służący stracą zapal do dalszych działań lub się rozpięchną. Do pewnego stopnia tak stało się z japońską sektą Najwyższa Prawda, która w 1995 roku przy użyciu sarinu zaatakowała tokijskie metro. Po

aresztowaniu jej przywódcy sekta porzuciła działalność terrorystyczną, ale, choć pod innymi nazwami, funkcjonuje do dzisiaj. Jeszcze inaczej potoczyły się losy peruwiańskiej maoistowskiej organizacji terrorystycznej Świetlisty Szlak, która wciąż podobną do kultu Stalina otaczała swojego założyciela, profesora Abimaela Guzmána (Towarzysza Gonzalo). Jego aresztowanie w 1992 roku nie zakończyło jednak historii Świetlistego Szlaku istniejącego do drugiej dekady XXI wieku.

Inną sprawą jest to, że organizacje terrorystyczne dość rzadko zmieniają przywódców. Zabrzmi to szokująco, ale tak właśnie się dzieje. W 2011 roku na amerykańskiej liście „zagranicznych organizacji terrorystycznych” figurowało czterdzieści osiem nazw⁵⁸ struktur i grup, które istniały ogółem przez 1018 lat. Przez cały ten czas kierowało nimi sto czternaście osób i oczywiście niektóre z tych organizacji miały wielu zmieniających się często przywódców, a inne, jak Al-Kaida, do 2011 roku tylko jednego. Z tych stu czternastu w 2011 roku osiemdziesięciu sześciu miało już status byłych przywódców. Większość, bo aż sześćdziesięciu dziewięciu, została aresztowana lub fizycznie zlikwidowana przez siły bezpieczeństwa, reszta kończyła jednak kierowanie organizacją niejednokrotnie w dość nietypowy jak na terrorystów sposób.

Pięciu z nich zmarło z przyczyn naturalnych, jak zwykli śmiertelnicy. Chorujesz, starzejesz się, wypalasz, stresujesz i na końcu umierasz. Jedyna różnica polega na tym, że większość ludzi kończy życie na emeryturze, a tych pięciu kierowało organizacjami terrorystycznymi aż do swoich ostatnich dni. Przykład: Manuel Marulanda z kolumbijskiego FARC, Dursun Karataş z tureckiej, nielegalnej, marksistowsko-leninowskiej DHKP/C [skrót od Rewolucyjno-Wyzwoleńcza Partia Front]. Obie organizacje wciąż istnieją, więc nie mówimy tu o jakiejś prehistorii lub szczególnej egzotyce.

Cztery osoby przeszły na emeryturę, usunęły się w cień i oddały stery komuś innemu, często z powodu złego stanu zdrowia. Tak było z Georges'em Habaszem z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny, organizacji, która pod koniec lat sześćdziesiątych zapoczątkowała wśród terrorystów modę na porwania samolotów. Habasz przeszedł na emeryturę dopiero w 2000 roku.

Trzech zostało usuniętych z funkcji, a jeden sam zrezygnował. Pierwsza trójka nie skupiła w swoich rękach dość władzy, by odeprzeć ataki adwersarzy z samej organizacji, a ci, korzystając z okazji, zbuntowali resztę terrorystów przeciwko

przywódcy i dokonali czegoś na kształt pałacowego zamachu stanu. W przeszłości takie sytuacje miały miejsce w łonie tak znanych organizacji jak Hezbollah w Libanie, As-Szabab w Somalii czy RIRA (Real IRA, czyli Prawdziwa IRA, odłam IRA) w Irlandii Północnej. Rezygnacja i późniejsze wyrzeczenie się przemocy przez przywódcę zdarzyły się w nie mniej popularnej organizacji, bo w GSPC – Salafistycznej Grupie Modlitwy i Walki, która w 2007 roku stała się regionalnym, północnoafrykańskim, przedstawicielstwem Al-Kaidy, jako Al-Kaida w Islamskim Maghrebie (AQIM). Jej przywódca Hassan Hattab przed 2005 roku zaczął mieć poważne wątpliwości co do sensu kontynuowania działań terrorystycznych. Tłumaczył je następująco: „W XXI wieku zmieniła się polityka reżimu. Miałem wrażenie, że inicjatywa w sprawie narodowego pojednania [oferująca amnestię dla odpowiedzialnych za przemoc w algierskiej wojnie domowej z lat 1991–2000] proponowana przez prezydenta Algierii jest szczerą [...]. Zmieniło się też podejście społeczeństwa. Za nic nie mogliśmy twierdzić, że je reprezentujemy i walczyć dalej, kiedy prawie cała opinia publiczna opowiadała się za pojednaniem [...]. Różni islamscy duchowni zaczęli też sprzeciwiać się kontynuowaniu przez nas walki zbrojnej [...]. Ani jeden duchowny nie chciał udzielić wsparcia naszym działaniom [...]. Wcześniej nie wypowiadali się oni na temat konfliktu w Algierii, ale teraz zaczęli się aktywnie wypowiadać i ogłaszać *fatwy*, w których mówili, że to musi się skończyć. Ta sytuacja zmieniła wszystko”⁵⁹.

To rozumowanie i te fakty pchnęły go do rezygnacji z kierowania GSPC, a następnie, w 2007 roku, do oddania się w ręce władz, kiedy jego organizacja działała już jako AQIM.

W jednej organizacji terrorystycznej, irańskich Ludowych Mudżahedinach, zmiana przywództwa nastąpiła na podstawie przekazania władzy. I to między mężem a żoną, jak w firmie rodzinnej: „Masud Radżawi [przywódca Ludowych Mudżahedinów] spektakularnie skradł jednemu ze współpracowników żonę, Marjam. Masud zakochał się w niej i wymyślił specjalny program polityczny, w którym odgrywała ona rolę rewolucyjnej królowej, co miało uzasadniać jej rozwód z ówczesnym mężem. Masud twierdził, że kobiety powinny być równe mężczyznom, a Marjam powinna być równorzędnym liderem u jego boku. Ale praca razem bez ślubu byłaby pogwałceniem prawa islamskiego, więc Masud załatwił jej rozwód i nazwał to »rewolucją kulturalną« [...]. Radżawi [człowiek

o podobno skrajnie lewicowych i rewolucyjnych poglądach] mówił, że naśladuje proroka Mahometa, który poślubił żonę swojego adoptowanego syna, by pokazać, że mógł pokonać konwencjonalną moralność. [To, co zrobił Radżawi] zakrawało na bluźnierstwo. [...] I choć Masud i Marjam załatwili sobie, żeby być razem, wszyscy inni członkowie Ludowych Mudzahedinów zostali zmuszeni do życia w celibacie”⁶⁰.

Jeden przywódca organizacji terrorystycznej, słynny Abu-Nidal, zimnowojenny „terrorysta do wynajęcia”, popełnił samobójstwo. Ewentualnie, jak zdarzało się mówić bohaterom filmu *Służby specjalne* Patryka Vegi, ktoś „mu zrobił samobójstwo”, a chętnych do popełnienia tego czynu było bardzo wielu.

Dimitris Koufondinas z greckiej Rewolucyjnej Organizacji 17 Listopada zwyczajnie oddał się w ręce policji. Przyszedł na komisariat i powiedział, kim jest. „5 września 2002 roku [...] Dimitris Koufondinas poddał się po ponad dwóch miesiącach przebywania w ukryciu. O 14:35 Koufondinas podjechał taksówką pod komisariat przy alei Alexandras w Atenach. Miał na sobie dzinsy, czarną podkoszulkę, okulary przeciwsłoneczne i czapkę dżokejkę. »Jestem Dimitris Koufondinas i przyszedłem oddać się w ręce policji« – oświadczył zdumionemu oficerowi dyżurnemu. Później [podczas procesu] Koufondinas w oświadczeniu odczytanym przez prawnika oznajmił, że poddał się dobrowolnie, »by przyjąć polityczną odpowiedzialność za wszystkie działania Rewolucyjnej Organizacji 17 Listopada«”⁶¹.

Pamiętajmy jednak, że nie wszystko kończy się w sposób nietypowy. Dość często terroryści schodzą ze sceny w sposób typowy – negocjują, osiągają kompromis, czasem odnoszą pełen sukces, często zmieniają formę działalności. Pozostaje ten sam szyld, ale koncepcja czy obszar działań są już inne. Dość często terroryści ponoszą też całkowitą klęskę.

Negocjacje, zniszczenie i sukces

Terroryzmowi można położyć kres również poprzez negocjacje. Owszem, każda władza mówi, że z terrorystami nie negocjuje, bo to pięknie wygląda w telewizji i może poprawić sondaże partii rządzącej. W praktyce, jeśli jest taka potrzeba lub nie ma innych możliwości, z terrorystami negocjuje każdy. Pośrednio, bezpośrednio, zaciskając zęby, bez podania ręki, ale negocjuje. Kiedy piszę te słowa, takie negocjacje toczą się w Kolumbii, gdzie rząd finalizuje rozmowy z uznawanymi za terrorystów marksistami z FARC [Rewolucyjne Siły Zbrojne Kolumbii]. „Od lat z terrorystycznym Hamasem, za pośrednictwem Egipcjan, rozmawiają Izraelczycy, którzy wcześniej rozmawiali też z terrorystami z Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Władze Sri Lanki, zanim w 2009 roku utopiły w morzu krwi rebelię Tamilskich Tygrysów, również negocjowały z terrorystami. Hiszpania krzywiła się, pokrzykiwała, ale w swojej najnowszej historii i ona wielokrotnie negocjowała z ETA, między innymi przez pośredników w Genewie latem 2005 roku. Często działo się to w hotelu Palais Wilson, z którego widać Jezioro Genewskie i Alpy. Rząd był tam reprezentowany przez Jésusa Eguigurena, socjalistycznego polityka baskijskiego, ETA – przez dwóch swoich przedstawicieli, w tym »George’a« [...], czyli Josu Ternera [...], człowieka ze szczytów tej organizacji, którego obecność stanowiła dowód, jak poważnie traktowała ona inicjatywę pokojową i negocjacje”⁶².

Najlepiej jednak negocjacje udały się w Irlandii Północnej, gdzie w latach dziewięćdziesiątych uruchomiono, trwający podobno do dzisiaj, proces pokojowy, dzięki któremu udało się zakończyć przemoc organizacji terrorystycznych i ostatecznie je rozbroić. Weteran irlandzkiego republikanizmu Danny Morrison, który spędził kilka lat w więzieniu za członkostwo w nielegalnej organizacji, czyli IRA, opowiadał mi po latach: „Improwizowaliśmy, nie było dokładnie przygotowanego planu. Wiedziałem dwie rzeczy. Kiedy siedziałem w więzieniu na początku lat dziewięćdziesiątych, wielu moich towarzyszy znalazło się za kratkami po raz drugi lub trzeci w swoim niezbyt jeszcze długim życiu. To po pierwsze. Po drugie, pod koniec lat osiemdziesiątych trafiło do IRA mnóstwo przemyconej

z Libii broni, ale nie zmieniła ona sytuacji na polu walki. Nic nam nie dawała. I myślisz sobie: »Do k...y nędzy, to mi wygląda na sytuację patową!«. A jak jest pat, to masz moralny obowiązek zakończyć walkę zbrojną, bo ona nic ci nie daje. Wiedzieliśmy, że jak wejdziemy w politykę i się dogadamy z drugą stroną, to oznacza dalsze istnienie północnego państewka [Irlandii Północnej] i nie ma mowy o natychmiastowym zjednoczeniu Irlandii. Wiedzieliśmy jednak także, że jeśli zgodzimy się na istnienie tego państewka, to będzie miało ono inną formę. Nasi ludzie będą nim współrządzić, a to już jest nowość. My wiedzieliśmy, co proponuje druga strona, i wszyscy musieliśmy znaleźć formułę akceptowalną dla bazy, czyli ludzi spoza kierownictwa. Tak samo było z protestantami. [...] Wiedzieliśmy jednak, że tego, czego nie udało się zdobyć w walce, na pewno nie uda nam się także osiągnąć przy stole, podczas rozmów [...]. Patrząc na to z tej strony, możesz nas krytykować, że albo poszliśmy na zbyt duży kompromis, albo osiągnęliśmy za mało. Ale popatrz na innych, na Palestyńczyków. Oni nam mówią: »No to żeście sobie wychodzili konkretne rezultaty!«. Bo u nas rewolucjoniści, dawni partyzanci, są w rządzie”.

Oczywiście władza nigdy nie nazwie drugiej strony siedzącej przy stole rozmów rewolucjonistami czy partyzantami, co najwyżej dawnymi terrorystami. Nie zmienia to jednak faktu, że IRA porzuciła marzenie o zjednoczeniu Irlandii przy użyciu broni, a Brytyjczycy o fizycznej likwidacji tej organizacji, co zaowocowało procesem pokojowym i udziałem byłych terrorystów w rządzie Irlandii Północnej. Z drugiej jednak strony, dawni terroryści uznali „państewko”, z którym tak zaciekle walczyli przez trzydzieści lat i poszli jeszcze dalej – w końcu, po latach ociągania się, przestali mieć także problemy ze znienawidzoną przez nich wcześniej policją, którą uważali za instrument brytyjskich represji. Oddajmy ponownie głos Morrisonowi: „Wiesz, to były takie rozmowy: »Będziemy musieli się rozbroić, IRA będzie musiała oddać broń«. »Nie, nie ma mowy! Przecież broń jest potrzebna IRA do zapewniania bezpieczeństwa republikanom, katolikom w tej części Irlandii [Północnej]«. Ale po co nam nasza broń, jeśli policja to my? [...]. To nie wszystkim z naszych zwolenników się podoba, bo »jak tak możecie, jak możecie nawoływać do wstępowania do policji, jak mogliście się tak zmienić?«. Pomyśl, parę lat temu sam nie otworzyłbym policji drzwi, ale kiedy w 2007 roku do mnie przyszli, bo szukali świadków morderstwa w okolicy, to jasne, zaprosiłem ich do środka i zaproponowałem herbatę. Kiedyś to było nie do pomyślenia”.

Zauważmy tylko jeden drobiazg – to, co stało się łatwe w 2007 roku, zajęło IRA wiele lat, bo wcześniej mój rozmówca opowiadał o sytuacjach z początku lat dziewięćdziesiątych. Tyle czasu wymagała ta transformacja – odejście od walki zbrojnej, negocjacje, rozbrojenie IRA w 2005 roku i w końcu uznanie lokalnej policji w 2007 roku. A w tle miliony funtów pompowane w Irlandię Północną przez Londyn lub Dublin, idących również na tworzenie i finansowanie miejsc pracy dla dawnych terrorystów. Dodajmy do tego przychylnie nastawienie Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych i pamiętajmy, że działo się to wszystko w realiach Europy Zachodniej i w granicach jednego z najbogatszych państw świata. W takich warunkach stosunkowo nietrudno jest negocjować z terrorystami.

Inaczej wygląda to, kiedy powyższe czynniki nie występują. Spójrzmy na Turcję, która również wiele razy podchodziła do rozmów z Partią Pracujących Kurdystanu (PKK). W 2013 roku wydawało się, że negocjacje się powiodą, że Turcja i Kurdowie doczekają się procesu pokojowego. Przywódca PKK Abdullah Öcalan nawoływał do tego z więzienia, a rząd turecki szykował ustępstwa, które miały zapewnić mu poparcie Kurdów dla projektowanych zmian w konstytucji. To, że się nie udało, niekoniecznie jest wynikiem krachu negocjacji czy – może lepiej – rozmów, ale w dużym stopniu kalkulacji tureckich polityków, którzy chcieli zdobyć głosy nacjonalistycznych wyborców. Oraz sytuacji międzynarodowej, kiedy to na granicy Turcji pojawiły się ISIS i dwa *de facto* niepodległe Kurdystany: jeden w Iraku, drugi w Syrii. Po co jeszcze trzecia autonomia lub jej namiastka? Czyż nie byłby to wstęp do ich połączenia i ogłoszenia niepodległości? Do tych wątpliwości dochodziły jeszcze inne, związane z praktyką procesu pokojowego i jego funkcjonowaniem, bo negocjacje, mające szerokie poparcie społeczne, to jednak ustępstwa. A ustępstwa to spełnienie żądań PKK. Czy Turcy byli na to gotowi?

O tym, że niekoniecznie, przekonałem się podczas moich zajęć poświęconych terroryzmowi i jego zwalczaniu. Większość studentów była z zagranicy, kilkoro z Turcji. Któregoś dnia, kiedy wspólnie zastanawialiśmy się nad najlepszymi sposobami kończenia terroryzmu, musiał wypłynąć temat procesów pokojowych i tego, jak udało się go przeprowadzić w Irlandii Północnej. Korzystając z okazji, że w zajęciach uczestniczyli też studenci z kraju, w którym taki proces miał się właśnie toczyć, postanowiłem spróbować zmierzyć ich gotowość do poparcia zmian z nim związanych.

– Czy chcesz pokoju między Turcją a Kurdami? – zapytałem jednego z nich.

- Tak – odpowiedział pewnie.
- Czyli jesteś zwolennikiem procesu pokojowego, negocjacji między twoim rządem a Partią Pracujących Kurdystanu?
- Tak, jestem.
- I wiesz, że takie negocjacje nie oznaczają, że Turcja wygrała, że osiągnęła wszystkie cele, które stawiała sobie podczas wojny?
- Tak, wiem, to logiczne.
- I wiesz, że wojna zakończy się w wyniku negocjacji, co oznacza, że Turcja będzie musiała ustąpić?
- Tak... – W jego głosie pojawił się cień niepewności.
- To szlachetne, ale teraz pomówmy o konkretach. Jesteś gotowy na to, by w tureckim parlamencie zasiedli posłowie z Partii Pracujących Kurdystanu?
- Eee, oni już tam są... – Niepewność jeszcze wzrosła.
- Nawet jeśli miałbym się z tobą zgodzić, to na pewno nie działają w nim oficjalnie jako przedstawiciele PKK. Chodzi o to, że w tureckim parlamencie istniałby ich klub parlamentarny. To jest do zaakceptowania?
- Tak, choć to będzie trudne, ale to logiczny rezultat negocjacji. Dopuszczenie ich do polityki i udział ich partii w tureckiej polityce – odpowiedział z przekonaniem.
- A co z samorządem lokalnym, bo w Ankarze będą jedną z partii, ale w terenie, w kurdyjskich częściach Turcji mogą się pokusić o zdobycie większości w wyborach i oficjalnie rządzić w miastach, miasteczkach i wsiach?
- To też logiczna konsekwencja procesu pokojowego. Niech się rządzą u siebie.
- W porządku, a teraz test: rada miasta X, gdzie PKK ma większość, przegłosowuje zmianę nazwy głównej ulicy na „Męczenników PKK”. I co wtedy? – brnąłem dalej.
- Nic się wielkiego nie dzieje. Jeśli tam rządzą, mają większość, to w porządku – odpowiedział z dużą pewnością student.
- OK, ale jeśli czterdzieści dziewięć procent mieszkańców tego miasta to Turcy, którym...
- ...to się nie spodoba?
- Właśnie. Co teraz? – zapytałem z triumfalnym pozornie uśmiechem.

– Nic, trzeba to uszanować, choć może szukajmy kompromisu, nazwy, która byłaby do strawienia dla obydwu społeczności.

– A jeśli wybuchną zamieszki i interweniuje policja, turecka policja, która trzyma stronę demonstrantów sprzeciwiających się zmianie nazwy?

– Powtarzam, trzeba szukać kompromisu.

– Dobrze. Teraz inny scenariusz. Załóżmy, że są te place, ulice i tym podobne. A amnestia? Co z więźniami PKK? Bo podczas negocjacji PKK chce ich zwolnienia z więzień.

– Nie, tego się nie da zrobić.

– Nie da?

– Nie.

– Wiesz, że to oznacza krach negocjacji i śmierć procesu pokojowego, bo dla PKK to najważniejsza sprawa. Dla terrorystów, partyzantów, rebeliantów to zawsze kwestia kluczowa. To ich towarzysze, o nich też walczą.

– Tak, ale takie żądanie nie może być spełnione – odparł dobitnie mój rozmówca.

– To może zamiast mówić o wszystkich więźniach, pomówmy o jednym. Przywódcy PKK, Abdullahu Öcalanie. To jedna osoba, tu powinno być łatwiej. Wypuszczacie go z więzienia? To byłby piękny gest...

– Nigdy, nigdy, nigdy. On nigdy nie wyjdzie na wolność. Tego nikt w Turcji nie zaakceptuje.

– To koniec procesu pokojowego, wiesz o tym?

– Trudno, ale nie możemy się na to zgodzić.

Klamka zapadła. A teraz wyobraźmy sobie każdego z nas w takiej sytuacji, w Polsce. Odpowiadalibyśmy inaczej, gdyby trzeba było wypuszczać z więzienia terrorystów? Ustępowałibyśmy im? Ściskalibyśmy im dłonie? Uśmiechalibyśmy się?

Kiedy piszę te słowa, prezydent Kolumbii właśnie to zrobił. Za cenę utraty politycznego kapitału zakończył trwającą w jego kraju wojnę domową. Usiadł przy stole z członkami organizacji terrorystycznej FARC, która za żadne skarby nie chce odejść z tego świata. Ci terroryści, będący zarazem latyfundystami i baronami

narkotykowymi, byli i są, ale jest szansa, by w przyszłości zniknęli. Za kawałek politycznego tortu, obietnice nieskazywania ich na długoletnie wyroki więzienia i reformę rolną. Prezydentowi ręka nie zadrżała, konflikt pozornie nie wróci do stanu sprzed negocjacji pokojowych. Czający się jednak za jego plecami potencjalni następcy mogą mieć inne pomysły na poradzenie sobie z FARC. Przykład? Będą chcieli zwycięstwa i triumfu za wszelką cenę, bez liczenia się z konsekwencjami. To też sposób na kończenie terroryzmu.

W ten sposób w Czeczenii zatriumfował Władimir Putin, a w Syrii to samo próbuje osiągnąć Baszszar al-Asad. Podobną operację, lecz na mniejszą skalę, przeprowadzili też rządzący Egiptem wojskowi. Wszyscy wyzywali swoich przeciwników politycznych od „terrorystów”, choć wielu z nich nie miało z tym zjawiskiem nic wspólnego, by potem, w imię swoich „wojen z terroryzmem”, po prostu rozjechać ich walcem. I przy okazji, właśnie w imię zwalczania terroryzmu, skrzywdzić tysiące niewinnych osób, a następnie odwrócić się twarzą do całego świata i ze smutkiem powiedzieć, że nie było innej drogi. Najgorsze jest to, że takie tłumaczenia znajdują zrozumienie.

– Rząd Asada walczy z wiejską, fundamentalistyczną rebelią, która dąży do przeistoczenia Syrii w państwo oparte na prawie szariatu. Warto się więc zastanowić, co dla nas, dla Zachodu, jest w Syrii lepsze – Baszszar, zeuropeizowany, pragmatyczny przywódca, czy fanatycy? – pyta mnie i kolegów z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM) wysoki rangą przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Rzecz dzieje się podczas spotkania poświęconego kolejnej odsłonie arabskiej wiosny.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc milczę. Milczę, bo nie mogę robić z siebie przedstawienia. Najgorsze, że to nie jest odosobniona opinia, podobnie wypowiada się polskie środowisko akademickie.

– Rebelianci też używają broni chemicznej! Proszę nie oczerniać tylko jednej strony konfliktu! I finansują ich fundamentalistyczne reżimy Zatoki Perskiej – rzucają w moim kierunku koledzy naukowcy podczas seminarium poświęconemu ISIS na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

„I co z tego?”, myślę. Ale może nie do końca mam rację? Wczuwając się w sytuację prezydenta Asada, warto pomyśleć, czy jeśli mogę sam użyć broni chemicznej przeciwko swoim obywatelom, a potem spowodować, że pokłócą się o to jacyś naukowcy, gdzieś w dalekiej Polsce, to przecież odniosłem sukces? I o to

chodzi, o spory, kłótnie, dyskusje, relatywizację przemocy. A w międzyczasie można robić swoje i nie zatrzymywać walca. Pożądane jest także niuansowanie swojej strategii – w 2011 roku prezydent Asad ogłosił amnestię, z której masowo skorzystali islamiści, weterani dżihadów w Iraku i Libanie, czyli wrogowie, ludzie będący archetypami terrorystów, z którymi walczył jego reżim. Wśród nich znaleźli się „powszechnie znani” dżihadyści, „goście prezydenta Asada [...], więźniowie w otoczonym najgorszą sławą więzieniu Sednaya, na północ od Damaszku. Wkrótce potem zwolnieni z tego więzienia odegrali ważne role w szeregach ISIS, An-Nusry [*de facto* Al-Kaidy w Syrii] i innych grupach ekstremistycznych”⁶³.

Terrorystyczne doświadczenie, kontakty i poważanie wśród syryjskich rebeliantów pomogły niektórym z wypuszczonych na wolność więźniów w zdobyciu sławy wojennej. Stali się powszechnie rozpoznawalni, bo nagle cały świat wiedział, że Abu Khalid al-Suri, odpowiedzialny za negocjacje pojednawcze między ISIS a An-Nusrą w Syrii, siedział niegdyś w więzieniu Sednaya i jest też związany ze „starą” Al-Kaidą. Żeby było jeszcze trudniej się w tym wszystkim połapać, to po zwolnieniu z więzienia Al-Suri został też jednym ze współzałożycieli największej antyasadowskiej grupy rebelianckiej Ahrar asz-Szam (Islamskiego Ruchu Wolnych Ludzi Lewantu), o której wspieranie oskarżano Turcję i Katar. Jego losy i sukcesy stały się wodą na młyn prezydenta Asada. Oto terrorysta, uosobienie zła, a jednocześnie twarz głównej frakcji walczących z nim rebeliantów. Taki przekaz szedł w świat i pozwalał nam wszystkim załamywać ręce nad tym, że w Syrii są sami dżihadyści i nie ma tam „umiarkowanej” opozycji. Podczas gdy my lamentujemy, syryjski prezydent, w imię walki z terroryzmem, robi z rebeliantami to, co XVII wieku wyrabiała z Kozakami Rzeczpospolita: „przycina” ich. Niczym „włosy i paznokcie, [które] wprawdzie są potrzebne, ale gdy zbyt wyrosną, jedne ciążą głowie, drugie przykro ranią, oboje trzeba częściej przycinać”, jak mieli mówić Kozakom posłowie na Sejm w 1632 roku⁶⁴. Minęło prawie czterysta lat, a dla niektórych „przycinanie” wciąż stanowi atrakcyjną metodę antyterrorystyczną.

Terrorystyci mogą też odnieść sukces. Wygrać, pobić przeciwnika, osiągnąć swoje cele. Brzmi to nierealnie, ale historia zna takie przypadki. Każde ich zwycięstwo, jak chociażby zwolnienie towarzyszy z więzienia, udany i spektakularny zamach, jakiegokolwiek ustępstwa władzy, przedstawia się jako dowód na to, że terroryzm

działa, że się opłaca, że warto. Są jednak tacy, którzy nie dowierzali tej tezie i postanowili ją sprawdzić statystycznie. Wynik? Dwudziestu ośmiu grupom terrorystycznym wpisanym na listę amerykańskiego Departamentu Stanu po 11 września 2001 roku udało się osiągnąć... siedem procent ogółu swoich celów politycznych. Co więcej, ich nieliczne sukcesy były dziełem grup, które nadawały priorytet atakom na cele wojskowe, a nie cywilne (między innymi Hezbollah)⁶⁵. Poniżej kilka przykładów:

1. Organizacja przywołanego wcześniej Abu Nidala chciała doprowadzić do zniszczenia Izraela, co oczywiście jej się nie udało.
2. Zbrojna Grupa Islamska walczyła w latach dziewięćdziesiątych o islamistyczną Algierię i poniosła klęskę, w kraju dalej rządzi dyktatura. Podobny los spotkał Egipski Islamski Dżihad.
3. Baskijska ETA walczyła o niepodległość Kraju Basków, a dziś większość członków tej organizacji siedzi w hiszpańskich więzieniach.
4. Palestyński Hamas chce niepodległej Palestyny i zniszczenia Izraela...

Można tak bez końca. Wyniki tego badania doprowadziły jego autora Maxa Abrahmsa do konkluzji o irracjonalnym charakterze terroryzmu. Jego zdaniem terroryzm nie działa, więc jeśli chce się doprowadzić do zmiany politycznej, to nie należy po niego sięgać i lepiej szukać innych form protestu.

Oczywiście teza Abrahmsa nie ma charakteru w pełni uniwersalnego – były, są i będą od niej wyjątki. Najczęściej w tym kontekście padają nazwy grup dość egzotycznych z polskiego punktu widzenia – południowoafrykańskiego Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) czy żydowskiego Irgunu. Polacy nie gęsi i swój wyjątek także mają, a jest nim Polska Partia Socjalistyczna, która w 1918 roku nie wywalczyła niepodległości, ale walcząc między innymi i o nią, przed 1914 rokiem nie stroniła od metod terrorystycznych. Po I wojnie światowej przez wiele lat odgrywała główną rolę na scenie politycznej. Owszem, Druga Rzeczpospolita daleka była od marzeń i programowych założeń PPS-u, ale warto pamiętać, jaką różnicę dla jej luminarzy stanowiła zamiana carskich więzień na fotele poselskie czy ministerialne.

Terrorystyci mogą także zmienić formę działalności. Zgadza się, nadal mogą być terrorystami, mówić o tym i pisać, ale w praktyce zajmować się czymś innym, przeorientować się na inne cele. Będą próbować przemienić się w rebeliantów, partyzantów i poszerzyć wachlarz aktów przemocy oraz rozbudowywać swoje struktury, zwiększać liczebność, by zacząć zdobywać kontrolę nad określonym terytorium. I w końcu, by zdobyć władzę w konkretnym kraju. To już nie tylko pojedyncze ataki, bomby, porwania i oświadczenia, ale regularna walka zbrojna. Tak czynił kolumbijski FARC, podobnie postępowali w latach dziewięćdziesiątych algierscy dżihadysty z Islamskiej Grupy Zbrojnej, którym jednak nie udało się dokończyć tej transformacji. Próbę zmiany swojego profilu podjęła również pod koniec lat osiemdziesiątych IRA, upojona sukcesem operacji przemytniczych, które zapewniły jej około stu pięćdziesięciu ton broni od pułkownika Muammara Kaddafiego. Ta broń miała przynieść zmianę jakościową i pozwolić organizacji na wypowiedzenie Brytyjczykom wojny partyzanckiej. W tym przypadku skończyło się jednak tylko na chęciach, bo co z tego, że licząca kilkaset osób organizacja zbrojna posiada ciężkie karabiny maszynowe? Oddajmy głos jednemu z terrorystów, którego poznałem w Dublinie, nazwijmy go Paddy. Jego krótkie wspomnienie o dzielnym wojowaniu w roli partyzanta wystarczy za komentarz do tego, jak często trudne jest owe „przeorientowanie się”.

„Chłopcy rozstawiali taki karabin. To było ciężkie bydlę, mieliśmy z tym kłopot. Cel? Uziemić ich transport lotniczy, przerazić, zmusić do zmiany taktyki. Leci brytyjski śmigłowiec, więc my w niego serią. Huk, odrzut i radość, ale ptaszek nie spadł. Gorzej – zawrócił w naszą stronę, a chłopcy musieli spieprzać w krzaki. I tyle. Użyliśmy go raz, potem nie mogliśmy już go zdemontować, bo krążył nad nim ten helikopter. Potem przyjechało wojsko i karabin zgarnęli. Dobrze, że udało nam się uciec”.

Przeorientowanie się na wyższą formę walki zbrojnej i powstańcze rzucenie rękawicy konkretnemu państwu nie jest jedynym sposobem na zmianę formuły działalności przez organizacje terrorystyczne. Bywa, że porzucają one pierwotny cel polityczny, a swoje umiejętności wykorzystują głównie do osiągnięcia celów o charakterze kryminalnym. I bywają w tym bardzo dobre.

„W kwietniu 2003 roku GSPC [wcześniejsze wcielenie Al-Kaidy w Islamskim Maghrebie, AQIM] wzięło w północnym Mali trzydziestu dwóch europejskich zakładników. To była ich pierwsza operacja tego typu. Następnie, w zamian za

okup przekraczający sumę sześciu milionów dolarów, terroryści wypuścili zakładników, oprócz jednego, który zmarł na pustyni. Dziesiątki mniejszych porwań zachodnich turystów, dyplomatów, osób zaangażowanych w działalność humanitarną oraz pracowników sektora wydobywczego zapewniły [Muchtarowi] Bilmuchtarowi [prominentnemu członkowi Al-Kaidy w Islamskim Maghrebie] około pięćdziesięciu milionów dolarów wypłacanych jako kolejne okupy. [Cała] AQIM w latach 2003–2013 podobno zarobiła na porwaniach ponad dziewięćdziesiąt milionów dolarów”⁶⁶.

Narodził się po prostu nowy przemysł i wydawało się, że północnoafrykańska, maghrebska Al-Kaida straciła zainteresowanie terroryzmem na rzecz kolejnych porwań i wyszarpywania okupów. Terroryści przeistoczyli się w pospolitych kryminalistów. Warto przyjrzeć się temu fenomenowi bliżej.

Gangsterzy...

W pierwszej części *Ojca chrzestnego* jest scena, w której przybrani bracia Sonny Corleone i Tom Hagen kłócą się o to, jak należy odpowiedzieć na wyzwanie rzucone „rodzinie” przez nazywanego „Turkiem” Virgila Sollozzo. Mafiosa, który zlecił zabójstwo ich ojca Don Vita Corleone, granego przez niezapomnianego Marlona Brando. Sonny prze do wojny, stawia niemożliwe do spełnienia przez przeciwnika warunki i krzyczy: „Chcę Sollozzo! Jak nie, to mamy wojnę, idziemy na materace!”. „Pójście na materace” oznacza przestawienie całej kryminalnej organizacji „rodziny” Corleone na stopę wojenną, mobilizację, podczas której jej siły zbrojne („żołnierze”) kwaterują po melinach, po kilku w każdym pokoju, i śpią na składanych łóżkach lub dmuchanych materacach. To w tych lokalach i na tych materacach planują uderzenia na przeciwnika, który nie zna adresów ich kryjówek i w teorii zaskoczony, nie spodziewa się ofensywy. Później następują ataki, kontrataki, wendety, są ofiary, dochodzi do negocjacji, rozejmu, pokoju, pojednania. I wszystko wraca do normy, by po kilku latach (według „ojca chrzestnego” – po około pięciu) powtórzyć się znowu, w sposób mniej bądź bardziej spektakularny. Pytanie brzmi: Czy tego typu zachowanie jest tylko domeną organizacji takich jak „rodzina” kierowana przez Vita Corleone? Być może ktoś inny, inne organizacje, grupy, struktury zachowują się podobnie i również „chodzą na materace”, atakują, bronią się i kontratakują, by przez kilka następnych lat robić swoje i zajmować się tym, co umieją najlepiej, na czym świetnie się znają?

Ślady takich zachowań odnajdziemy niemal wszędzie. W czasach przed internetem, w epoce przed wynalezieniem konsoli PlayStation i Xbox, miały one miejsce na podwórku czy w klasie. W której rodzinie co kilka lat nie wybuchają jakieś kłótnie? Podobnie w pracy, gdzie co chwila ścierają się ze sobą różne frakcje, koterie, kliki. Nie będzie zaskoczeniem, jeśli do tej kategorii zaliczymy także grupy i organizacje terrorystyczne. Skoro można, co niektórzy czynią z lubością, analizować je jako przedsięwzięcia o charakterze biznesowym, a ich strategie komunikacyjne poddawać szczegółowej wiwisekcji, to czemu nie przyrównać ich do gangów?

„To na swój sposób oczywiste zestawienie, choć dalekie od idealnego – mówi wspomniany już na kartach tej książki Paul z amerykańskiego Departamentu Obrony. – Jedni i drudzy zajmują się przemocą. Chcą mieć kontrolę: nad ludźmi, przedsiębiorcami, firmami, nad terytorium, a wszystko w imię umacniania swojej marki, zdobywania nowych rynków i tak dalej. W tym procesie muszą się ze sobą zderzyć, walczyć ze sobą, co robią podczas wojen. Wojen gangów. Tak, terroryści uczestniczą w wojnach gangów”.

Sprawdźmy więc, jacy z nich gangsterzy. Dowiedzmy się, czy rzeczywiście upadają tak nisko i zamiast kolejnych wielkich oraz spektakularnych spisków, których efekty oglądamy potem na ekranach telewizorów, rzeczywiście zajmują się swoistymi wojnami domowymi. A jeśli tak, to z kim je toczą?

– To my podjęliśmy decyzję, żeby w nich uderzyć, mocno i na masową skalę. To miało ich okaleczyć albo jeszcze lepiej, wyeliminować jako stronę zdolną do walki. Była to decyzja szalona, nienormalna i pogarszająca jedynie sytuację. Ale została podjęta podczas większego konfliktu, w który angażowały się setki ludzi z bronią i niemal codziennie mających ze sobą styczność. W tych warunkach nietrudno o eskalację, której zresztą szukaliśmy i chcieliśmy.

Próbuję przetrwać te słowa wypowiedziane przez Richarda O’Rawe, byłego członka PIRA (Provisional IRA, czyli Tymczasowej Irlandzkiej Armii Republikańskiej). Wspomina, jak walczyli z Official IRA, czyli IRA Oficjalną, swoimi dawnymi przyjaciółmi, którzy z powodów politycznych stali się rywalami, a potem wrogami, nawet większymi niż armia brytyjska. I łatwiejszymi w neutralizacji, bo PIRA wiedziała o nich wszystko, znała adresy, zwyczaje, słabości. Nie gwarantowało to jednak sukcesu, bo...

– Musisz pamiętać, że jeśli nie „stukniesz” ich pierwszej nocy, to oni wrócą, nawet jeśli są słabsi, bo nie potrzeba zbyt wielu ludzi, by walczyć w takim konflikcie. Im jesteś większy, tym bardziej stajesz się narażony na atak, sam podajesz przeciwnikowi listę celów.

– I oni wrócili, prawda? – pytam zaciekawiony.

– A żebyś wiedział, pewnie, że tak. I teraz my mieliśmy gorzej, bo się odsłoniliśmy, a tamci, jeszcze wczoraj słabsi, zaczęli nas atakować. Ja musiałem swoim mówić, żeby się zmyli, poszli do domu, a zostałem z czterema, może

pięcioma, których trudniej było znaleźć i trudniej zaatakować. Nie potrzebujesz wielu do walki, w której każdy jest potencjalnym celem. Staje się to farsą.

Owa farsa to przedziwny kontredans akcji i reakcji, a uczestnicy tej wojny dobrze wiedzą, że jej dalsze eskalowanie i ciągłe schodzenie na cele coraz bardziej miękkie, to znaczy bardziej dostępne i cywilne (krewni i przyjaciele prawdziwych celów, ich miejsca pracy, spędzania czasu), napawa przerażeniem postronnych obserwatorów. I że później ci ostatni odwrócą się od danej organizacji – kryminalnej, zbrojnej czy terrorystycznej. Jest jednak problem.

„Jeden z naszych ginie – mówi mi Daithi z IRA konkurencyjnej wobec organizacji Richarda O’Rawe – a naokoło są ludzie, którym zdaje się, że wiedzą, kto jest winny. Mają środki, broń, są wyszkoleni, słowem, mogą dokonać zemsty. Przynajmniej w teorii. Nie ułatwia to nikomu opanowania tej sytuacji, jej deeskalacji. Inna sprawa, że jeśli nasz człowiek ginie, a my nie odpowiadamy, to ludzie również wyciągają z tego wnioski: »Aha, to oznacza tyle, że organizacja poszła do piachu«. Poszła do piachu, bo nie odpowiedziała, nie dokonała zemsty”.

Krótko mówiąc, trzeba się mścić, bo inaczej traci się szacunek i poważanie. Traci się potencjalnych rekrutów, poparcie i pomoc, gdy ponownie trzeba będzie „iść na materace”. Działanie, nawet obronne, zwiększa prestiż, pokazuje aktywność danej grupy, organizacji czy frakcji, stanowi świetną propagandę, bo dzięki temu okazuje się, kogo trzeba się bać.

Brzmi znajomo, bo przecież organizacje kryminalne i gangi funkcjonują, opierając się na szacunku i poważaniu, które należy okazywać członkom danej struktury stojącym wyżej w hierarchii oraz egzekwować je od ludzi stojących na niższych szczeblach. Omar, bohater kultowego serialu *Prawo ulicy* ukazującego rywalizację przestępczego świata Baltimore z tamtejszą policją, wzbudzał wśród swoich adwersarzy popłoch już samym pojawieniem się w okolicy. Cieszył się jednak szacunkiem i poważaniem, co powodowało, że wszyscy schodzili mu z drogi, a wręcz uciekali przed nim niczym przed superbohaterem z hollywoodzkiego filmu. A przecież był to tylko jeden człowiek.

Podobne sytuacje można zaobserwować w organizacjach terrorystycznych. W marcu 2016 roku Aaron Zelin, który zna Afrykę Północną jak własną kieszeń i wie wszystko o terrorystach w tym regionie świata, wysłał w świat opowieść o tym, jak dżihadyści „chodzą na materace”⁶⁷. Bohaterem jego opowieści było ISIS i jego losy w Libii, które pomimo sukcesów i podbojów terytorialnych

odniesionych w drugiej połowie 2015 roku i na początku roku kolejnego zaczynało dość skromnie i daleko było mu do statusu terrorystycznej potęgi zagrażającej Europie.

„Ich bazą – mówi Zelin – stało się nadmorskie miasto Darna na wschodzie kraju [...]. Ale nigdy nie kontrolowali całej Darny, tylko niektóre osiedla, a w mieście aktywne były też inne organizacje dżihadystyczne [...]. I powtórzyła się historia z Syrii, gdzie Al-Kaida walczy z ISIS. W Libii członkowie ISIS zaczęli zabijać przywódców i ludzi z innych frakcji dżihadystycznych. Najbardziej spektakularne okazało się starcie z organizacją o nazwie Brygady Męczenników Abu Salima, w której skład wchodzi na przykład weterani dżihadu w Afganistanie, luźno powiązani z Al-Kaidą. Brygady walczyły i o dziwo, co z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się niemożliwe, wypychały ISIS z Darny. Działo się to późną wiosną 2015 roku [...]. W rezultacie mieliśmy pierwszą porażkę ISIS w Libii. Tymczasem ISIS chciało kontrolować terytorium, angażowało się w prowadzenie podstawowych usług społecznych, prowadziło własny sąd szariacki, biuro odpowiedzialne za *dawę* [nawracanie na prawdziwy islam], siły policyjne, kliniki medyczne [...]. Inwestowali w te działania i utrata terenu była im bardzo nie na rękę. Próbowali też wejść do Bengazi, ale tam była już Ansar al-Sharia, kolejna grupa luźno powiązana z Al-Kaidą, i ISIS mogło zaistnieć tylko na obrzeżach tego miasta. Potem próbowali wejść do Syrty, tu było łatwiej, bo część lokalnego Ansar al-Sharia przeszła do ISIS i zapisała się do globalnego kalifatu. I tam nie zaczęli od zera, co ułatwiło im życie”.

Łatwo zgubić się w tych nazwach i terminach, więc prowadzący rozmowę z Zelinem aż się pali do skomentowania tego wywodu, który brzmi dość znajomo. Pyta, czy to przypadkiem nie jest wojna gangów, podczas której rywalizują ze sobą grupy, ich członkowie zmieniają barwy, a walka toczy się o konsolidację kontroli nad jakimś obszarem?

„Tak – odpowiada Zelin – część tej wojny to po prostu rywalizacja o prestiż i środki [...]. Jak ISIS zyskuje, to Ansar al-Sharia traci [...]. I wtedy widzisz zdrady, przejścia dżihadystów z jednej grupy do drugiej, po to by pozostać w grze i nadal się liczyć”.

Zmieniają się kontekst, sceneria, ale metodologia pozostaje ta sama. Morderstwa, strzelaniny, rywalizacja o teren, z którego czerpie się zysk. Przecież terytorium i mieszkający na nim ludzie to główne źródło dochodów ISIS w Syrii

i w Iraku. Zajmują teren i drenują go z pieniędzy. Najpierw przejmują domy i majątki tych, którzy przed nimi uciekają, potem sami dokonują egzekucji lub poprzez ultimatum każą zabierać się z danego miasta jakiejś grupie, na przykład chrześcijanom. Łupy dzielą między siebie, budują struktury administracyjne, które w dużej mierze skupiają się na wydawaniu pozwoleń i licencji niemal na wszystko. Za wszystko się płaci, za handel, zakup, przejazd, wyjazd, budowę. To haracz bez oficjalnego haraczu, ale jakoś trzeba sfinansować ten nowy twór państwowy, zapłacić za broń i wszystkie projekty inżynierii społecznej, które ISIS skutecznie w Syrii i w Iraku. To nic innego jak zachowanie kryminalne, pasożytnicze na tkance społecznej tych dwóch państw. Pochłaniające dużą część sił i środków w dyspozycji ISIS, ale niezbędne dla jego przetrwania i dalszej egzystencji, które wcale nie zależą od ropy naftowej, jej ceny ani ewentualnych porozumień z odbiorcami czarnego złota w Syrii i w Turcji.

Próbuję o tym wszystkim przekonać kolejnych dziennikarzy dobijających się do mnie z prośbą o komentarz w sprawie finansów ISIS z pytaniami: jak to się dzieje, że są tacy bogaci, skąd organizacja terrorystyczna ma tyle pieniędzy? Czy rzeczywiście zajęli bank w Mosulu z milionami dolarów w skarbcu? Czy trzęsą bliskowschodnim handlem ropą?

– To nie jest organizacja terrorystyczna albo nie tylko terrorystyczna – odpowiadam – lecz twór o cechach rebelii, apokaliptycznego kultu, quasi-państwa i co ważne, organizacji kryminalnej. Bo oni kradną, rabują, pasożytują, co oczywiście do pewnego stopnia robiły także struktury administracyjne Syrii i Iraku, kiedy państwa te jeszcze istniały na terenach kontrolowanych dzisiaj przez ISIS. A żeby było ciekawiej – w niektórych miejscach współżyją z ISIS, bo nadal wypłacają pensje pracownikom sektora publicznego, którzy utknęli na terytorium zagarniętym przez ISIS.

– Komu? – pyta mnie z przerażeniem w oczach prowadzący program w telewizji informacyjnej, ale też czuje newsa, którego będzie można „grzać”. To jest temat, to jest jakaś sprzeczność, wokół której zbuduje kolejne adresowane do mnie pytania, będzie miał program z głowy i jeszcze dowie się czegoś ciekawego.

– Inżynierom, urzędnikom, lekarzom. A te pensje są potem drenowane, rozkradane przez dżihadystów.

Są rozkradane, bo to są normalni gangsterzy. A jak z nimi najlepiej walczyć? Może napuścić ich na siebie?

Napuszczanie wcale nie musi być trudne, jako że zasada „dziel i rządź” ma przecież zastosowanie w każdej dziedzinie życia i trudno wyobrazić sobie, by inaczej rzecz się miała z terrorystami. Czasem antyterrorysty nie muszą się nawet starać, bo terroryści sami skutecznie zajmą się sobą. Film *Der Baader Meinhof Komplex* [Baader-Meinhof] z 2008 roku o najsłynniejszych lewackich terrorystach pokazuje to w detalach, bo oto Andreas Baader ma dość przeintelektualizowanych i moralizatorskich gadek Ulrike Meinhof i po prostu ją mobbinguje. Brzmi to kuriozalnie w kontekście organizacji terrorystycznej, ale tak to właśnie wygląda. Meinhof jest wyszydzana, złośliwie krytykowana, zastraszana i dzieje się to też za cichym pozwoleniem Gudrun Ensslin, kochanki Baadera, a zarazem numeru trzy w organizacji. Nie inaczej rzecz się miała ze sławnym Ilichem Ramírezem Sánchezem, „Carlosem”, ober- lub arcyterrorystą, który bez przerwy kłócił się z mocodawcami z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny (LFWP). Nie znosił presji autorytetów, które uważał za ograniczające i nieefektywne.

Jeszcze większe problemy niż LFWP z Sánchezem kierownictwo Al-Kaidy miało z Abu Musabem az-Zarkawim, człowiekiem, który położył podwaliny pod ISIS. Ten Jordańczyk, kryminalista i mięśniak, za nic w świecie nie mógł złapać dobrego kontaktu ani z uduchowionym Osamą bin Ladenem, ani z jego przeintelektualizowanym i podejrzliwym zastępcą Ajmanem az-Zawahirim. Ten ostatni pisał nawet listy do Zarkawiego, w których krok po kroku objaśniał, jak ma postępować jako przywódca Al-Kaidy w Iraku. Warto dodać, że Egipcjanin wychodził z siebie, żeby nie urazić młodszego kolegi – ogłaszał, że Jordańczyk jest w awangardzie dżihadu, chwalił jego osiągnięcia i sukcesy. Nic to nie dało, a krewki Az-Zarkawi coraz bardziej oddalał się od swoich tytułarnych mocodawców z Al-Kaidy. Jego następcy, ze słynnym Abu Bakr al-Baghdadim na czele, tylko dokończyli ten proces, także po publicznej wymianie korespondencji, której końcem było odcięcie się „Państwa” (ISIS) od „organizacji” (Al-Kaidy). Katalizatorem tego rozvodu okazał się, co może wzmocnić przeświadczenie o skuteczności podsycania konfliktów w organizacjach terrorystycznych, spór w organizacji Al-Baghdadięgo. Emisariusze wysłani przez tego Irakijczyka do Syrii w celu założenia tam filii „Państwa Islamskiego Iraku” postanowili się zbuntować przeciwko swojemu przywódcy, a następnie ogłosili światu, że przechodzą pod komendę... Ajmana az-Zawahiriego. Zostało to potraktowane jako ostateczny afront.

Bez tego typu afrontu obyło się w Somalii. W czasie, kiedy Al-Kaida próbowała zdyscyplinować swoją franczyzę w Iraku, w Somalii doszło do wojny domowej w łonie As-Szabab (dosłownie znaczy to „młodzi”), organizacji będącej od 2012 roku oficjalnym przedstawicielem Al-Kaidy w Afryce Wschodniej. To właśnie jej członkowie przeprowadzili słynne ataki na centrum handlowe Westgate w Nairobi 21–24 września 2013 roku oraz na kampus uniwersytetu w Garissie 2 kwietnia 2015 roku, w których śmierć poniosło w sumie ponad dwieście dwadzieścia osób. Tu też pisano do siebie listy, których treść poznał cały świat – tym razem weterani dżihadu w Afganistanie, znajdujący się w strukturach dowodzenia As-Szababu, zaapelowali do Zawahiriego, od 2011 roku przywódcy Al-Kaidy, o interwencję w sprawie ich szefa Muchtara Abu Zubejra. Oskarżali go o pogwałcenie Koranu poprzez dokonywanie samowolnych czystek w szeregach organizacji. Nie trzeba dodawać, że autor tego listu stał się kolejną ofiarą. Terrorysta zabił innego terrorystę.

W teorii wszystkim przeciwnikom terroryzmu powinno zależeć na tym, by terroryści tracili siły, czas, środki na walkę między sobą. To ich osłabia, odwraca uwagę, niszczy od środka. Cóż może być piękniejszego od autodestrukcji organizacji terrorystycznych? Richard O’Rawe z IRA i PIRA ma takie wspomnienia wiążące się z tym tematem:

„Wojsko zatrzymywało nas na swoich blokadach, których w Belfaście było pełno. Wiedzieli, dobrze wiedzieli, kim jesteśmy i co robimy, ale życzyli nam szczęścia. To była zmiana o sto osiemdziesiąt stopni. »Nastały piękne dni – mówili ich oficerowie – bo oto gangsterzy mordują się nawzajem. Mam nadzieję, że wszyscy się pozabijacie«. To im pasowało, bo dlaczego nie? Oto rząd, policja, wojsko chcą normalizacji, bezpieczeństwa, a dwie rywalizujące ze sobą grupy strzelają do siebie, choć powinny atakować żołnierzy i policjantów”.

Spróbujmy wyobrazić sobie tę sytuację. Oto dwudziestokilkuletni terroryści przemierzają miasto z bronią w bagażniku, widzą blokadę ustawioną przez wojsko, klną pod nosem, rozglądają się na boki, czy nie mogliby gdzieś, w ostatnim momencie, skręcić i się skryć. Nie ma jednak wyjścia, muszą jechać wprost ku wojskowym. Podjeżdżają, oficer podchodzi do samochodu, kierowca korbką, bo to się działo w dawnych czasach, opuszcza szybę. Koledzy siedzący z tyłu nerwowo kładą dłonie na wetkniętych za pas rewolwerach, żołnierze trzymają palce na cynglach karabinów. Oficer zagląda do środka, nawet nie prosi o dokumenty, bo

dobrze zna te twarze, to ludzie, którzy niejedno już przeszli, bywali aresztowani, przesłuchiwani. Są podejrzani już za sam wygląd. Na jego twarzy pojawia się uśmiech, wręcz rozbawienie, bo on już wie, dokąd jada, i z radością wysyła ich na drugą stronę swojej blokady. „Idźcie i zabijajcie braci swoich”. Czwórka terrorystów w samochodzie przewraca oczyma, głęboko oddycha, są zdezorientowani. Ktoś krzyczy, każe jechać szybciej, inny wyciąga rewolwer, bo boi się, że to pułapka, oczekuje, że zaraz padną strzały albo nastąpi „przypadkowa” eksplozja. Nic takiego jednak się nie dzieje, samochód spokojnie mija resztę blokady i bez kłopotów zagłębia się w miasto, w którym na czterech młodzińców czekają ich zleceniodawcy oraz, choć tego jeszcze nie wiedzą, ich cele z innej organizacji terrorystycznej.

A teraz przełożmy tę sytuację na inne pole. Al-Kaida kłóci się z ISIS i traci setki członków w swego rodzaju bratobójczych walkach z początku 2014 roku w Syrii? Przecież to wspaniała wiadomość, bo w międzyczasie nie ma sił i środków, by planować kolejne ataki przeciwko szeroko rozumianemu Zachodowi. Hamas i Fatah, choć ta druga organizacja nie jest uznawana za terrorystyczną, ale stworzone przez nią Brygady Męczenników Al-Aksy już tak, walczą w wojnie domowej w Strefie Gazy w 2006 i 2007 roku. Znowu dobra wiadomość, bo wtedy nie planują i nie przeprowadzają zamachów w Izraelu. Pod koniec 2012 roku Al-Kaida w Islamskim Maghrebie, do niedawna rządząca połową afrykańskiego Mali, z powodu sporu o pieniądze i różnic w strategii rozpada się na zwalczające się frakcje. Jedna chce cierpliwie wzmacniać swój potencjał. Druga, kierowana przez dżentelmena o pseudonimie „Pan Marlboro”, króla przemytników papierosów w Afryce Zachodniej, nie myśli o niczym innym, jak tylko przelicytowaniu tej pierwszej i zaistnieniu na terrorystycznej scenie dzięki spektakularnym atakom. Cieszymy się, bo teraz zajmą się walką ze sobą, a nie spiskowaniem, jak przenieść dżihadystyczną rebelię z Mali do innych krajów Afryki Zachodniej. Państwo Islamskie pojawia się w 2015 roku w Afganistanie. To zapowiada kłopoty, ale jeśli urośnie w siłę, to może talibowie wreszcie pójdą po rozum do głowy i pogodzą się ze wspieranym przez Zachód rządem w Kabulu? Krótko mówiąc, ich spory, konkurencja i wykrwawianie się mogą mieć bardzo pozytywne konsekwencje dla nas.

Jest tylko jedno drobne „ale”: a co, jeśli tak się nie stanie? Co zrobić, gdy sytuacja się pogarsza, gdy wojny gangów wcale nam nie pomagają? Spójrzmy

zresztą na wyżej wymienione przypadki. Owszem, Al-Kaida i Państwo Islamskie walczyły ze sobą w Syrii na początku 2014 roku i owszem, ta druga organizacja straciła wielkie połacie terytorium w tym kraju. Kto wypełnił tę pustkę? Nie, wcale nie „umiarkowani” rebelianci, ale właśnie pozornie wykrwawiona w bratobójczych walkach An-Nusra, czyli Al-Kaida w Syrii. Tak, Hamas i Fatah traciły ludzi w wojnie domowej, ale po jej zakończeniu ta pierwsza organizacja zyskała niepodzielną kontrolę w Gazie, a Izrael potem trzykrotnie ruszył na wojnę z nią (w 2008, 2012 i 2014 roku). Czy to jest korzyść? Wątpliwe, podobnie jak rozpad Al-Kaidy w Islamskim Maghrebie, bo jej zbuntowana frakcja nieco później, 16 stycznia 2013 roku, dokonała spektakularnego ataku na pole i kompleks gazowy w Ajn Amnas w Algierii, gdzie zginęło sześćdziesiąt siedem osób. A trzy lata później obie frakcje zeszły się z powrotem i rozpoczęły serię nie mniej efektownych ataków w różnych państwach Afryki Zachodniej (Mali, Burkina Faso, Wybrzeże Kości Słoniowej, Algieria). I wreszcie talibowie – owszem, mają rywala w Afganistanie, ale co będzie, jeśli ten rywal po prostu dokona odśrodkowego, wrogiego przejęcia ich struktur, ochotników, broni, kanałów przerzutowych do Azji Środkowej i Pakistanu? Warto pamiętać, że po takim przejęciu nikt spośród „nowych” talibów nie będzie negocjował z rządem w Kabulu albo z Zachodem. Skończą się spory o to, czy flaga talibów może łopotać przed ich biurem w katarskiej Dausze, czy może lepiej niech nie prowokuje afgańskich oficjeli. Wtedy nie będzie żadnego biura, żadnych rozmów, żadnych kompromisów.

Warto wiedzieć, czego się chce, za co się trzyma kciuki, bo w świecie zwalczania terroryzmu „nie wszystko złoto, co się świeci”. Bo, jak się okazuje, podsycanie sporów czy walk frakcyjnych może spowodować, że na polu walki pozostanie frakcja, której nie kibicujemy (o ile jakakolwiek wzbudza choćby cień naszej sympatii), ta radykalniejsza, bardziej bezkompromisowa i zaprawiona w walce, a więc trudniejsza do pokonania. O Tamilskich Tygrysach ze Sri Lanki mało kto już pamięta, ale kiedyś to oni uosabiali terror na tej południowoazjatyckiej wyspie, co nie przeszkadzało polskim turystom odkrywać jej egzotycznego piękna („Ja nie widziałam żadnej wojny, terroryzmu. Plaże i pogoda były cudowne” – powiedziała mi znajoma, która wygrzewała się tam przez dwa tygodnie). Początkowo Tygrysy nie były jednak jedyną niepodległościową organizacją tamilską na Sri Lance, a wzrost ich siły znaczący trupy członków innych grup tamilskich. W końcu zostali już tylko oni, stali się

bardzo silni, a ich pokonanie kosztowało Sri Lankę utratę międzynarodowej wiarygodności i krytykę ONZ z powodu zbrodni wojennych popełnionych przez siły zbrojne tego kraju w 2009 roku.

Niewiele lepiej wyglądała sytuacja w Palestynie, gdzie początkowo Izrael przychylnie patrzył na rosnącą popularność czegoś, co z czasem przekształciło się w Hamas. Nikomu nie przeszkadzał ich islamski fundamentalizm, bo przecież stawali się przeciwwagą dla lewicowych, lub nawet lewackich, palestyńskich niepodległościowców walczących z Izraelem. Jednak wróg mojego wroga nie zawsze okazuje się moim przyjacielem, a stawianie na niego to czasami wielkie ryzyko. Zwłaszcza jeśli ten wróg, a to bardzo pasuje do przypadku Hamasu, wzoruje się nie tylko na strukturach kryminalnych, lecz kopiuje także zachowania z innego obszaru życia i aktywności społecznej. Pomaga, wspiera i świadczy cenne usługi, jakimi są usługi społeczne. I jest filantropem.

...i filantropi

Cmentarz. Miejsce dobre jak każde na rozmowy o terroryzmie, zwłaszcza jeśli jesteśmy w Belfaście, a rozmówcą jest ktoś, kto kiedyś walczył w konflikcie bliskowschodnim w szeregach armii izraelskiej, a dziś wykłada na północnoamerykańskiej uczelni. Teoretycznie rozmawiamy o Irlandii Północnej, terrorystach z IRA, chodzimy po alejkach, obok nagrobków członków tej organizacji. Jest pochmurno, wilgotno, siąpi deszcz, ktoś powiedziałaby, że aura typowo irlandzka. To ja jestem dziś przewodnikiem i zasypuję mojego gościa faktami, liczbami, datami, wplątam anegdoty, krótko mówiąc, staram się, bo, jak mi powiedziano, rozmawiam z ważnym profesorem ze Stanów Zjednoczonych. „Pokaż mu miasto, opowiedz, co trzeba, jak to ty potrafisz”. Uczelniany blues wszędzie brzmi tak samo i nie jest tylko domeną polskich uniwersytetów.

Mój gość i towarzysz podróży słucha wszystkiego, co mam do powiedzenia, z zaciekawieniem ogląda groby irlandzkich terrorystów, wsłuchuje się w historię cmentarza Milltown, na którym jesteśmy i który sam był areną ataków terrorystycznych w czasie konfliktu w Irlandii Północnej. Chłonie magię tego miejsca, nad którym dumnie powiewa irlandzka flaga. Mamy już wracać do jego hotelu, dwie mile dalej, kiedy wrywa się z zadumy i zaczyna zadawać pytania. To jest przerażający moment, bo co, jeśli nie będę znał odpowiedzi, jak na to zareaguje ten ważny profesor z Ameryki, któremu ja, polski doktorant na północnoirlandzkiej uczelni, na pewno zostałem rzucony na pożarcie. Trzeba przyznać, że jego pytania nie były łatwe.

– OK, rozumiem, duża organizacja, struktury sięgające głęboko w społeczność lokalną, stały dopływ rekrutów i tak dalej. Ale kto za to płacił?

– Yyy... za co?

– Za broń, kto finansował ich szkolenie, wypłacał pensje osobom „na etacie” w IRA?

– ...IRA? Znaczy organizacja, która sama się finansowała – próbuję odzyskać wigor.

– Świetnie, ale z czego? Co robiła, by się sama finansować? – drąży profesor.

– O, to nietrudne pytanie. Przeszłość: napady na banki, handel nielegalnymi dobrami, wymuszanie okupów, wsparcie finansowe z zagranicy, ze społeczności irlandzkich w Stanach Zjednoczonych...

– I wszystkie pieniądze szły na terroryzm?

– Nie, nie wszystkie, część szła też na utrzymywanie rodzin więźniów i na szereg inicjatyw społecznych...

– Jakich? – W oczach mojego rozmówcy widzę zaciekawienie.

– Jakich? Cóż... O więźniach już mówiłem, ale także na młodzież, na finansowanie różnych form aktywności dla dzieci, sport, naukę irlandzkiego. Osobno finansowano inicjatywy pomocowe dla matek, samotnych kobiet. Dodajmy do tego prasę, no i partia polityczna, czyli Sinn Féin, której biura odgrywały rolę centrów doradztwa zawodowego, ale też komisariatu policji, gdzie można się było „poskarżyć” na kogoś. Także sądu...

– Czyli – przerywa mi jakby wyrwany z letargu profesor – oferowali usługi, usługi socjalne, prawda? Robili coś dla społeczeństwa, a nie tylko zajmowali się mordowaniem przeciwników? Robili coś, czego teoretycznie nie musieli, ale to pomagało im w zdobywaniu poparcia, pozyskiwaniu rekrutów i głosów, czyż nie? A może było tak, że organizacje, których historie studiujesz, właśnie w większym stopniu zajmowały się tym, o czym opowiadałeś, a nie planowaniem i realizacją działań terrorystycznych? Bo tak jest z tymi, które ja znam, z Hamasem, Hezbollahem, z innymi tego typu aktorami na Bliskim Wschodzie. To są filantropi. Filantropi. Nie tylko mordercy.

Znowu pada deszcz, idziemy alejką w stronę wyjścia, a ja myślę o konsekwencjach tego, co właśnie usłyszałem. Terroryści jako filantropi? Jako dobroczyńcy? Terroryści zajmujący się działalnością społeczną, charytatywną, pomocową? Jak to się ma do obrazu ukształtowanego przez media? Słowo „filantrop” na określenie kogoś, kto jest równocześnie przestępcą? Stąd już tylko krok do nazwania ich współczesnymi Robin Hoodami. To byłby dla mnie przewrót kopernikański i postawienie na głowie lat studiów. „Przeszłość jest przeszłością, jest przeszłością. Nie jest polityczna, to jest przeszłość” – mówiła na początku lat osiemdziesiątych o terrorystach z IRA Margaret Thatcher. I co teraz?

Minęło półtora roku i znowu nie mogę uwierzyć własnym uszom. Ponownie mowa o organizacjach terrorystycznych lub rebelianckich, ale często uznawanych przez nas, Europejczyków i Amerykanów, za terrorystyczne. I znowu nie mówimy o ich przemocy, zamachach, atakach, morderstwach, ale o tym, że niektóre zajmują się... wywożeniem śmieci. Jest wpół do dziewiątej, godzina, o której nie zaczyna się żadna europejska konferencja, ale jesteśmy w Stanach Zjednoczonych, gdzie na kampusie studenci budzeni są skocznymi rytmami *Poker Face* Lady Gagi o wpół do siódmej. To pozwala wstać na poranny jogging, potem zjeść trzy naleśniki z syropem na śniadanie i około ósmej ruszyć na konferencję. A na tej konferencji, w żarze kalifornijskiego słońca, słucham prezentacji o tym, że jeśli chcemy podminować poparcie dla terrorystów w Iraku, to musimy zająć się wywózką śmieci.

– Jest to niezbędny element funkcjonowania każdej społeczności ludzkiej – mówi prelegent, lat około trzydziestu, umocowany na którejś z uczelni na wschodnim wybrzeżu Stanów. – Wszyscy produkujemy śmieci i wszyscy chcemy, by ktoś je wywoził, utylizował, zabierał nam sprzed oczu. Jeśli ktoś, w domyśle państwo, miasto, władze lokalne, tego nie robią, to najprawdopodobniej będziemy mieć do czynienia z wybuchem społecznego niezadowolenia.

Mówi monotonię, ale słowa, które słyszymy, nie brzmią już tak kuriozalnie, a ja myślami wracam do dyskusji na cmentarzu Milltown. Przed oczami stają mi też góry śmieci na ulicach Neapolu i sceny z filmu *Gomorra*, ukazujące, jak neapolitańska Camorra zarządza wywózką odpadów na południu Włoch. Widzę też demonstrantów na ulicach Bejrutu, którzy załamują ręce nad tym, że ich rząd, sparaliżowany permanentnym kryzysem politycznym, nie może poradzić sobie z taką, wydawałoby się, błahostką jak utylizacja odpadów. Tak, jeśli ktoś to robi dla mnie i co najważniejsze – za mnie, to ja nie będę miał mu tego za złe, ale żeby to było równoznaczne z poparciem dla terrorystów?

– Wyobraźcie sobie – ciągnie prelegent – osiedle w stolicy Iraku, Bagdadzie, gdzie po pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej nastąpił niemal totalny krach infrastruktury oraz obecności państwa, i to nawet w sferze totalitarnej, saddamowskiej kontroli. I dodajcie do tego wydarzenia z 2003 roku, amerykańską interwencję, chaos, samosady, grabieże. Kto ma czas i głowę do tego, by wywozić śmieci? Armia Mahdiego, szyicka bojówka stylizowana po trosze na libański Hezbollah. Oczywiście, nie robią tego za darmo, ale mają całą infrastrukturę,

łańcuch dystrybucji i są efektywni. Próbowałem skorelować poparcie dla nich z tym, czy na danym terenie wywożą śmieci, i wyszło mi, że o dziwo bardzo często te dwie sprawy współlistnieją. Oczywiście nie wszystkie zmienne są pod kontrolą, mogą się pojawić nowe czynniki zewnętrzne decydujące o poparciu...

W tym momencie wpadamy w uniwersytecki żargon, który ma obronić prelegenta przed ewentualnymi atakami zawsze żądnych krwi kolegów. Rozglądam się po sali, ale nie wyczuwam takich nastrojów. Zaciekawienie, zainteresowanie i las rąk w górze z pytaniami, komentarzami dotyczącymi podobnych odkryć w innych krajach i w odniesieniu do innych organizacji zbrojnych, często uznawanych za terrorystyczne. Padają nazwy Gaza, Zachodni Brzeg, Irak, Kolumbia, Irlandia i nagle okazuje się, że wszystkie organizacje terrorystyczne tak robią, że to jest ich *raison d'être*. To już nie odosobniony komentarz, ekscentryczne zdanie ważnego profesora z Ameryki wypowiedziane podczas ulewy w Belfaście, ale trend. Nowa mantra: oni są społecznikami, filantropami i biznesmenami i żeby ich pokonać, my (Zachód? państwo?) musimy być w tym lepsi.

Eli Berman, profesor ekonomii z Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego (UCSD) ma na ten temat teorię. Uważa, że najlepszymi terrorystami są religijni radykałowie, i to wcale nie tylko islamiści. Jego zdaniem za ich sukces w tej dziedzinie odpowiada udane powielanie modelu Hamasu, czyli formuły organizacji zbrojnej, która angażuje się w liczne usługi społeczne, od edukacji po służbę zdrowia, doradztwo, zapewnianie prawa i porządku. Tworzą one równoległe struktury quasi-państwowe, administracyjne, które często, tak jak to ma właśnie miejsce w przypadku Hamasu, wypełniają pustkę pozostawioną przez skorumpowane, sklerotyczne i nepotystyczne reżimy oraz satrapie, na przykład na Bliskim Wschodzie. To one edukują dzieci, leczą chorych, doradzają, pomagają, wypłacają zasiłki, pilnują porządku. Otaczają mieszkańców danego terenu swoją siecią, systemem zależności, wielopoziomowym konstruktem, z którego trudno się wydostać. Jest to oczywiście możliwe, ale opuszczenie tego klubu ma swoją cenę w postaci utraty dostępu do wyżej wymienionych usług. Nikt inny ich po prostu nie zapewnia, a przecież nie ma nic złego w posyłaniu dzieci do szkoły albo w zagwarantowaniu im podręczników, butów czy tornistra? Co jest nie w porządku w dostępie do lekarzy, czasem najlepszych w okolicy? I teraz najciekawsze – taki system funkcjonuje też w Europie, na niektórych postkonfliktowych czy też

postterrorystycznych obszarach, gdzie państwo scedowało funkcje społeczne na dawne organizacje paramilitarne, terrorystyczne. Obecnie jej członkowie, już w garniturach, a nie w kominiarkach na głowach, decydują o wielu kwestiach. Opowiada mi o tym Peter, kolejny rozmówca z IRA, mający za sobą szesnaście lat odsiadki „za sprawę”. Mięwa nocne koszmary, bo widzi twarz człowieka, którego zabił. Zastanawia się, czy było warto, i to go frustruje. Po odsiadce poszedł na uczelnię, zrobił nawet doktorat, ale zdaje się mówić: i co z tego?

– Człowieku, jak nie jesteś jednym z „chłopaków”, albo jak im podpadniesz, to w katolickiej części Belfastu nie masz co liczyć na robotę! Nieważne, jakie masz kwalifikacje, jak dobrze jesteś wykształcony. A inni, tacy, co to nie zliczą do trzech, ale są z IRA, dostają pracę! – wykrzykuje.

– Spokojnie – odpowiadam – to jest Europa, nie mogą mieć takiej kontroli. Zresztą nie wierzę, by Wielka Brytania tak bardzo scedowała na nich rządzenie...

– Nie, no jasne. W teorii nie, ale praktyka to już inna kwestia. Goście bez wykształcenia, za to mający odpowiednie koneksje, z poważaniem i szacunkiem, nie robią nic w tych wszystkich organizacjach pozarządowych, co to je Londyn pozakładał. Tych wszystkich centrach tego czy tamtego, kultury, odbudowy, regeneracji, wsparcia, pomocy. Inkasują za to po dwa tysiące funtów miesięcznie, i to na czysto. Też bym tak chciał – kończy wylewać żale dawny terrorysta, dziś z małym dzieckiem i znacznie młodszą żoną na utrzymaniu.

Chciałby, ale nie ma na to szans, bo wyszedł z „modelu Hamasu”, który jest systemem zależności, spreparowanym do ograniczania potencjalnych zrad i przejść do wrogiego obozu. Najczęściej stają się one zbyt kosztowne, ryzykowne, poprzeczka w przypadku wyjścia wisi za wysoko. W konsekwencji taka organizacja jest efektywna jako struktura terrorystyczna mogąca planować i przygotowywać kolejne ataki, korzystając często ze spokoju, jaki daje bycie instytucją oferującą usługi socjalne, lub czynić to w domach ludzi korzystających z tego modelu. Czasem nie trzeba ich zresztą nawet prosić o otwieranie drzwi, bo organizacja już jest po ich drugiej stronie – w domu, mieszkaniu, w zeszycie czyjegoś dziecka, w telewizorze stojącym w centralnym miejscu pokoju dziennego. To orwellowska wizja z elementem subtelności, bo nikt z danej rodziny nie przymusza do popierania jakiejś grupy. I znów, w teorii się nie przymusza, ale presja otoczenia i chęć uzyskania wymiernych korzyści robi swoje. Co więcej, jest to obleczone w szaty religijne, prawdziwej wierności, bliższej Bogu, korzeniom,

wierze, a więc korzystający z „modelu” może czuć się rozgrzeszony. Nie robi nic złego, zaspokaja potrzeby swoje i bliskich i jeszcze na dodatek zbliża się do Boga.

W tym miejscu występuje różnica w zachowaniu radykałów religijnych (Hamas) i grup o charakterze świeckim (IRA), które porywają się na podobne działania społeczne. Zdaniem profesora Bermiana świeccy nigdy nie będą mieć takiej kontroli nad swoimi członkami i sympatykami, nigdy nie zbudują tak quasi-totalitarnej siatki spełniającej kryteria „modelu”. W efekcie w ich szeregach pojawią się pęknięcia, ludzie odejdą, by tworzyć swoje własne mikroświaty. Efektem są kolejne wendety pomiędzy rywalizującymi „klubami”. I tu filantropi z powrotem zmieniają się w gangsterów. W terrorystyczne wersje neapolitańskiej Camorry z lat osiemdziesiątych XX wieku, która w takich wojnach gangów traciła około dwustu osób rocznie, rosyjskich gangów czasów *bespredel* (bezprawia) lat dziewięćdziesiątych XX wieku, których nihilizm i darwinizm bezpowrotnie wypaczył rosyjską transformację. Albo amerykańskich gangów młodzieżowych, bohaterów hollywoodzkich produkcji lub telewizyjnych tasiemców pokroju wspomnianego serialu *Prawo ulicy*. Terrorysty zapadają na te same choroby i zachowują się identycznie. Oddajmy w tym miejscu głos weteranowi wojen gangów, który kiedyś decydował o życiu i śmierci na ulicach Belfastu: „Tamci [inna frakcja IRA] rekrutowali na naszym terenie, podbierali nam potencjalnych rekrutów, trzeba ich było za to ukarać. Nasi zasadzili się więc na X. Wiedzieli, gdzie mieszkał, bo jeszcze parę tygodni wcześniej był u nas, a teraz pracował dla tamtych. To był wypadek. Wypadek przy pracy. Trochę za dużo entuzjazmu podczas karania i wyszło, co wyszło”.

Znowu jestem na tym samym cmentarzu. Można powiedzieć, że wyspecjalizowałem się w takich wycieczkach. Ktoś ważny przyjeżdża na mój uniwersytet, chce zobaczyć inny, trochę polityczny, trochę terrorystyczny Belfast, więc pojawia się ja. Tak, mam dla ciebie pół dnia. Dzisiaj moim towarzyszem jest kolejny ważny profesor z Ameryki, z którym lada chwila moja uczelnia będzie współpracowała w projektach badawczych. Pogoda, cóż za niespodzianka, znowu nie jest najlepsza, ale my spacerujemy po alejkach cmentarza. Moja wyuczona piosenka o gangsterach sprawdza się znakomicie. Dokładam też nową zwrotkę o filantropach, bo już wiem, że to zadziała w przypadku kogoś ze Stanów. Można wtedy zboczyć na aspekt finansowy, statystyczny, matematyczny, a to uwielbiają

wszyscy profesorowie z drugiej strony Atlantyku. Wszystko musi być kwantyfikowalne, wszystko to są dane i tylko o nich rozmawiamy. Ile ataków, ile strzałów, ilu zabitych, rannych, ile pieniędzy wydano na x, y, z, ile rodzin otrzymało wsparcie z funduszy organizacji i tak dalej. Same konkrety, zero dygresji, dywagacji, wątpliwości. Jeśli czegoś nie wiesz, to poszukaj danych, a jak ich nie znajdziesz, to tego nie ma. Triumf empirii na cmentarzu w Belfaście. I ten profesor też mi przerywa.

– To, co mówisz o tej rywalizacji, gangach, walkach wewnętrznych, jest szalenie inspirujące – oznajmia, jakby sam do siebie, a ja nie jestem zachwycony. Aż mnie mdli od tego amerykańskiego banału, który tak często słyszałem na wszystkich konferencjach i w rozmowach z kolegami stamtąd. W wolnym tłumaczeniu: „To wszystko bardzo piękne, ale zupełnie mnie to nie interesuje”. I tu następuje niespodzianka, bo jest ciąg dalszy. – Te wszystkie grupy, organizacje terrorystyczne, nam się wydaje, że trzeba je dzielić, skłócać, a jak na to patrzę i im więcej o tym myślę, to wydaje mi się, że twój doktorat powinien mieć tytuł *Divided We Stand* [W podziałach nasza siła] – kończy z uśmiechem profesor.

Po raz kolejny, na tym samym cmentarzu, niemal w tym samym miejscu, znowu mam problem ze zrozumieniem tego, co usłyszałem. *United we stand, divided we fall* to przecież hasło, motto o specjalnym, sięgającym XVIII wieku, znaczeniu dla Amerykanów. W jedności siła, podziały nas pokonają – to takie oczywiste. Postawienie go jednak na głowie brzmi niemal jak herezja, ale ma w sobie też coś z piarowskiej maestrii, tak poszukiwanej również w biznesie akademickim. Nośne hasło dźwignią handlu, czyli twoich publikacji i badań. Wreszcie to rozumiem i również się uśmiecham.

– Taaaak, to jest bardzo dobre podsumowanie tego wszystkiego i prztyczek w nos tym wszystkim, którzy myślą o terroryzmie w sposób konwencjonalny – odpowiadam.

– Właśnie. Czasem niektórym na dobre wychodzą te wewnętrzne wojny, wojny gangów – mówi uroczystym tonem mój rozmówca.

Wie, że zrobił to, co ważni profesorowie z Ameryki lubią robić – olśnił i zachwyił. Dalsze losy tego komentarza będą zależały już ode mnie, ale to on jest ojcem chrzestnym tej obserwacji, sobie rezerwuje to prawo. W następnych latach, niestety, zawiodę profesora. Mój doktorat i moja książka, która jest jego pokłosiem, nie otrzymały takiego tytułu, ponieważ wydawca szukał czegoś bardziej

akademickiego. I nie byłoby problemu, gdyby nie fakt, że kilka lat później nakładem Oxford University Press ukazała się książka o tym samym tytule. Traktuje o terrorystach z różnych frakcji IRA. Ironia? Zbieg okoliczności? To drugie, bo nie ma mowy, żeby profesor dalej dzielił się swoją obserwacją. A ja mogę co najwyżej jeszcze raz wrócić na tamten cmentarz i poczekać na deszcz, żeby mnie obmył. Ze złości, wstydu i niezadowolenia, że jakoś tak mi się nie chciało zająć wątkiem gangsterów i filantropów. Aż do teraz.

Przemysł

Na gangsterów i filantropów się nie załapałem, ale na inną modę w świecie badania terroryzmu już tak. Na modę, właśnie tak. Zjawisko to nie omija naszego świata, pojawiają się trendy, które się umacniają, a potem powoli odchodzą w zapomnienie. Jednym z takich trendów była (bo już w coraz mniejszym stopniu jest) wspomniana na początku tej książki radykalizacja. Radykalizacja ludzi prowadząca w szeregi organizacji terrorystycznych. Proces społeczny, a nie decyzja instynktowna, nagła. Proces, który można zatrzymać, odwrócić poprzez, tak, to oczywiste, deradykalizację.

„Tak, jasne, szkoda, że połowa Europy nie wiedziała, co to takiego, ale zgodziła się z tą diadą, osiłą radykalizacja–deradykalizacja – śmieje się Andre z węgierskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Łatwo zgadzać się z czymś, co płynie z Brukseli, co ciebie nie dotyczy, prawda? Bo nas nie dotyczyło. To był koncept dotyczący radykalnych islamistów, my ich nie mieliśmy i nie mamy, więc czym się przejmować?”

„To było jak pociąg, który jechał trzysta kilometrów na godzinę, podczas gdy nasz pociąg jechał z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę i nagle kazano mu przyspieszyć. Mówiliśmy sobie: tak, jasne, oczywiście. Bez większego zastanowienia – kwituje Iztok Prezelj, dawny doradca słoweńskiego rządu do spraw zwalczania terroryzmu. – I nastała moda. Wszyscy mówili o deradykalizacji radykałów, podobnie niżej podpisany. Pojawiły się pieniądze, granty, książki, konferencje, powstał cały przemysł”.

Najśmieszniejsze w tej historii jest to, że ów przemysł został sztucznie wytworzony. Był wynikiem decyzji politycznej, reakcji władz na pojawienie się domorosłych terrorystów, którzy w 2004 i w 2005 roku zorganizowali zamachy w Madrycie i Paryżu. To byli ludzie stąd, z Hiszpanii i z Wielkiej Brytanii, nawet jeśli nie posiadający obywatelstw tych krajów, to w nich mieszkający, można powiedzieć, że zintegrowani. Skończyły się czasy wysyłania grup spiskowców z kraju A, przez kraj B, do kraju C, jak to stało się 11 września 2001 roku, kiedy to

mieszkający w Niemczech Egipcjanin, przeszkolony w Afganistanie, zaatakował cele w Stanach Zjednoczonych. I trzeba było reagować.

„To były »europejskie« ataki, tak to nazwijmy, wielkie uderzenie w państwa członkowskie Unii Europejskiej, więc i odpowiedź była europejska. Zebrano najpierw nas, grupę ekspertów z całej Europy – mówił na zjeździe Towarzystwa Badań nad Terroryzmem Rik Coolsaet z Belgii, jeden ze znawców tej problematyki – i kazano nam analizować to, co się stało. Jak to możliwe, że ktoś, kto właściwie jest Europejczykiem, miałby dokonywać takich zamachów przeciwko innym Europejczykom. I my napisaliśmy o socjalizacji prowadzącej do grup terrorystycznych. Za długie, prawda?” – śmieje się Coolsaet. Ktoś to skrócił do radykalizacji i potem dodał deradykalizację. To nie tak miało się nazywać i nie opisuje tego procesu. Nie do końca oddaje jego społeczny charakter.

Nie przeszkodziło to jednak w uruchomieniu wspomnianego przemysłu. Zaczęto przez wszystkie przypadki odmieniać słowa na „r” i „d”, co stworzyło masę krytyczną w badaniach nad terroryzmem i proponowanych działaniach mających służyć jego zwalczaniu. Trzeba deradykalizować, a nie zamykać w więzieniach, uczulać, uodparniać, a nie represjonować.

Po mniej więcej dekadzie koncept zaczął się wypalać, tracił paliwo, pojawiały się wątpliwości. Czy aby nie upraszczamy, czy nie narzucamy pewnej wizji zjawiska, którego do końca nie rozumiemy? Zwłaszcza że oto w szeregach ISIS zaczęli się pojawiać Europejczycy, którzy nie byli zradykalizowani, wydawali się wręcz przypadkowymi terrorystami, niektórzy przed wyjazdem do Syrii kupowali sobie książki typu *Islam dla opornych* albo *Koran dla opornych*. Nie dojrzewali latami do swojej wiekopomnej decyzji, kierowało nimi coś innego. Przemysł „radykalizacja–deradykalizacja” nie dawał już odpowiedzi na stawiane mu pytania. Na szczęście na jego miejscu pojawił się nowy.

Latem 2013 roku byłem w Brukseli, gdzie moich rozmówców z instytucji europejskich wypytywałem o to, jak postrzegają rozwiązania antyterrorystyczne w Europie Środkowo-Wschodniej, regionie, w którym terroryzm nie istnieje. Jak oceniają polskie, czeskie, łotewskie i tak dalej próby organizacji procesu zwalczania terroryzmu bez terroryzmu? Po drugiej stronie pojawiały się uśmiechy, kiwanie głową, dyplomatyczne i raczej pozytywne oceny. Standard. Wszyscy, z którymi rozmawiałem, podejmowali jednak także niestandardowy temat –

wspominali o zagranicznych bojownikach. Wręcz do niego parli, wbijając mi do głowy, że na tamten moment to jest właśnie kwestia kluczowa.

„Setki ludzi wyjeżdżają z Europy, trzeba szykować się na ich powrót – mówił mi Pierre z Komisji Europejskiej. – Zobaczysz, że inne problemy w obszarze zwalczania terroryzmu zostaną szybko zastąpione przez ten właśnie. Sami nie wiemy, ilu ich wyjechało, polegamy na szacunkach akademików i ekspertów”.

To była brutalna prawda, ale też początki narodzin nowego przemysłu – idei, narracji konsolidującej środowiska praktyków, ekspertów i badaczy terroryzmu oraz jego zwalczania. Powstawał megatrend, o czym jeszcze nie wiedziałem, ale w kolejnych latach miałem go poznać. Wszyscy, dosłownie wszyscy w to weszli, dołożyli swoją cegiełkę. Pojawiały się artykuły analizujące losy dziesięcioosobowych grup takich bojowników z różnych krajów, z rekomendacjami, wnioskami. Równolegle powstawały olbrzymie zestawienia na temat tych bojowników, obejmujące dziesiątki krajów. I liczby, liczby, ciągle rosnące liczby. Pięć, dziesięć, dwadzieścia, by w końcu zatrzymać się w okolicach trzydziestu tysięcy ludzi z kilkudziesięciu krajów, którzy przyłączyli się do ISIS. Zestawienia, dodajmy, dość nietrafione, bo często oparte na równie nietrafionych szacunkach ministerstw spraw wewnętrznych poszczególnych krajów. Mimo to pojawiła się chęć, by to uchwycić, opisać, zdefiniować, rozłożyć na czynniki pierwsze. Konstrukt, czy też megatrend, pchający całą społeczność tak zwanych ekspertów do spraw terroryzmu, w tym mnie, żeby zajmować się właśnie tą tematyką.

Marc Sageman, jeden z guru badań nad terroryzmem, ale teraz także jeden z największych malkontentów w środowisku akademickim, jest przerażony „modą” na zagranicznych bojowników.

„Zjawisko to dociera nawet na poziom ludzi, którzy trafiają na »listy terrorystyczne«. Jesteś zagranicznym bojownikiem, lądujesz na liście, a to niebezpieczne, przecież wiele postaci historycznych podróżowało za granicę, by walczyć o wolność. Markiz La Fayette, Tadeusz Kościuszko [...], George Orwell [...]. Dziś byliby podejrzanymi na liście terrorystycznej [...]. Umieszczanie ich tam to cios dla uciśnionych ludzi na całym świecie”⁶⁸. Dla Sagemana zagraniczni bojownicy to osoby, które „przede wszystkim chcą walczyć za granicą, a nie wracać i atakować cele w swoim kraju”. Sageman niemal otwarcie pyta, po co poświęcać im aż tak wiele uwagi? Czy to nie przesada? I dodaje: „Ze wszystkich

zagranicznych bojowników rodem z Stanów Zjednoczonych tylko czterech zostało zawróconych przez Al-Kaidę i wróciło, by zaatakować ojczyznę”⁶⁹. Ma rację, ale to była Al-Kaida. Jak będzie tym razem? To przecież właśnie tacy zawróceni sterroryzowali Europę w 2015 i 2016 roku.

– Wszystkiego wam nie powiem, nie mogę, zresztą, wiadomo – uśmiecha się Eric z francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Siedzimy w powoli pustoszejącej kawiarni, jakich wiele na każdym skrzyżowaniu paryskich ulic. Lato 2016 roku, dla mnie i kilku kolegów z zagranicy skończyła się kolejna konferencja terrorystyczna, a jej kuluary to właśnie nasza dyskusja w mniejszym gronie. Eric pochłania kawę za kawą i ciągnie swoją opowieść o zagrożeniu terrorystycznym w Europie i roli, jaką odgrywają w nim zagraniczni bojownicy wracający do domu.

– Mogę wam jednak powiedzieć sporo, bo to, z czym mamy do czynienia, to problem całej Europy. Tego kraju, tamtego, owego. Po zamachach w Paryżu w listopadzie 2015 roku myśleliśmy, że na wolności zostały cztery osoby z tego spisku. To było optymistyczne założenie. I żeby było lepiej, na lewo i prawo rozpowiadaliśmy, że wszyscy oni są w Belgii. Oczywiście Belgowie dostawali szalu, mówili, że to nieprawda, że wrócili do Syrii. Szybko też okazało się, że ślad po tych, których szukaliśmy, się urwał, tak jakby zapadli się pod ziemię, co tylko wzmacniało nasze przekonanie, że w Belgii leży klucz do rozwiązania zagadki. Tam to się zaczęło i tam pewnie wrócili, może nawet do Brukseli. Jak się miało okazać, zamiast czterech osób powinniśmy szukać ośmiu. Trochę się pomyliliśmy i podobnie rzecz się miała z Belgami. Z tej ósemki sześciu to byli zagraniczni bojownicy ISIS w Syrii. Do pomocy mieli jeszcze logistyków i tam też był co najmniej jeden „powracający” [osoba, która już powróciła z Syrii]. Cała siatka, nazwijmy ją parysko-brukselska, bo odpowiedzialna za ataki w tych miastach, składała się z ponad trzydziestu osób. Wyobrażacie to sobie? Więcej niż drużyna piłkarska, a my od listopada do lutego błędziliśmy jak pijane dzieci we mgle! I nie czarujmy się, oni wykorzystali kryzys migracyjny, by przerzucić tych ludzi do Europy, stworzyli całą infrastrukturę: małe grupy przemieszczały się na lewych paszportach syryjskich, a w Europie czekały już na nich inne dokumenty, zresztą o dokumentach jeszcze za chwilę. Węgry, Kacper, to niedaleko od ciebie, od Warszawy, prawda? Tam się zbierali i stamtąd mieli transport na zachód. Nie cała

trzydziestka pokonała ten szlak, o nie. Ale elita już tak, grupa uderzeniowa z Paryża. I wygląda na to, że to jej członkowie, ludzie różnych narodowości, niektórzy z większym, niektórzy z mniejszym doświadczeniem zdobytym w Syrii, już tu na miejscu rekrutowali kolejnych terrorystów. Tak, to było ryzykowne, ale stosunkowo im się opłacało, nie sądzicie? Nie wszystko przywieźli z Syrii i widocznie musieli szukać ludzi na miejscu. Cała ta ekipa zniknęła nam z radarów i tak było do lutego, marca 2016 roku. Zmieniali kryjówki, o ile dobrze pamiętam, było ich sześć. Mieli pieniądze, powoli zaczęli szykować się do kolejnych ataków. Jak zmieniali kryjówki, że nikt ich nie wykrył? Dobre pytanie, ale tu pojawia się kolejny wątek, tym razem kryminalny. Mieli dostęp do fałszywych dokumentów tożsamości i to nimi się posługiwali. Ktoś im je spreparował... Kontaktowali się także z Syrią, wybierali cele. Operowali z Belgii, ale na oku mieli Francję, bo to tu chcieli uderzyć. I wcale im się nie śpieszyło, bo celem był turniej Euro 2016. Tak, tak, zero niespodzianek, to byłby najlepszy czas i miejsce do ataku. Jak się komunikowali? Najpierw nic o tym nie wiedzieliśmy, bo prawie niczego nie przechwyciliśmy, po zamachach w Paryżu nie bardzo było z kim rozmawiać i kogo podsłuchiwać, bo wszyscy nie żyli. A przepraszam, Salah Abdeslam zwiął. Żonglowali telefonami i oczywiście szyfrowali swoje wiadomości przesyłane do Ar-Rakki, stolicy ISIS. A tamta strona, Belgowie przechwycili ostatecznie tylko kilka plików, dawała im dużo swobody. Nie wtrącali się, doradzali, jak produkować nowe ładunki. Pełna sielanka.

Eric dopija kolejną kawę, patrzy na nasze twarze i wie, że nie myślimy o niczym innym, tylko o końcu tej opowieści. W kawiarni jest zupełnie cicho, a nasz rozmówca rozkoszuje się swoim statusem gwiazdy.

– I chcielibyście pewnie wiedzieć, co się zmieniło w marcu 2016 roku, prawda? Co przerwało sielankę? Tego wam za bardzo nie mogę powiedzieć. Może tak: Belgowie nieco przypadkiem władowali się do jednej z kryjówek całej grupy, tam się natknęli na terrorystów, padły strzały, jeden zabity, Abdeslam ucieka, ale to wiecie, było w mediach. I to wam musi wystarczyć, bo nawet dokładnie nie wiem, jak Belgowie znaleźli trop prowadzący do tego mieszkania. Pojawia się ryzyko, że teraz zwiną resztkę siatki, więc terroryści przyśpieszają swoje plany. Pal sześć Euro 2016 i Francję, pozostaje im Belgia, cel dostępny, bo przecież ukrywają się na terenie tego właśnie kraju. I tak to się kończy: pod presją decydują się na lotnisko i stację metra w centrum. Chcieli coś innego, a wyszło to, co wyszło.

W międzyczasie Belgowie, także z naszą pomocą, zwinęli część logistyków tego spisku, tych od dokumentów. Czas uciekał, wachlarz możliwości się zamykał, musieli uderzać. I powstał też problem, bo z pięciu zamachowców dwóch wypisało się z gry, może stchórzyli? To koniec pewnej historii, bo po Brukseli ISIS już nie wysyła całych oddziałów do Europy, zamyka się szlak bałkański, zrobiło się trudniej. Spójrzcie, zamiast tego dochodzi do czegoś innego, jest lato 2016 roku i po wezwaniach Abu Muhammada al-Adnaniego, człowieka numer dwa w ISIS, mamy epidemię ataków „samotnych wilków” w Europie. We Francji i w Niemczech. Przede wszystkim Nicea, gdzie ciężarówka rozjeżdża ludzi. No dobrze, może nie wszyscy nowi zamachowcy są tacy samotni i dość prędko się okazuje, że ich liczba też jest ograniczona. Nie każdy fan ISIS, ktoś kto ich lajkuje na Fejsie albo Twitterze, zostanie zaraz zamachowcem. Na szczęście... Kończy się pewna faza aktywności dżihadystów w Europie, zobaczymy, jaka będzie następna – konkluduje Eric.

Koniec? Pytam o to Pietera van Ostaeyena, jedną z najbarwniejszych postaci w biznesie antyterrorystycznym. Obecnie jest „tylko” doktorantem, ale to człowiek, który całe życie spędza na tropieniu belgijskich bojowników w Syrii. Publikuje ich nazwiska, pisze o nich, wrzuca na stronę internetową zdjęcia, które ci zamieszczają na swoich profilach w mediach społecznościowych. Żyje tym tematem, choć za dnia chodzi do „normalnej” pracy – jest specem od IT w firmie transportowej w Mechelen. Ma wrażenie, że to dopiero początek, że czekają nas bardzo, ale to bardzo trudne czasy. Powód? To coś, co zaatakowało Belgię, jest tylko częścią całego kontyngentu z tego kraju w barwach ISIS i to jest bardzo duży kontyngent. Jak duży? W grudniu 2016 roku baza danych, którą współtworzy van Ostaeyen, obejmowała pięćset sześćdziesiąt trzy nazwiska. Kilkadziesiąt z nich to „dzieci” rekrutera Khalida az-Zerkaniego, który „działał w tajemnicy. Miał przydomek Święty Mikołaj i zarządzał swoimi podwładnymi niczym kryminalista podległym mu gangiem. Członkowie tego gangu dokonywali rozbojów i grabieży. Az-Zerkani bezpośrednio pomógł wyjechać do Syrii około trzydziestu ze swoich rekrutów. Najsłynniejszym jest Abdelhamid Abaaoud, domniemany koordynator zamachów w Paryżu z listopada 2015 roku”⁷⁰.

– I ta grupa nie jest najgroźniejsza? Jest jeszcze coś gorszego? – pytam z lekkim przerażeniem van Ostaeyena.

On w odpowiedzi wspomina nazwę Sharia4Belgium. Z tą organizacją można powiązać prawie setkę Belgów, którzy wyjechali do Syrii. Organizacja została założona w 2010 roku na wzór działających w Wielkiej Brytanii Islam4UK i Sharia4UK. Impulsem do jej powstania miał być między innymi zakaz islamskich nakryć głowy z 2009 roku, który, jak przyznał jeden z liderów tej organizacji, „uderzył w nas z siłą bomby atomowej”. Członkowie organizacji nie uznawali swojej ojczystej Belgii za demokrację, czuli się represjonowani i zaczęli propagować wprowadzenie w Belgii prawa szariatu, co miałyby uchronić tamtejszych muzułmanów przed represjami. Grupa działała otwarcie, miała stronę internetową i kanał na YouTube. Po zamachach w Tuluzie, które trwały od 11 do 19 marca 2012 roku [kiedy to Mohammed Merah, wydawałoby się prototyp „samotnego wilka”, zamordował w trzech atakach siedem osób], belgijskie siły bezpieczeństwa zaczęły powoli zwracać się w stronę Sharia4Belgium⁷¹. Po dwóch latach od powstania tej organizacji zaczęto dostrzegać podobieństwa pomiędzy Sharia4Belgium a radykalnymi islamistami z innych krajów. Proces ten postępował jednak powoli. Jak przyznał Alain Winants, szef belgijskiego odpowiednika ABW, na terenie Belgii „przebywa około tysiąca salafitów-dżihadystów, około setki z nich to aktywiści. Ilu z nich jest gotowych działać, pozostaje niewiadomą, ale to bardzo mała część belgijskiej wspólnoty muzułmańskiej. Niewielu z nich wyjechało do Afganistanu, może tuzin⁷². Siedem miesięcy po tej wypowiedzi Winantsa Sharia4Belgium niespodziewanie ogłosiło rozwiązanie, oświadczając przy tym jednak, że „walka nie jest zakończona”. Kolejne lata i wyjazdy członków tej organizacji do Syrii pokazały, co autorzy tego oświadczenia mieli na myśli. Pozostaje pytanie, czy wrócą. Czy im się to uda i czy spełni się przepowiednia van Ostaeyena?

– Jasne, będzie z nimi problem. Wpienia mnie to gadanie, te listy, które pisali do gości z naszych uczelni, którzy badają to zjawisko, że chcą wrócić i będą grzeczni, bo mają dość, bo ISIS jest okropne, bla bla bla. I potem ci naukowcy piszą komentarze i analizy do naszych mediów, opowiadają w telewizji, że ISIS jest okropne i ci ludzie, ci zagraniczni bojownicy zasługują na drugą szansę, że nie można ich tak po prostu zamykać w więzieniach. K...a, pewnie, że ISIS jest okropne, bo co w nim fajnego? Nagle te okropne piwka, co je obalałeś co weekend,

te dragi w klubach, te meczyki angielskiej Premier League w telewizji, nasza kochana najlepsza na świecie służba zdrowia nie wydają się takie złe, co nie?

David jest wściekły. Jesteśmy w Sztokholmie na kongresie Europejskiej Sieci Ekspertów do spraw Terroryzmu, gdzie ludzie tacy jak ja, jajogłowi w okularach, spotykają takich jak on. W Polsce nazywa się ich praktykami. David, który w barach jest szerszy niż trzydrzwiowa szafa, ale niech to nikogo nie zwiedzie, bo właśnie zaczyna doktorat na jednej z londyńskich uczelni, pracuje w tamtejszej policji i dzień w dzień ma do czynienia z terrorystami i terroryzmem.

– Ci goście wrócą – ciągnie przy obiedzie w restauracji przylegającej do szwedzkiej akademii wojskowej – choć wielu będzie miało dość i w nic się nie zaangażuje. Zgadzam się, ale niech wśród nich będzie kilkudziesięciu takich, którzy wpadną na inne pomysły? Albo inaczej – wrócą, odsiedzą swoje w więzieniu, o ile ich złapiemy, ale pozostaną w tym biznesie, w siatce. I po latach znajdą się znowu w grze, albo będą to ich dzieci, bracia, kuzyni i tak dalej. Nie musi ich być wielu, żebyśmy mieli kłopot. I mówię ci to ja, gość z Wielkiej Brytanii, który od dziesięciu lat, od 2005 roku, mocno siedzi w tym temacie, inwestuje, interesuje się, wysyła ludzi do innych krajów europejskich, żeby robili, tak, dosłownie, robili im prezydencje w Unii Europejskiej od strony antyterrorystycznej. Teraz wyobraź sobie, co będzie z innymi krajami, niekoniecznie takimi jak Polska, ale z Europy Zachodniej, z których wyjechały setki osób, a ich władze zupełnie tego nie kontrolują. Wiesz, twój kraj, kraje Europy Wschodniej, to jest inna liga. Parę osób wyjechało, niech ktoś wróci, ale to mało. A na Zachodzie? Setki, setki gości z krajów, które skosztowały terroryzmu, a tu totalna czarna dupa. Nikt nic nie wie.

Nie ma nagród za zgadywanie, o których krajach mówi David. O jednym z nich sporo już było na kartach tej książki. O Belgii.

– Zobacz, wielu Belgów wróciło – kontynuuje David – a oni tego nawet nie wiedzą. Dopiero od niedawna, od początku 2015 roku, zwracają na to uwagę, ale to i tak było za późno, żeby zatrzymać Paryż i Brukselę. A my, Wielka Brytania? Szalenie proste: my ich likwidujemy. Drony, przyjacielu, drony i nasze lotnictwo. Czasem prosimy o przysługę Amerykanów. Oczywiście, nie wszystkich, to niemożliwe, ale tych wyróżniających się już tak. Belgia, Szwecja, Bośnia, Albania, inne kraje, z których wiele osób wyjechało, nie mają takiej możliwości, takich

danych, takiej współpracy z Amerykanami. Pod tym względem jesteśmy w dobrej sytuacji.

W gorszym położeniu są Niemcy, w których ponoć prawie połowa powracających zagranicznych bojowników, to jest tych, którzy wrócili do domu, pozostaje wierna dżihadyzmowi⁷³. Wśród nich są przyszli zamachowcy ISIS w Europie, to także rekruterzy, ludzie będący piewcami dżihadu, również wśród kolejnych pokoleń.

„Wielu wróciło albo wróci, ich żony i dzieci także. Jak sobie z tym poradzimy? Co oni będą robić, kiedy wrócą? Jak dokonać reintegracji?” – pyta dość retorycznie Catherine de Bolle, szefowa belgijskiej policji⁷⁴. I najgorsze w tym wszystkim jest to, że to kłopot nie tylko dla policji, ale też dla służb socjalnych, szkół, służby zdrowia, bo, jak zaznacza de Bolle, na nich także spoczywa obowiązek prewencyjnego ostrzegania przed objawami radykalizmu wśród uczniów, pacjentów, klientów i tak dalej. To w pierwszej kolejności jednak ból głowy dla dyplomatów, a właściwie pracowników konsulatów swoich krajów w Turcji, którym zdarza się odbierać telefony od dżihadystów chcących powrócić do kraju. Takich jak na przykład niejaki Bilel, francuski zagraniczny bojownik, który zdezerterował z szeregów ISIS i wraz z rodziną próbował przedostać się do Turcji⁷⁵. Zapis jego rozmowy z francuskim urzędnikiem może szokować, ale nie z powodu inwektyw, których może spodziewać się ktoś postronny, lecz raczej administracyjnego i zabójczo rzeczowego charakteru tej rozmowy. Nie ma w niej żadnej ideologii, dokonywana jest transakcja.

– Mam małe dziecko, ma trzy tygodnie...

– [...] Posiada pan akt urodzenia?

– [...] Po francusku, jak mniemam?

– Ależ nie, może też być po arabsku. Proszę przynieść ten po arabsku i będzie go pan mógł tutaj przetłumaczyć...

– Myślę, że mogę mieć ten dokument także po francusku.

Skąd Bilel miałby francuski akt urodzenia wydany na obszarze kontrolowanym przez ISIS pozostanie jego tajemnicą, ale dalej jest coraz lepiej, ponieważ ten zagraniczny bojownik oświadcza, że ma ze sobą dokumenty wszystkich członków rodziny. Wprawia tym konsula w bardzo dobry nastrój, bo ten będzie miał mniej papierkowej roboty. Pozostaje jednak jeszcze jeden detal.

– Jak pan przekroczy granicę? Władze tureckie, które poinformowaliśmy o sprawie, oświadczyły, że jest ona zamknięta, a na pana odcinku stoi mur [...]. Czy będą do pana strzelać? Nie, nie sądzę, choć teoretycznie mogą panu odmówić prawa wstępu.

– [...] I w dodatku granica jest zaminowana...

– Nie wiedziałem.

– Tak, po syryjskiej stronie na pewno.

Taki drobiazg, do którego omówienia można przejść po sprawdzeniu, czy wszyscy będą mieć w kieszeniach swoje paszporty. I nagle okazuje się, że jest kolejny problem.

– Pan nie mówi po turecku, prawda?

– Ani trochę, ani słowa po turecku.

– Przy odrobinie szczęścia trafi pan na pograniczników mówiących po arabsku [...]. Wie pan, jak powiedzieć „Francja” po turecku?

– Nie.

– Proszę mówić *Fransa*.

– *Fransa*. W porządku.

Bilełowi, jego żonie i trójce dzieci udało się przekroczyć tę granicę. On został w tureckim więzieniu, jego rodzinę deportowano do Francji. Jego losy staną się paliwem dla badaczy terroryzmu przez następne lata. Już nie tylko będziemy liczyć zagranicznych bojowników i studiować ich motywacje, ale przede wszystkim pisać o ich „życiu po życiu”. Te dziesiątki tysięcy obcokrajowców, w tym kilka tysięcy Europejczyków, którzy po 2011 roku przeszli przez wojnę w Syrii, stanowią już zdecydowanie większą liczbę ludzi niż arabscy weterani z Afganistanu, czyli zagraniczni bojownicy walczący w tym kraju w latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych XX wieku. To sześć, siedem razy więcej niż tych najwyżej pięć tysięcy obcokrajowców, którzy w latach 2003–2011 przekradli się do Iraku, by stanąć przeciw Amerykanom w szeregach powstańców i często Al-Kaidy w Iraku. Poprzednicy bojowników z Syrii, z afgańską lub iracką biografią, do dziś odgrywają ważne role w światowym dżihadyzmie, żeby wymienić Egipcjanina Ajmana az-Zawahiriego, przywódcę Al-Kaidy, i Syryjczyka Abu Mohammada al-Julaniego, szefa An-Nusry. Obaj zrobili kariery podczas konfliktów zbrojnych w obcych krajach, a czasami również w swoich ojczyznach, bo Al-Julani walczył

w rodzinnej Syrii, ale w przeszłości bił się w Iraku. Podobnie, choć oby mniej spektakularnie, mogą potoczyć się kariery zagranicznych bojowników z Europy, którzy po 2011 roku wylądowali do Syrii. Wielu wróci jako bohaterowie, spotka weteranów innych dżihadów, którzy do dziś mieszkają na Starym Kontynencie i... Właśnie: i co dalej?

Jedno jest pewne: Bilełów będzie więcej. Wraz z upadkiem Mosulu i Ar-Rakki do Europy ruszy wielu zagranicznych bojowników. Niektórzy, żeby ratować skórę, inni na rozkaz przywódców ISIS, którzy wyślą ich z powrotem na Stary Kontynent, by przeprowadzali ataki terrorystyczne. Im wcześniej, tym lepiej, choć ISIS jest cierpliwe. Zawsze można przecież zaatakować już po wyjściu z więzienia, na przykład tureckiego.

Jest jeden cyniczny element w tej historii o zagranicznych bojownikach. Kiedy tworzył się przemysł badania ich historii, opowiadania o nich, streszczania życiorysów, to Europa Środkowo-Wschodnia pozostawała z boku. Ktoś powie, że jak zwykle, niemniej to akurat było fantastyczne wydarzenie, że się na tę modę nie załapaliśmy. Umacniało to podział Wschód–Zachód w obszarze zwalczania terroryzmu i także badań nad tym zjawiskiem. Po co zapraszać kogoś, kto tego nie dotyka? Po co się z nim konsultować? Prawdziwa ironia, ponieważ polski hymn narodowy, nasz hymn, to przecież piosenka zagranicznych bojowników. Tak, to zupełnie inne przypadki niż te, o których czytamy w mediach. Walczyli o wolność Polski, a nie o fundamentalistyczną utopię. Niemniej i jedni, i drudzy to zagraniczni bojownicy, przedstawiciele fenomenu, który po 1945 roku w Polsce jest w odwrocie.

– Nikt stamtąd nie wyjechał? – pyta mnie Aaron Zelin, założyciel strony jihadology.net, na której publikuje między innymi oświadczenia grup dżihadystycznych z różnych stron świata. O tym, kto wyjechał, będzie jeszcze okazja wspomnieć, ale moje konwersacje z nim poskutkowały artykułem, w którym napisałem o braku takich bojowników w Europie Środkowej⁷⁶. To moja cegiełka, wkład w przemysł, który w końcu bierze się nawet za tak egzotyczne perspektywy jak potencjalni polscy dżihadyści. Jak się później okazało, pisząc tamte słowa, bardzo się myliłem, a klucz do rozwiązania zagadki był o krok od domu. Nie w Syrii, ale na Ukrainie.

Cyrk?

Nie pamiętam, czy sierpień 2014 roku był w Warszawie szczególnie gorący. Wydaje mi się, że tak. Ludzie porozjeżdżali się na urlopy, a ja jako jeden z nielicznych analityków Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM) tkwiłem wówczas na stanowisku. Pewnego dnia postanowiłem wspiąć się na strych naszego budynku, gdzie, w klimatyzowanych warunkach, można w spokoju wypić kawę i zjeść przygotowany w domu obiad. Strych w budynku PISM ma jeszcze jeden atut – telewizor. Zawsze nastawiony na wiadomości i żeby było ciekawiej, parę lat temu często na kanał Russia Today zapewniający wspaniałą rozrywkę wszystkim obserwatorom sceny międzynarodowej. I właśnie tego dnia wiadomości tej stacji towarzyszyły mi przy konsumowaniu obiadu. Dużo było o Syrii, rychłym upadku Stanów Zjednoczonych, ale moją uwagę przykuła wiadomość z Ukrainy poświęcona „francuskim bojownikom” w Donieckiej Republice Ludowej. Cztery osoby, jedna z nich rzeczywiście mówi po francusku. Nie, to nie jest żadna *maskirovka*, to jest prawdziwy Francuz. Pozostali się nie odzywają, więc może to rosyjscy aktorzy, statyści, ale mnie to już nie interesuje, nie słucham słów z tego materiału, dopiero później poznam prawie na pamięć te wszystkie sformułowania, że chcą „chronić ludność cywilną”, że są tu, „by dać świadectwo i pokazać Francuzom prawdę o tym konflikcie”. Z prędkością światła zbiegam po schodach, niedojedzony obiad stygnie na strychu, niemal roznoszę drzwi do swojego pokoju, dopadam do komputera i szukam, szukam, szukam informacji na ten temat. Jakie licho ich tam przygnało? Skąd się tam wzięli? Może jest ich tam więcej? Nagle uświadamiam sobie, co właśnie robię. To zagraniczni bojownicy, o których niewielu słyszało. Co z tego, że nie są w Syrii, właściwie nawet lepiej. Pojawia się nisza, a ja mogę stać się częścią przemysłu. Będę pierwszy, pokonam konkurencję, która też na pewno oglądała ten reportaż. Niepotrzebnie się martwiłem. W następnych miesiącach odniosłem wrażenie, że tylko ja zareagowałem na tę wiadomość.

„Tak, są tam tacy ludzie. No, fajny temat, ale bez przesady, nieważny” – powiedział mi Peter, korespondent dużego brytyjskiego dziennika w Moskwie. Jak

się potem okazało, miał rację, ponieważ temat okazał się marginalny. Pozornie, bo oto przed moimi oczami otworzył się nowy świat, świat postmodernistycznej wojny, w której czarne jest białe, a białe jest czarne. Dosłownie.

Trudno w to uwierzyć, ale w XXI wieku w Europie żyją kandydaci na „innych” zagranicznych bojowników. „Innych”, bo nie są oni muzułmanami i z dżihadyzmem nie mają nic wspólnego. Jak wynika z wyliczeń moich oraz Arkadiusza Legiecia z Uniwersytetu Warszawskiego, w 2014 roku co najmniej tysiąc osób z grupy „innych” zagranicznych bojowników wyruszyło na Ukrainę, by walczyć zarówno po stronie donbaskich separatystów, jak i przeciw nim. I to nie licząc Rosjan – o nich za chwilę. Co ich tam pcha i jaki mają w tym interes? Postanowiłem sam ich o to zapytać. To, co usłyszałem, czasem zupełnie zbijało z tropu i nie przybliżało do rozwiązania zagadki. Chwilami zresztą myślę, że nie ma ona rozwiązania, i to jest fatalna wiadomość, ponieważ rozmawiamy o konflikcie zbrojnym, w którym giną ludzie, bardzo często niewinni cywile. Niekiedy z rąk owych „innych” zagranicznych bojowników.

Kiedy opowiadam o zagranicznych bojownikach na Ukrainie, często na sali słyszę śmiech. Albo donośny, rozbijający rechot. „To jest niczym cyrk” – mówią po wysłuchaniu mojej prezentacji koledzy z Towarzystwa Badań nad Terroryzmem. Podobnie rzecz się miała, kiedy rok wcześniej opowiadałem o tych bojownikach na zjeździe Rotarian w Bradford. Po sieci krąży nagranie z tego wydarzenia, gdzie publika chwilami pęka ze śmiechu. Ja też nie mogę się powstrzymać i zdarza mi się uśmiechnąć. To reakcja na zachowanie sali, ale też ucieczka przed niezrozumieniem tego, jak można jechać na wojnę bez powodu. „Pochodzę z części Europy – mówiłem na tej konferencji – gdzie walczy się o coś, o różne »izmy«. Nacjonalizm, komunizm, socjalizm i tak dalej. O idee, o niepodległość. Tutaj tego nie ma. To wygląda zupełnie inaczej. Motywacje tych ludzi są zupełnie inne”.

To nie jest żaden ruch społeczny. Nie ma porównania z mobilizacją ISIS do Syrii, to nie są żadne nowe „brygady międzynarodowe”, co próbują od czasu do czasu podkreślać donieccy separatyści. To także nie legia cudzoziemska NATO, sklecona przez Sojusz Północnoatlantycki wataha najemników. To chaos, bezład, improwizacja i kilka setek Europejczyków w środku bardzo wschodnioeuropejskiej wojny.

Film ma nieco ponad czterdzieści sekund, jest średniej jakości i w sumie niewiele na nim widać. To znaczy, widać, jak dwóch mężczyzn wykręca ręce trzeciemu i prowadzi go po korytarzu nowocześnie wyglądającego budynku. Nie widzimy twarzy ani dwóch osiłków, ani nieszczęśnika przez nich to konwojowanego, to wleczonego. Potem kamera najeżdża na bagaż, a w nim między innymi widać coś na kształt dawnej polskiej książeczki wojskowej. Chwilami widzialna ręka przewraca w niej strony tak, aby widzowie mieli pełny wgląd w treść książeczki, strona po stronie. A na każdej z nich skrót DRL – Doniecka Republika Ludowa, czyli separatysty ze wschodu Ukrainy. Film tymczasem powstał na lotnisku Boryspol w Kijowie, to tam aresztowano właściciela tego dokumentu. Co ktoś z takim papierem mógł robić w stolicy wrogiej mu Ukrainy?

„Ożeż ty... To Rafa, to na pewno on” – pisze mi Guillaume Cuvelier, Francuz, który walczył pod sztandarami DRL w czasie ukraińskiej wojny domowej. Rafa to Rafael Lusvarghi, jego towarzysz broni i przyjaciel, Brazylijczyk, jedna z najbardziej barwnych postaci w szeregach donieckich separatystów.

„Jesteś pewien?” – odpisuję, bo trudno mi pojąć, co ktoś taki, człowiek, który do kamery opowiadał o swoich wojennych dokonaniach na wschodzie Ukrainy, mógłby robić w Kijowie.

„Tak, na sto procent. Nie wiem, co go tam przygnało, po co się tam pakował?! Ostatnio nie kontaktowaliśmy się często. Wiem, że był w Brazylii, miał się zająć swoim życiem”.

Różne wersje tej historii zaczęły wychodzić na jaw później. Według jednej z nich wszystko miało być wielką manipulacją ukraińskich służb specjalnych, które zastawiły na Lusvarghiego pułapkę i zamknęły ją tamtego jesienno dnia 2016 roku na lotnisku w Kijowie. To, że tak mogło się stać, wydawało się oczywiste, ale dalej było jeszcze lepiej. Brazylijczykowi obiecano ponoć coś na kształt listu żelaznego, który miał mu pozwolić na uniknięcie więzienia na Ukrainie. Podobno kierował się w stronę Odessy, by tam podjąć pracę jako pracownik kontraktowy do ochrony statków kursujących na trasie Morze Czarne – Sri Lanka. Podobno ktoś prosił go, by wziął ze sobą dokumenty zaświadczające o jego „służbie” w wojsku DRL. Podobno, podobno, podobno. I nikt nic nie wie na pewno. Jasne jest jednak to, że oto zakończyła się jedna z najbarwniejszych karier zagranicznych bojowników wojny na Ukrainie.

„Nie żałuję tego gościa, co za debil, ma to, na co zasłużył” – piszą do mnie zagranicznicy z Pułku „Azow”^[4]. „On jest dla mnie jak brat, nie zasługuje na to” – pośrednio odpowiada im Cuvelier. Na Facebooku pojawia się grupa domagająca się uwolnienia Ruffy, a jego podobizna zostaje umieszczona w grafice stylizowanej na kościelne witraże, w której przypomina Chrystusa. Chrystusa? Przecież niedawno obwieszczał w wywiadach, że jest stalinistą, potem wykonał dość dramatyczny zwrot w prawo, aby w końcu zakotwiczyć w okolicach narodowego bolszewizmu. „Wszyscy jesteśmy popieprzonymi dziećmi postmodernizmu, pozdrawiamy Aleksandra Dugina” – mówił Lusvardi i jego towarzysze z Brazylii i Francji do kamery, która rejestrowała ich poczynania na wschodzie Ukrainy. Dugin, „papież” tak zwanego neoeurazjyzmu, narodowy bolszewik, uważany przez wielu, poniekąd niesłusznie, za ideologicznego mistrza Federacji Rosyjskiej w dobie trzeciej kadencji prezydenckiej Putina. Szarlatan, pseudointelektualista łączący nostalgię z siłą i znaczeniem Związku Radzieckiego i oblekający ją w barwy faszystowskie. W jego świecie nie ma podziłów, wszyscy mogą być razem i walczyć o wspólną sprawę – dominację Eurazji, cywilizacji lądu nad cywilizacją potęgi morskiej, to znaczy Anglosasami.

Kiedy mam problemy z pojęciem tego miszmaszu, pytam proseparatystycznych zagranicznych bojowników o interpretację, bo jak można pogodzić zwalczające się ideologie w jednym, dość mglistym konstrukcie? „Te podziły są z przeszłości – napisał mi Viktor, francuski ochotnik walczący pod sztandarami DRL. – Teraz trzeba patrzeć w przyszłość i skupić się na jedynym wspólnym wrogu: amerykańskim imperializmie”.

„Tak, przyjechałem tu walczyć z globalną dominacją żydowsko-amerykańskiego kapitalizmu, ale nie mam problemu z komunistycznymi kolegami” – to z kolei Franc, kolejny Francuz w barwach separatystów.

A teraz hiszpańscy ochotnicy: „Połowa obcokrajowców tutaj to komuniści, druga to naziści [...]. Walczyliśmy ramię w ramię, komuniści i naziści [...], chcemy tego samego: sprawiedliwości społecznej i wyzwolenia Rosji spod ukraińskiej inwazji”.

Oto prawdziwy triumf postmodernizmu, dla każdego coś miłego. Wszystko płynie, wszystko można reinterpreterować i dekonstruować według własnego widzimisię.

Zawsze było tak samo. Wieczór, jesteś po pracy, chcesz mieć spokój, a nagle twój telefon zaczyna wariować od wiadomości, wpisów na Facebooku i tweetów. Chłopcy na froncie mają chwilę przerwy, nudzą się i piszą do ciebie. O wszystkim. O artylerii, którą słyszą, o tym, że ciężko jest być pod ogniem dzień i noc. O koledze, który padł skoszony serią z nieprzyjacielskiego karabinu maszynowego. O wynikach meczów w piłkę. O tym, że ludzie w tym mieście źle na nich patrzą, ale generalnie są im przychylni. W takich rozmowach nie można ich zbywać, bo jak się wykić? Oni są na froncie, mogą zginąć, a ja siedzę spokojnie w Warszawie. Ten kontrast jest przygniatający i ustawia ich w dominującej pozycji. Zresztą jako naukowiec muszę unikać wartościowania. Unikam, ale konia z rzędem temu, kto zawsze ma się na baczności. Ja nie byłem w stanie i czasami wdawałem się w abstrakcyjne rozmowy. Na przykład pytałem Szweda z „Azowa” o demokrację na Ukrainie.

„Nie, nie jestem za demokracją, ale Ukraińcy mają pełne prawo do wyboru swojej formy rządów, swoich rządzących”.

„I mogą wybierać kogo chcą?”

„Tak, choć jest to pewne ryzyko, ale tak, mogą”.

„OK, a jeśli wybiorą proeuropejskie partie i takich polityków, którzy obiorą jednoznaczny kurs na Unię?”

„To by nam się nie podobało...”

„Ale przecież wybrali, więc co wtedy zrobicie, jak będziecie się zachowywać?”

„Uszanujemy wybór, ale nie, tak nie będzie”.

„Ale gdyby się stało, to co wtedy, zamach stanu? Czy tego chcecie?”

„Nie, ale... to ciekawe, co mówisz. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem”.

Albo inna rozmowa, z Francuzem od separatystów.

„Jak dojdiesz do władzy we Francji, to liberałowie nie muszą się niczego obawiać?”

„Nie, niczego”.

„I nie będzie więzień, obozów? Przecież sam mówisz o żydowsko-amerykańskiej konspiracji, która rządzi światem, czy nie czas na walkę z nią?”

„Skąd, jakie obozy, jakie represje? Ja nie mam czasu i siły na takie rzeczy”.

„To co z robisz z wrogami twojej idei?”

„Kupię im pizzę”.

Nie o kulinariach mamy jednak rozmawiać. Kto tam przyjeżdża, co to za ludzie, to mnie interesuje, o tym można porozmawiać już po „pizzy”.

„Mój Facebook działa na potencjalnych rekrutów jak lep na muchy – pisze do mnie wspomniany już Lusvarghi. – Dostaję dziesiątki propozycji, zgłoszeń, mnóstwo ludzi chce tu być, walczyć. Większość chce się sprawdzić, szuka okazji, by się popisać, dowartościować”.

„Oceniacie ich, sprawdzacie jakoś?”

„Pewnie, zresztą szukamy tych z doświadczeniem, bo ci niedoświadczeni szybko odpadną”.

„Aż tak u was ciężko?”

„I tak, i nie. Ciężko, bo tu się odbywa pełna improwizacja, my tworzymy siły zbrojne, niewiele mamy, warunki są, jakie są. I co więcej, wszystko jest po rosyjsku, jest zimno. Nie uwierzysz, jakie »perełki« nam się tu trafiają, aby się przed tym bronić, musimy ich po prostu odsiewać”.

„Perełki?”

„A żebyś wiedział. Gość wali do mnie tekstem, że chce być w DRL. Klikam na jego fotę, a on jest wielkości hipopotama. Drugi pisze, że chce walczyć dla Ukrainy. Ja mu mówię, że to zły adres i że my tu rekrutujemy na drugą stronę, a ten od razu: »a, pomyliłem się, tak, tak, chcę być u separatystów«. Na kilkadziesiąt takich aplikacji może jedna się do czegokolwiek nadaje. Jedna. I jeszcze potem trzeba go tu ściągnąć”.

Jego słowa potwierdza jeden z członków Pułku „Azow”. Podczas długiej rozmowy przez Skype’a mówi mi o znaczeniu przypadku decydującego często o tym, czy i gdzie ktoś walczy w tej wojnie. Jeden z „azowiaków”, obcokrajowiec, powiedział mi, że chciał jechać do tych drugich, czyli do separatystów, ale tam się jedzie przez Moskwę, a Rosja nie dała mu wizy, więc wylądował na Ukrainie i w końcu w „Azowie”. Dodatkowo siłę tego przekazu wzmacniają słowa Christophera Allena, dziennikarza piszącego między innymi o „Azowie”: „Ci ludzie są tu dla adrenaliny, nie dla wielkiej polityki, oni mi mówią: »nie rozmawiamy o polityce, nie o nią tu chodzi«. Za to często chodzi o to, żeby wzbogacić sobie CV. Tak, CV, bo oni chcą potem być kontraktorami, zarabiać duże

pieniądze w prywatnym biznesie i mają nadzieję, że »służba« na Ukrainie im w tym pomoże”.

Wątek adrenaliny wraca stale. Adrenaliny i męskości, testu na przydatność do przetrwania w brutalnym świecie XXI wieku. Cuvelier, wspomniany już Francuz, przyznaje otwarcie: „Wojna to specyficzny stan, coś niepowtarzalnego. Polecam ci to, to niesamowite uczucie, kiedy wiesz, że ktoś do ciebie strzela”. Kiedy pytam, czy przypadkiem nie bagatelizujemy cierpienia cywilów, nie sprowadzamy wszystkiego do „męskiej przygody”, odpowiada: „To, że tu jesteśmy, nie uczyniło tej wojny gorszą. Ona i tak byłaby okropna, i tak by się toczyła”. Byliśmy tam, ale nikomu w sumie nie zaszкодiliśmy. I znowu, to znajduje potwierdzenie w słowach drugiej strony. Mikael Skillt, szwedzki snajper „Azowa”, jedna z ikon tej jednostki, o ile nie maskotka medialna, napisał mi: „Byłem tu od samego początku, w każdej bitwie, i nasze [obcokrajowców] znaczenie w nich okazywało się żadne. O niczym nie decydowaliśmy, mieliśmy bardzo niewielki wpływ na wydarzenia na froncie”. To może jednak nie było warto?

„Nie, to było jakieś wariactwo – odpowiada na to pytanie Pedro, hiszpański ochotnik w szeregach separatystów, z którym miałem okazję rozmawiać. – Pojechałem tam, bo interesują mnie zagadnienia humanitarne, chciałem walczyć z imperializmem, amerykańskim imperializmem. I to, co zobaczyłem w Donieckiej Republice Ludowej i Ługańskiej Republice Ludowej, przeraziło mnie. Totalny chaos, brak organizacji, niekompetencja, bez troskie szafowanie ludzkim życiem, bandytyzm. W końcu wyjechałem i po powrocie zdałem sobie sprawę, że przeszedłem na drugą stronę. Dosłownie stałem się teraz prozachodni, pronatowski, chcę, żeby Sojusz Północnoatlantycki bronił nas przed tym, co tam się czai, co tam zobaczyłem. Doznałem całkowitej konwersji”.

„Tak, warto, bo musieliśmy zatrzymać rosyjską, czyli azjatycką ekspansję w Europie. Gdzieś trzeba postawić tamę i zrobiliśmy to tutaj, na Ukrainie” – odpowiada Steffan, szwedzki ochotnik z „Azowa”.

„Założmy, że się zgadzam, ale co dalej z tobą?”

„Nie wiem, do Szwecji nie wrócę. To już nie jest mój kraj, zszedł na psy – mówi zrezygnowany. – Nie jesteśmy tam już u siebie, wynaturzyła nas globalizacja, wartości liberalne, poprawność polityczna. Nie można być sobą, Szwedem, nie można być mężczyzną. Dlatego jestem tu i walczę o wolność tego kraju.

W przyszłości dostanę obywatelstwo, może znajdę tu sobie żonę, mam dodatkowe źródło utrzymania jeszcze ze Szwecji. Dam sobie radę”.

O tym, że nie można już być sobą we własnym kraju mówią też walczący po stronie separatystów Francuzi. Ludzie ci tak myślą i mówią: „Jadę gdzieś i walczę tam o to, co jest mi bliskie. U siebie nie mogę tego robić, bo system jest przeciwko mnie, wszyscy są przeciwko mnie, nikt mnie nawet nie wysłucha, nie spróbuje zrozumieć. Jediną szansą są konflikty rozgrywające się poza Zachodem. Tam mogę być sobą, tam mi zaufają i nie będą zadawać niepotrzebnych pytań”. Jest to nieświadoma realizacja teorii belgijskiego neofaszysty i narodowego bolszewika Jean-François Thiriarta, który mówił o „zewnątrznym płucu”, czyli miejscu gdzieś poza Europą, w którym ludzie o skrajnie prawicowych poglądach, buntujący się przeciwko transatlantyckiej dominacji, w wyniku konfliktu zbrojnego stworzą swoje miejsce na ziemi. Stanie się ono potem użyteczne dla nich w wojnie europejskiej, będzie trampoliną do osiągnięcia czegoś wielkiego.

W tę przyszłą wielkość „zagranicznicy” jednak nie wierzą. Wielu wraca do siebie, do swoich krajów, bo w domu nic im nie grozi, w przeciwieństwie do zagranicznych bojowników, którzy pojechali do Syrii. Kilku trafiło na Bliski Wschód, niektórzy nadal walczą. Włoch Francesco jeździ po Europie, by reklamować „Azow”, Jan, który jest zarazem Rosjaninem i Norwegiem, w podobny sposób propaguje idee swojej nacjonalistycznej grupy „Rusicz”, wchodzącej w skład sił Ługańskiej Republiki Ludowej. Polskę odwiedzają białoruscy członkowie ukraińskiego Prawego Sektora. Cuvelier, obywatel Stanów Zjednoczonych, jest po drugiej stronie Atlantyku, Lusvarghi w ukraińskim więzieniu. Pedro wrócił do siebie, do miasta na zachodzie Hiszpanii, i już nie odchorowuje donbaskiego bezsensu i chaosu. Kilku jego towarzyszy, hiszpańskich komunistów, miało problemy po powrocie, zostali nawet aresztowani, ale szybko wypuszczono ich z aresztu, bo nie było żadnych dowodów, że popełnili przestępstwa przeciwko Hiszpanii. Kazachstan zamyka w więzieniu „swoich” zagraniczników, którzy po zaangażowaniu w walki w szeregach separatystów powrócili do domu. Podobne groźby wysuwa Mińsk pod adresem białoruskich ochotników wspierających Ukraińców.

Pewna historia się kończy, ale mnie wciąż chodzi po głowie komentarz wspomnianego już Skillta, kolejnego Szweda w „Azowie”: „Jesteśmy podobni, to jasne. Jak dwie strony tego samego medalu”. Coś mi mówi, że ta grupa ludzi gdzieś

się jeszcze spotka. I niektórzy z nich, choć na Ukrainie wrogowie, ponownie staną się przyjaciółmi. Skoro „naziści” i „komuniści” mogą walczyć po tej samej stronie, to czemu zagraniczni bojownicy z Ukrainy nie mieliby pójść ich tropem?

„Separatyści nie wiedzieli, co z nami zrobić, jak nas wykorzystać – pisze Franc. – Chcieli, żebyśmy się ustawiali twarzą do kamery, odgrywali role, robili za maskotki. OK, rozumieliśmy to, bo to się przydaje, ale my chcieliśmy walczyć. Mówiliśmy im: wywiady tak, ale w zamian za możliwość szkolenia, chodzenia na patrole, a nie tylko siedzenie w bazie. Niby tak, niby nie, aż w końcu uciekliśmy. Inaczej, zmieniliśmy jednostkę. Nie można? To przecież improwizowane wojsko, nie żadna tam armia”.

„Improwizowane?”

„Nie mają taktyki, żadnej. Znaczy jest, przepraszam, ale rodem z II wojny światowej kiedy masy radzieckiej piechoty z okrzykiem *dawaj, dawaj* nacierały na niemieckie umocnienia. I nie ma briefingów. Nic. Nikt nie mówi, co jest celem, jak silny jest wróg, gdzie ma stanowiska. *Dawaj, dawaj* i do przodu! Jeden taki, co nam tak *dawał*, miał nas raz poprowadzić do ataku. Wyskoczył zza naszych umocnień, krzyknął co trzeba i padł jak rażony piorunem. Strzał między oczy. Ktoś na niego czekał i aż zbyt pewnie go trafił”.

„Co masz na myśli?”

„No to, że informacje przepływały sobie od nas do Ukraińców”.

Jakoś nietrudno mi to sobie wyobrazić. Kadr z filmu dokumentalnego *Polite people*, w którym Brazylijczyk Rafael, o którym już pisałem, opowiada o swoich wrażeniach ze spotkania z „dowódcą alkoholikiem”: „Macha mi pięścią przed nosem i krzyczy: »Najpierw was zastrzelę, potem was wyszkolę. Potem was zastrzelę, potem was wyszkolę, a potem znowu was zastrzelę, by potem znowu was wyszkolić!«”.

„Brzmi znajomo – pisze Steffan (był po drugiej stronie), kiedy pokrótce zrelacjonowałem mu te historie. – Nieład, beztroska, improwizacja i te niezrozumiałe decyzje. Musimy się cofnąć, oddać naszą bardzo dobrą pozycję na wzgórzu, bo tego wymaga porozumienie [mińskie^[5]]. Co za idiota negocjował to porozumienie? Może od razu oddajmy cały Mariupol?”

W tym właśnie miejscu bohaterowie tej opowieści mogli do siebie strzelać. O miasto walczył „Azow”, a po drugiej stronie znajdowała się grupa Francuzów. To było jedno z ich ostatnich doświadczeń tamtej wojny, ponieważ jeden z nich został oskarżony o defraudację środków, które poprzez crowdfunding^[6] gromadzili na sfinansowanie lepszego uzbrojenia. Czyli jeden z zagranicznych bojowników swoją beztroską dostroił się do poziomu gospodarzy?

„A gdzie tam, zaraz zdefraudował – śmieje się Jean, francuski korespondent na Ukrainie, który śledził losy Francuzów obecnych na froncie, kiedy pytam go o tę historię. – Pojechał do Rosji i wydał te pieniądze na prostytutki, hazard, alkohol. Oczywiście, gdy wrócił, nie miał łatwego życia, bo inni Francuzi chcieli go rozszarpać i ich grupa się rozpadła. To był pewien symboliczny koniec” – podsumowuje.

Bywały też inne końce. Jeden z Włochów przyjechał do Doniecka, bo zakochał się w dziewczynie stamtąd i chciał dla niej walczyć za Doniecką Republikę Ludową. Kiedy się tam pojawił, ukochana była związana z kimś innym. Ale że był już na miejscu...

„Tak, piękne kobiety o słowiańskiej urodzie to częsty wątek rekrutacyjny dla tych zagranicznych bojowników – twierdzi Jean. – Zakochał się, przyjechał, a że na miejscu było trochę inaczej, to już inna kwestia. Co przeżył, to jego. A było co przeżywać, bywały sytuacje mrozące krew w żyłach. Kładziesz się spać po, nazwijmy to, hucznej imprezie, alkohol, wiadomo. Budzisz się i okazuje się, że okolica wokół twojej kwatery jest zaminowana. I jak tu nie pukać się w czoło? Cyrk, po prostu cyrk”.

I dla niektórych z zagranicznych bojowników wielki problem: kogo wybrać, bo nawet jeśli walczą po ukraińskiej stronie i nienawidzą Putina oraz Rosji, to czy są zwolennikami Unii Europejskiej? „Ukraina wybierze swoją drogę” – piszą mi Skandynawowie z „Azowa”, ale w ich słowach czuć nutę zawodu, gdyby ich przybrana ojczyzna zdecydowała się na taki krok. „Ja chcę czegoś innego dla Ukrainy, nie chcę dla niej rosyjskiego azjatyizmu i nie chcę liberalizmu. Chcę nacjonalistycznej Ukrainy. Wiem, że liberalizm, ten zachodnioeuropejski, tu się nie przyjmie, a my teraz musimy Ukrainę obronić przed Azją” – pisze Steffan.

Tak, to częsty motyw w wypowiedziach zagranicznych bojowników walczących po stronie ukraińskiej: krucjata, odzyskanie i obrona przed nowym wcieleniem Złotej Ordy tej „białej” Europy, wywodzącej się od wikingów (widać to w grafice

stanowiącej element tej propagandy). A że przy okazji można też przemycać propagandowe wątki rodem z XX wieku i na przykład dywagować nad Holocaustem (Steffan: „Potrzeba więcej badań, nie wszystko jest pewne”) i skutecznością armii niemieckiej na froncie wschodnim w II wojnie światowej, witać się słowem „Zig”, względnie „Sieg”, albo śnić o Hitlerze i z lubością wspominać o tych snach dziennikarzom z Zachodu. Ale to już zupełnie inna historia.

„Tak, to w większości nacjonaści – mówi mi przez Skype’a Magnus, Szwed, który szkolił członków „Azowa” w sztukach walki. – Ale to niekoniecznie są naziści. Część używa tej retoryki, ale nie do końca ją rozumie”.

„Jasne, to wariaci, którzy mają hopla na punkcie II wojny [światowej] i w kółko słuchają zespołu Rammstein” – pisze Franc, który choć jego poglądy są zbliżone do opinii żołnierzy „Azowa”, to walczy po drugiej stronie. – To nie lata czterdzieste, świat się zmienił”. Nie przeszkadza mu to jednak wyśmiewać na swoim Facebooku hashtagu #jesuischarlie przez zamieszczenie karykatur z żołnierzami z dywizji Waffen SS Charlemagne i podpisem #jesuischarlemagne.

Podobnie czyni Viktor Lenta, jeden z oryginalnych liderów francuskich ochotników w Donbasie, na którego facebookowym profilu przewijają się fotografie ikon rosyjskich świętych: Hassana Nasrallaha z Hezbollahu, Baszszara al-Asada, Stalina, Lenina, członków greckiego neonazistowskiego Złotego Świtu czy grafiki z napisem „Attack Tel-Aviv” z karabinem AK-47. Wszystko się zlewa w jedno, Rafael Lusvarghi raz mówi, że jest stalinistą, potem, że nacjonalistą, a następnie każe mi w rozmowie „przestać go pytać o politykę, bo to nie ma znaczenia” i przyznaje, że jest poganinem. Jego grupa bojowa na froncie w Donbasie nazywa się „Drużyna Vikernes” – na cześć blackmetalowego muzyka norweskiego Varga Vikernesa, który na początku lat dziewięćdziesiątych zamordował jednego ze swoich konkurentów i podpalał kościoły. Cyrk.

Jednak nie do końca tak jest. Możemy się śmiać, sypać anegdotami, opowiadać o zagubieniu tych „ukraińskich” bojowników, black metalu i innych paradoksach, ale to tylko część historii. Obok jest przemoc, śmierć, zniszczenie i opowieści, jak ta poniżej, którą przywołuje w swoim tekście w książce pod moją redakcją Chris Holmsted Larsen z uniwersytetu w Roskilde w Danii.

„Isa Munajew przybył do Danii z żoną i czwórką dzieci w 2007 roku, podobnie jak kilkuset innych Czeczenów uciekających przed wojną i przemocą w swoim

kraju. Wydawał się dobrze zintegrowany, był jedną z głównych postaci w czeczeńskiej społeczności w Danii, działał między innymi jako prezes stowarzyszenia Wolny Kaukaz. W październiku 2014 roku [...] Munajew wraz z grupą pięciu innych duńsko-czeczeńskich ochotników pojawił się na froncie na Ukrainie [...]: »Wiemy, jak walczyć. Walczymy od dwudziestu trzech lat [...]. Jestem ojcem zabitej córki i synem zabitego ojca. Moja siostra została zabita. Nie tylko słyszałem o bezlitosnej naturze Rosjan, ale też jej doświadczyłem. Mówię całemu światu: Putin to zabójca i terrorysta«⁷⁷.

Munajew zginął na froncie w lutym 2015 roku, ale nie to jest w jego historii najważniejsze. Ci wyżej wymienieni Czeczeni mieli się dostać na Ukrainę nielegalnie, przechodząc przez zieloną granicę polsko-ukraińską. Pisałem o tym notatki dla MSZ i MSW jeszcze podczas pracy w PISM, ale pies z kulawą nogą się tym nie zainteresował. Pisałem też o Szwedach i Finach, którzy w drodze do „Azowa” przesiadali się na Okęciu do samolotów lecących do Kijowa lub poruszali się samochodami i legalnie przekraczali granicę, wioząc na Ukrainę swój ekwipunek. I znowu – nikt nic nie wie, nikt nic nie słyszał i wygląda na to, że nikomu nie zależy. Mały, nieznaczący problem. Podobnie jak odwiedzający Warszawę z pogadanką o swoim życiu na froncie Białorusini z Prawego Sektora albo Rosjanin-Norweg Jan Pietrowski, który także zajrzał do polskiej stolicy. Wszystko to widoczne i reklamowane w mediach społecznościowych. I *déjà vu* – nie ma problemu, nic ważnego.

Podobnie jak mało ważne jest to, ilu Polaków tam tak naprawdę walczy, po którejkolwiek ze stron. Agnieszka Lichnerowicz rozmawiała z jednym, który znalazł się po stronie ukraińskiej: „Istnieją uniwersalne ideały. Gdzieś tam jestem idealistą [...]. Kto zna historię, ten wie, że jeśli oni zdobędą Ukrainę, już się nie zatrzymają. Twierdzenie, że jesteśmy w NATO, że jesteśmy bezpieczni [...], a Ukraińcy też przecież byli bezpieczni, mieli gwarancje. W XX wieku zaledwie trzy procent aliansów wojskowych było dotrzymywanych. Nie ma gwarancji, że po zajęciu Ukrainy nie pójdą dalej. Wręcz przeciwnie, zawsze przychodzili do Polski. Rosja zawsze będzie dążyła do tego, by mieć granicę z Niemcami. Tak jest od pięciuset lat [...]”.

Po stronie separatystów twarze niektórych pokazuje Dawid Hudziec, narodowiec i pracownik oficjalnej „agencji prasowej” w Doniecku. Zrobił wywiad z Dariuszem Lemańskim, który jako artylerzysta ma „służyć” u separatystów. Na

jego zdjęciach widać dzierżących polskie flagi członków skrajnie prawicowej grupy „Rusicz”, która jest częścią batalionu „Batman” w siłach Ługańskiej Republiki Ludowej. To nie muszą być Polacy, choć Hudziec mówi, że oprócz Lemańskiego jest ich w Donbasie więcej. Kiedy pytam, czy w kolejnych tygodniach pokaże światu więcej polskich twarzy, śmieje się i mówi: „Być może, kto wie...”. Na razie przestaje na wywiadzie z Ludmiłą Dobrzyniecką, zadeklarowaną komunistką.

„Zasadniczo ja o tym [wyjeździe do Donbasu] myślałam już od samego początku wojny, ale czekałam, aż komuniści stąd dadzą sygnał, że potrzebują wsparcia. Długo nie miałam jednak kontaktu z tymi, którzy walczą z bronią w rękę. To się zmieniło rok temu, kiedy skontaktowali się ze mną ludzie z międzynarodowej brygady »Interunit« wchodzącej w skład brygady »Prizrak«. Apelowali o zasilenie ich szeregów, zarówno do walki, jak i do organizacji pomocy humanitarnej [...]. Najpierw skierowano mnie na odcinek frontu, gdzie naprzeciwko nas stacjonowali polscy najemnicy walczący po stronie ukraińskiej. Niektórzy z naszych byli zdziwieni, że Polka przyjechała wesprzeć Donbas, nawet się śmiali, że »twoi to są tam«, ale to tylko takie żarty były. W »Interunit« służą również kobiety, aczkolwiek jest ich niewiele. Dziwiła ich tylko moja narodowość”.

To już nie jest cyrk. To nasi rodacy, którzy pojechali tam walczyć, może za nimi podążą inni, może kiedyś wrócą i... właśnie. I co wtedy?

„Nie porzucę Polski, nie wyobrażam sobie, że miałbym nie wrócić” – mówił mi Hudziec, dziennikarz, ale też pracownik maszyny informacyjnej separatystycznej republiki. Kiedy rozmawiam z nim przez Skype’a, odkrywam, że ma lepszą jakość internetu w Doniecku niż ja w Bratysławie. Taki mały kamyczek do ogródka, coś, co mówi nam, jak mało wiemy, co się tam tak naprawdę dzieje. Inni też będą wracać. To nie takie same przypadki, co dżihadyści wracający z Syrii, ale...

Kat i wspomniany już Guillaume poznali się w Donbasie. Ona, była amerykańska wojskowa, potem dziennikarka, która trafiła na Ukrainę po licznych podróżach w Europie Środkowo-Wschodniej. On, skrajny nacjonalista francuski, nazywany przez niektórych neonazistą, który podobno z powodu swoich poglądów nie mógł uczyć historii w szkole. Ona kręciła filmy o nim i jego kolegach z „Drużyny Vikernes”, które potem złożyły się na dokument *Polite people*. Później, jak to

w życiu często bywa, zakochali się w sobie i dziś razem mieszkają w Stanach (on jest w połowie Amerykaninem i ma amerykańskie obywatelstwo). Wcześniej jednak trafili wspólnie do innego kraju, a był nim Irak. Tam w szeregach kurdyjskich bojowników nazywanych peszmergami chcieli walczyć z ISIS. Powtórzmy, była amerykańska wojskowa i francuski prawicowy radykał wspólnie trafiają do irackiego Kurdystanu, by bić się z terrorystami z ISIS. „Czemu nie w armii syryjskiej” – zapytałem Guillaume’a?

„Kurdowie to najpewniejsza i najnormalniejsza strona w tym konflikcie, najmniej kontrowersyjna” – odparł. Kiedy próbowałem go prowokować, że to jednak także muzułmanie, odpowiedział: „Nieważne, kim są, ważne, z kim walczą”. Na pytanie, czy peszmergowie pozwolili tej dwójce, która dopiero co walczyła na Ukrainie, wziąć udział w zmaganiach z ISIS, musiał zaprzeczyć: „Nie, raczej byliśmy dla nich problemem, bólem głowy i ciągłą kartą przetargową w szarpaninie między dowódcami niektórych grup, oddziałów kurdyjskich [...]. Nie kwestionowali naszych umiejętności, ale nie chcieli posłać nas do walki”.

To był krótki epizod dla tej dwójki zakochanych oraz ich francuskich i amerykańskich towarzyszy. Kiedyś jednak Guillaume powiedział, że „szanuje tych [swoich skrajnie prawicowych towarzyszy], którzy zostali we Francji. Ja już nie mogę, oszalałbym, gdybym miał tam zostać, i dlatego wolałem wyjechać za granicę. Wolę walczyć w Donbasie, niż skończyć w więzieniu we Francji, ponieważ broniłem się na ulicy”⁷⁸. Można więc śmiało pytać: Czy będzie ciąg dalszy? Czy będą kolejne fronty dla tych „innych” zagranicznych bojowników? Czy będzie próba stworzenia kolejnego „zewnętrznego płuca”?

„Porównywanie nas do ISIS, do dżihadystów uwłacza nam – pisze Franc. – Wrócimy, ale nic u siebie nie zrobimy, nie mamy na to szans, system jest przeciwko nam i nie daje nam szans”. Czyli nie będzie terroryzmu i paramilitaryzmu po powrocie do domu? „Nie, bo czemu miałoby to służyć?” – kończy Francuz z obozu donbaskich separatystów. Jeśli wierzyć na słowo jemu i zniesmaczonym liberalną Europą „azowiakom”, to wygląda na to, że wszystko skończy się na jednym cyrku. A może jednak nie?

W ukraińskim cyrku występuje jeszcze jeden aktor, to Rosjanie. I to wcale nie żołnierze, ale rosyjscy ochotnicy, zagraniczni bojownicy, którzy, by rzecz jeszcze bardziej skomplikować, walczą po obu stronach: „Tych, którzy stoją po stronie

Ukrainy, cechuje silne nastawienie antyputinowskie. [...] To radykalni opozycjoniści, pansławiści [...], albo nawet rosyjscy neonaziści [...]. Ich obecność w batalionie »Azow« świadczy o tym, że ich antykremłowskie nastawienie jest silniejsze od argumentów etnicznych [konflikt Rosja–Ukraina], przeważa polityka [...] »To Rosjanin, ale nasz Rosjanin« [...]. Nie walczą dla pieniędzy, które nie odgrywają dla nich żadnej roli w tym konflikcie [...]. Z Rosjanami będącymi po stronie separatystów sytuacja jest bardziej skomplikowana [...]. We wczesnej fazie konfliktu antyfaszyzm, to jest walka z podobno faszystowskim rządem Ukrainy, odgrywał ważną rolę wśród rosyjskich ochotników [...]. Niektórzy dołączyli do szeregów separatystów napędzani rosyjskim imperializmem, a niekiedy także motywacją religijną lub humanitarną [...]. Czasami jednak pierwotny entuzjazm szybko się wypala, na przykład grupa ochotników z Jekaterynburga opuściła linię frontu [...] zniesmaczona sytuacją panującą w Ługańskiej Republice Ludowej [...]. Znaczącą rolę mają odgrywać także pieniądze [...], żołd, który mieli otrzymywać, w zależności od doświadczenia od państwa rosyjskiego [...]. Niektórzy z nich mieli także brać udział w procederach przestępczych, które kwitną na terenach kontrolowanych przez separatystów”⁷⁹.

Guillaume ma jednak lepsze zdanie o swoich rosyjskich kamratkach: „Często to biedni ludzie, którzy rzucili wszystko, zebrali pieniądze i przybyli na Ukrainę, żeby bronić swoich. Potem wracają, często nie mają do czego, bo w Rosji nic na nich nie czeka. Niektórych pakują do więzień, przesłuchują, podobnie zresztą jak nas, Francuzów, chcących wracać do domu przez Rosję. Nikt nam nie ufał, wcale nie byliśmy na pasku Rosjan”.

Chwileczkę, zastanawiam się, przecież w sieci są zdjęcia, na których członkowie „Drużyny Vikernes” są odznaczani w Rosji przez Igora Girkina (pseudonim Igor Strielkow), jednego z legendarnych komendantów separatystów, a w rzeczywistości na wskroś rosyjskich dowódców uczestniczących w tej wojnie.

„Mówiłam im, że to przesada – zwierza mi się Kat. – Nie chciałam być na tych zdjęciach, bo to jednak Moskwa, Rosja, Girkin, GRU, ale nie słuchali. Dla nich, oprócz prorosyjskiego Rafaela, Rosja nie jest idealna, ale to jednak sojusznik w globalnym starciu z Ameryką, i dlatego się na to zdecydowali”.

Świat obiegły zdjęcia jej przyszłego chłopaka z odznaczeniem przypiętym do czarnej bluzy firmy Adidas. Jednak cyrk.

Bez końca

W 2011 roku po raz pierwszy usłyszałem takie oto słowa: „Na terroryzmie jako analityk daleko nie zajedziesz, musisz szukać sobie innych obszarów”. Żeby było śmieszniej, coś podobnego usłyszałem też w 2016 roku, ale już od innego szefa. Czasy się zmieniały, a dyskurs pozostawał taki sam. Nieważna Al-Kaida, nieważny ISIS, to efemerydy, od niedawna także hybrydy, które znikną podobnie szybko, jak się pojawiły. Potem wszystko wróci do normy, na stałe i trwale tory, a przejawami terroryzmu w Europie będą okazjonalne zamachy frustratów z Bliskiego Wschodu. Terroryści nie stanowią strategicznego, egzystencjalnego zagrożenia dla Europy. Zresztą, to jest daleko, to nas nie interesuje, nie ma bezpośredniego wpływu na naszą rzeczywistość i nasze bezpieczeństwo. Nasze interesy są tu i teraz, wschodnia flanka, Ukraina, NATO, NATO, NATO.

Tę piosenkę słyszałem setki razy. Już nawet przestałem na nią zwracać uwagę, przyjąłem ją za dogmat i pewnik. „Tuaregowie^[7] w Timbuktu? – zapytał mnie z uśmiechem kolega z PISM, kiedy gruchnęła wieść o tym, jak powstańcy, a wśród nich dżihadyści z Al-Kaidy z Islamskiego Maghrebu, zajęli w 2012 roku połowę Mali. – To dla nas ważne? Naprawdę? Przejmujemy się tym?” – przeszedł do pastwienia się nade mną.

My? Nie, my – czyli analitycy, naukowcy, Polska, Europa Środkowa – się nie przejmujemy. Gorzej, że przejmują się inni i czekają na naszą reakcję i na naszą solidarność. Takie oczekiwanie skazuje nas jednak na zainteresowanie się ludźmi z małymi bombami. Nawet jeśli ich u nas nie ma.

Wróćmy raz jeszcze do stolicy Francji. Do tej samej kawiarni, w której Eric z francuskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych snuł opowieść o zamachowcach z Paryża i Brukseli. Znalazł też wtedy chwilę, by odnieść się do innych spraw:

– To jest dla nas dość frustrujące, jak walka z wiatrakami. Komuś w końcu udało się poważnie zaatakować Francję, po raz pierwszy od połowy lat dziewięćdziesiątych i zamachów algierskich dżihadystów w Paryżu. Dlatego jesteśmy w szoku. „Jak to? To nasze wspaniałe służby i policja już nie wystarczają?

Co jeszcze można zrobić?” I my, jak te osły, rozbiegamy się po Europie i szukamy modeli, sposobów, porad, konsultacji i tak dalej. Jakbyśmy nie wiedzieli, że nasza policyjna fiksacja to za mało, by powstrzymać wszystkich terrorystów. Jedziemy do Londynu, gdzie nas miło przyjmują, widać lekki błysk w oku, bo nagle aroganccy Francuzi przyjeżdżają do nich. Frustrujemy się na Niemców, Belgów, Szwedów, bo uważamy, że podobnie jak my nie panują nad sytuacją u siebie. Z kolei ciekawe rzeczy słyszymy z Europy Wschodniej...

– Środkowej – poprawiam go z uśmiechem.

– Tak, właśnie. Otóż my znamy tę mantrę, że to nie nasza sprawa, że to nie my. I my to wiemy, ale nie próbujcie nas jednocześnie przekonywać, jak ważna jest Ukraina, Krym, Donbas, OK?

– Wiele wymagasz, Eric, bo...

– Nie rozumiesz – przerywa mi Francuz. – Ile osób zabili w Polsce ukraińscy separatyści? Ile rosyjscy komandosi? Szpiedzy? Ile zamachów terrorystycznych przeprowadzili? Powiedz?

– Znasz odpowiedź.

– Tak, znam. A widzisz, że u nas jest inaczej. Są dziesiątki, setki ofiar, tysiące obserwowanych osób, setki, które wyjechały do Syrii i wracają. I niektórzy, tylko niektórzy, ale to wystarczy, przeprowadzają zamach w Bataclan. I teraz, co byś robił na naszym miejscu? Dziwisz nam się, że mamy w nosie, kiedy twoi rodacy mówią o Rosji? Bo dla nas ta Rosja jest tak daleko, jak dla ciebie nasi dżihadyści. Powiedz to swoim, tam w Polsce, może wtedy będziemy się lepiej rozumieć.

Mówię, właśnie teraz. Wcześniej też próbowałem. Nie jest najlepiej z odbiorem.

„Wiem, że to dla Polski stosunkowo mało istotne, ale pamiętajcie – przestrzegał profesor Richard English w przywoływanym już wykładzie w PISM z początku 2016 roku⁸⁰. – Jeden atak, jeden zamach na was, wasze interesy, waszych obywateli zmieniają tę kalkulację. Zresztą zbliża się Euro 2016, gra tam wasza drużyna. Ani ona, ani jej kibice nie muszą stać się celem, ale sama impreza może nim być i jeśli tak się akurat zdarzy, że wśród ofiar będą wasi rodacy, to wtedy wszystko zacznie się przedstawiać zupełnie inaczej”.

Jak się potem okazało, co także wyjawiał podczas wspomianej rozmowy Eric, to po zamachach w Paryżu właśnie Euro 2016 stało się celem siatki, która w marcu 2016 roku pod presją czasu i depczących im po piętach śledczych zaatakowała

lotnisko i stację metra w Brukseli. Krótko mówiąc, to mogło się stać, mogło nas dotknąć, i to poważnie. Nie moglibyśmy przecież nie zareagować na śmierć znacznej liczby naszych obywateli. Każdy, podkreślam: każdy, rząd musiałby wtedy coś zrobić. Działać.

Żeby takie działania podjąć, trzeba wiedzieć, jak i przeciwko komu. W książce chciałem również pokazać naszego adwersarza. Zaprezentować jego słabe i mocne strony, wyjść poza opisywanie terrorystów jako psychopatów. Nie, współcześni terroryści to nie są szaleńcy. To często, ale nie zawsze, kryminaliści, którzy w swoim radykalizmie szukają zbawienia. Nie zapominajmy jednak, że niektórzy z nich to autentyczni fanatycy religijni, którzy bez względu na nasze (Zachodu) zachowanie zawsze sięgną po przemoc polityczną, by zrealizować swoje polityczne wizje. Ich przemoc i radykalizm mają znamiona nowości, ale gdyby przyjrzeć się temu zjawisku bliżej, to okaże się, że ten nowy terroryzm wcale nie jest taki nowy. I co więcej, przeminie, bo jest jak moda zmieniająca się z sezonu na sezon. By mogli być skuteczni, muszą być innowacyjni, nieszablonowi, zuchwali. I choć planowanie innowacyjnych ataków zajmuje terrorystom mnóstwo czasu, to jego większość spędzają jednak na innych czynnościach, często na wzajemnych kłótniach.

Warto też pamiętać, że w większości przypadków ambitne plany terrorystów kończą się porażką, aresztowaniami i wielkimi stratami dla ich organizacji. Aresztowania to jednak nie tylko sposób na zakończenie kariery przez terrorystów. Często więzienia stają się dla nich uniwersytetami, miejscami, w których, dzięki zdobytym kontaktom, ich terrorystyczna kariera przyśpiesza. Zza krat i po wyjściu na wolność często inspirują kolejne osoby do rozpoczęcia działalności terrorystycznej, na przykład namawiając je do wyjazdów do Syrii i Iraku, gdzie stają się tak zwanymi zagranicznymi bojownikami. I to ci właśnie bojownicy, którzy wracają potem do domów, stanowią dziś największe zagrożenie dla bezpieczeństwa Europy, co dobitnie pokazały zamachy z Paryża i Brukseli. Nie są wyłącznie fenomenem dżihadu, bo wiele takich osób trafiło także na linię frontu na Ukrainie. Oni także wracają i choć pozornie nie są aż tak niebezpieczni, to trzeba przyglądać się ich postukraińskim działaniom. Wielu z tych powracających terrorystów i bojowników uda się odwieść od zbrodniczych planów, na przykład przy użyciu pieniędzy, poprzez usunięcie lub aresztowanie przywódców

motywujących ich do działań terrorystycznych. W ten sposób można też ograniczać funkcjonowanie działalności całych organizacji terrorystycznych, a nie tylko ich poszczególnych członków.

Powiedzmy tu jeszcze, że historia zna przypadki, kiedy z takimi organizacjami negocjowano, niszczone je przy użyciu brutalnej siły, ale zdarzało się też, że to one odnosiły sukces. Nie mniej częste są również zmiany formy działalności grup i organizacji terrorystycznych, bo oto przekształcają się lub próbują przekształcać w organizacje partyzanckie, gangsterskie, ale też filantropijne, bardziej zainteresowane wspieraniem biednych i potrzebujących niż walką zbrojną.

Podsumowując: człowiek z małą bombą ma wiele wymiarów i wiele twarzy. Ich poznanie nie gwarantuje sukcesu w działaniach antyterrorystycznych, ale może pomóc uniknąć chodzenia na skrót, które zakłada prostotę i binarny charakter obszaru walki z terroryzmem. Tak, to my jesteśmy ci dobrzy, a oni, terroryści, to ci źli. Zanim jednak zdecydujemy się, co z nimi zrobić, musimy poznać ich słabe i mocne strony, a przy okazji obalić kilka mitów na temat naszych adwersarzy (na przykład, że to sami psychopaci albo sami kryminaliści, albo sami fanatycy). W tym właśnie chciałem pomóc i po to napisałem *Człowieka z małą bombą*.

Na początku XX wieku słoweński autor Ivan Cankar napisał dramat pod tytułem *Skandal w Dolinie Świętego Floriana*. Jego akcję osadził w mitycznej krainie, w której nic się nigdy nie dzieje, nikt nikomu nie szkodzi, nikt nikogo nie niepokoi. Dolina egzystuje w błogiej izolacji od reszty świata, niemal unosi się w powietrzu, oderwana od rzeczywistości, jej problemów i wyzwania. Pewnego dnia jednak spokój zostaje zrujnowany, bo oto pojawiają się obcy. Trzy nieznane osoby, z których jedna okazuje się diabłem, po prostu chodzą po Dolinie i wzbudzają wielką panikę. Wszyscy są na krawędzi, skandal wisi w powietrzu.

Kilka lat temu słoweński ekspert do spraw terroryzmu Iztok Prezelj opowiedział mi o tym dramacie, żeby zobrazować, jak w jego kraju „robi się” antyterroryzm. „Robi się” go, ale nie do końca. To znaczy, specjalnie nas to nie interesuje, szczególnie się tym nie zajmujemy, bo któż zaatakowałby biedną, małą Ljubljanę? I tu przypomina się równie „słoweński” dowcip o terroryzmie i Polsce: dwóch facetów stoi pod Pałacem Kultury, palą papierosy, głowy zadzierają wysoko i nagle widzą parolotniarza, który po kilku rozpaczliwych manewrach trafia

w kopułę budynku. „Patrz, Mietek – mówi jeden z nich – jaki kraj, tacy terroryści...”

W ciągu ostatnich trzech lat odwiedziłem osiem krajów Europy Środkowo-Wschodniej i w każdym z nich zetknąłem się z takim właśnie podejściem⁸¹. Podejście *à la* „Dolina Świętego Floriana”. „To nie my, nie nasza sprawa, nas to nie dotyczy, jacy terroryści?” i tak dalej. „Wsi spokojna, wsi wesoła” chciałoby się powiedzieć. Albo: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna”. Słowo „polska” można zastąpić tu innymi: estońska, łotewska, litewska, czeska, słowacka, węgierska lub właśnie słoweńska. Czy rzeczywiście możemy jednak być aż tak zrelaksowani? Czy naprawdę jesteśmy taką właśnie doliną, w której nic nigdy się nie dzieje?

Pamiętajmy o jednej kluczowej kwestii – o Afganistanie i tamtym dżihadzie z końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych XX wieku, nieco już zapomnianym, ale przecież do dziś animującym radykalne islamistyczne podziemie na Zachodzie i nie tylko. To weterani tamtego dżihadu trafili do Europy, zapuścili tu korzenie, a potem wielu z nich działało w charakterze pasów transmisyjnych ideologii i frustracji, które przenieśli na Stary Kontynent z Afganistanu, ale także ze swoich krajów pochodzenia: Algierii, Egiptu, Libii, Maroka, Tunezji. Jeśli historia ma nam dostarczać danych i przepowiedni na przyszłość, to właśnie obserwujemy powtórkę z rozrywki na znacznie większą skalę. Setki, o ile nie tysiące ludzi z Europy, ale także Bliskiego Wschodu, wróci bowiem z Syrii i z Iraku. Sytuacja z pasem transmisyjnym może się powtórzyć. Znowu będą spotkania z weteranami, opowieści, snucie planów na przyszłość i świecenie przykładem kolejnym pokoleniom, braciom, kuzynom, kolegom z podwórka, którzy pewnego dnia ruszą na kolejny dżihad. Dlatego naokoło słychać głosy, że islamistyczny terroryzm to problem na następne dwadzieścia, trzydzieści lat, a pamiętajmy, że podobne głosy można było usłyszeć dziesięć lat temu... Czas mija, a problem pozostaje ten sam, ISIS go prolonguje, hibernuje w kolejnej jego mutacji.

Warto zacząć myśleć, co będzie dalej, co nastąpi po ISIS, skąd przyjdą nowi ludzie z małą bombą i dokąd pójdą. Już teraz są ich tysiące, nie mniej jest też kandydatów na ich zmienników na szeroko rozumianym Zachodzie. „Sieci”, to słowo powtarzamy z kolegami na wszystkich „terrorystycznych konferencjach”. To jest terrorystyczna rzeczywistość. Kogo znasz, lubisz, kogo masz w telefonie, na

Facebooku, Telegram Messengerze. Czy mu / jej ufasz, czy możesz z kimś poznać, rekomendować i tak dalej. Prawdziwe ABC działalności podziemnej, nielegalnej, z tą różnicą, że ta jest obliczona na zabijanie wrogów w mniej bądź bardziej spektakularnych atakach.

Te sieci przetrwają upadek ISIS, jeśli coś takiego w ogóle nastąpi. Będą dalej konspirować, planować, atakować, tak jak to czynili europejscy dżihadyści od mniej więcej 2005 roku, kiedy to Al-Kaida straciła status terrorystycznego numeru jeden. Zginie Abu Bakr al-Baghdadi, zginie jego następca i kolejny następca, ale to nie będzie koniec dżihadyzmu. Mleko zaczęło się wylewać ponad trzydzieści lat temu w Afganistanie, a od czasów wojny domowej w Syrii plama się tylko powiększa i przemoc się nie skończy. Owszem, nie zawsze okaże się tak spektakularna jak w Paryżu i w Brukseli w ostatnich dwóch latach, ale zamachy będą się powtarzać. Niektóre skończą się farsą, inne masakrą cywilów, po której przez Europę przejdą kolejne marsze, a politycy zapewnią nas, że tym razem zrobią wszystko, by zapobiec dalszym incydentom.

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie będą mieć racji, że dojdzie do kolejnych zamachów i nic, żadna ustawa, służba, policja tego nie zmienią. Owszem, mogą ograniczyć ich liczbę, skalę, ale nie sprowadzą jej do zera. Ktoś powie, że gdyby w Europie istniały dyktatury, to terroryzmu by nie było, ponieważ takie reżimy świetnie sobie radzą z terrorystami. To prawda, są bardziej brutalne, często bezsensownie, w swoim antyterroryzmie, ale nie są w stanie całkowicie wyeliminować groźby przemocy politycznej. I się jej boją. Wystarczy zajrzeć do czeskich archiwów, gdzie znajdują się historyczne raporty tamtejszej policji politycznej, która odebrała właśnie sygnał, że przez Czechosłowację, w drodze z NRD na Węgry, będzie podróżował „Carlos”, wenezuelski terrorysta do wynajęcia. Z dyplomatycznym paszportem syryjskim w kieszeni i z bronią. Czy czechosłowackie służby zareagowały radośnie na wieść o przyjeździe tak ważnego gościa, towarzysza walki z imperializmem? Otóż nie, wpadły w panikę i zarządziły stan podwyższonej gotowości. Odcięcie pociągu „Carlosa” od świata, zamykanie stacji na jego trasie, bo co to by było, gdyby Wenezuelczyk coś u nas z robił? W dodatku w pociągu siedzieli już jego węgierscy opiekunowie pilnujący, by bez przeszkód dotarł do Budapesztu.

Możemy też spojrzeć na inną dyktaturę – Federację Rosyjską. W Polsce popularny jest pogląd, że Moskwa sama dokłada się do północnokaukaskiego

terroryzmu na swoim terytorium, żeby potem używać argumentu walki z nim do zwalczania wszelkich tendencji opozycyjnych, odśrodkowych i separatystycznych. I tu znowu mamy kłopot. Bo gdyby wszystko było pod kontrolą służb specjalnych i policji tego autokratycznego reżimu, to Rosjanie w ostatnich latach nie pielgrzymowaliby do Londynu, żeby poznawać narzędzia służące do liczenia i katalogowania zagranicznych bojowników w szeregach ISIS w Syrii. „Tak, przyjeżdżają, interesują się naszą pracą i robią wrażenie mocno zaniepokojonych, wręcz spanikowanych. Mówią, że sami mają z tym problem, bo setki osób z Federacji Rosyjskiej wyjechały na Bliski Wschód i mogą mieć z nimi problem, jeśli ci zdecydowałiby się na powrót” – mówił mi w 2014 roku kolega pracujący na londyńskim King’s College.

Jego opinię potwierdza Andrew z brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który zajmuje się tematyką rosyjską: „Tak, wierzę w to, że niektórych radykałów Rosjanie zachęcali do wyjazdu, ułatwiali im to, a teraz zamykają im kanały powrotu. Wyeksportowali ten problem, a przynajmniej próbowali, za granicę, ponieważ ci radykałowie nie wrócą już do Rosji. Będą się kierować do swoich diaspor w Turcji i stamtąd mogą prowadzić działania przeciwko Rosji. – Zaraz też jednak dodaje: – Nie ma tygodnia, by Rosjanie nie przeprowadzali aresztowań w radykalnych meczetach w Dagestanie. Robią to tak często i tak przesadnie, że można odnieść wrażenie, że oni chcą tej niestabilności u siebie, tych wyjazdów”.

Ta ostatnia opinia wspiera teorię o kontrolowaniu przez Rosjan ich rodzimych, domorosłych terrorystów, których w zależności od preferencji można aktywizować i przekierowywać na cele znajdujące się poza Rosją, na przykład na Irak i Syrię. Czy zatem wynaleźli sposób na rozładowanie domorosłego terroryzmu? Najpierw go aktywizują, a potem eksportują?

„Nie wierzę, nie sposób zapanować nad czymś takim – zaprzecza tej teorii przywoływany tu już David z Metropolitan Police w Londynie. – Są setki radykałów, Czeczenów, Tadżyków, Uzbeków, Kazachów, którzy się spotkali w Syrii, są uzbrojeni, szkolą się, czasem odgrywają ważne role w ISIS i to ma być rozwiązanie problemu Rosji? Wiadomo, nie wszyscy wrócą, ale niektórym to się uda, inni zaatakują rosyjskie cele na Bliskim Wschodzie, w Turcji. Nie, nikt mi nie wmówi, że to jest sukces i jakiś sposób”.

Założmy więc, że opcja dyktatorska odpada, że jej zastosowanie na dłuższą metę nic nie daje, ponieważ nie leczy nas z wirusa terroryzmu. Co jednak mają robić nieszczęśni politycy po kolejnych zamachach, do których niewątpliwie dojdzie? Nic. To znaczy, nic doraźnie. Naprawdę. To bardzo trudne, ale tak właśnie jest. Muszą zrozumieć i pomóc zrozumieć wyborcom i współobywatelom, że jeśli terroryzm to choroba, to cierpimy na nią co najmniej od końca XIX wieku. To wówczas dokonujące się w Europie przemiany polityczne, społeczne i gospodarze, ale także technologiczne (materiały wybuchowe), pozwoliły wszystkim marzącym o działaniach skrytobójczych na zapisanie się krwawymi zgłoskami w dziejach świata. A było kogo zabijać, bo świat się demokratyzował i rządzący byli na wyciągnięcie ręki. A dzięki rozszerzającej się umiejętności czytania i związanym z tym boomie, jaki przeżywała prasa, nietrudno było o informacje o potencjalnych celach. Było też czym zabić (dynamit) i jeszcze potem stawało się o tym głośno (znów prasa). Od tego momentu minęło ponad sto dwadzieścia lat i sytuacja się nie zmieniła. Dystans między szarymi obywatelami a ich wybrańcami często jest bardzo niewielki, zresztą to nie rządzący są obecnie głównymi celami zamachów terrorystycznych. Poszerza się (także dzięki sugestiom płynącym od Al-Kaidy i ISIS) arsenał broni terrorystów (samochody osobowe i ciężarowe), a media społecznościowe oraz ich użytkownicy zapewniają wspaniałą reklamę. W tych warunkach trzeba tylko chętnych, którzy są gotowi stać się ludźmi z małą bombą. Jest ich bardzo wielu.

I tu wracamy do punktu wyjścia: doraźnie nie róbmy nic. W swojej reakcji nie uciekajmy w przesadę. Pozwólmy ludziom zwalczającym terroryzm działać i przyjmijmy, że jest on inherentną częścią naszej rzeczywistości. Tak, da się go ograniczyć, ale zawsze będzie z nami, tak jak jest z nami zawsze od ponad stu dwudziestu lat. Żadne rozpaczliwe i nerwowe reakcje tego nie zmieniają, a tomy kolejnych aktów prawnych nie obronią nas przed bombami. Jeśli chcemy mniej terroryzmu, to z jednej strony dajmy pracować służbom specjalnym i policji, dofinansujmy je, a z drugiej przygotujmy coś, czego nasz kraj do dziś nie posiada: prewencyjne środki zapobiegania terroryzmowi. Pokażmy obywatelom, że terroryzm to droga bez sensu, że nic nie daje i do niczego nie prowadzi, a narzędziem zmiany jest kartka wyborcza. To trudne i mało efektowne, ale innego wyjścia nie ma. Zaangażujmy w to szkoły, uczelnie, a jeśli będzie trzeba – opiekę społeczną i służbę zdrowia. To robią nasi przyjaciele z Zachodu, głównie

przeciwko dżihadystom. Ci ostatni raczej nie zagrażają Polsce, państwu z „Doliny Świętego Floriana”, ale nie każdy terrorysta to muzułmanin.

Warto o tym pamiętać, zwłaszcza przyglądając się naszym sąsiadom z Niemiec lub Norwegii. Warto o tym pamiętać, gdy słyszy się o różnych węgierskich frontach narodowych gromadzących broń przed spodziewaną konfrontacją z policją. Warto o tym pamiętać, gdy następnym razem będziemy czytać o słowackich ekstremistach, środowisku, które wyrosło za naszą południową granicą pozornie znikąd. To mogą, ale nie muszą być ludzie z małą bombą, przedstawiciele kolejnego odłamu, fazy, fali terroryzmu.

Pamiętajmy także, że te małe bomby to moda. Tak, moda. Bomby są z nami od ponad wieku, ale bywają takie chwile, gdy dominują, nie schodzą z czołówek gazet, wręcz definiują rzeczywistość, przepoczwarzają się w uosobienie swojego czasu, niczym pocztówki z widoczkami z wakacji, które mają przypominać nam o tym, jak było. I nierzadko to właśnie ludzie z małą bombą dostarczają pamiętnych obrazów będących podsumowaniem danej epoki, dekady lub roku. Płonące wieże World Trade Center są taką makabryczną pocztówką i wyznaczają początek ostatniej mody na terroryzm, której popularność nieco zelżała po zamachach w Londynie w 2005 roku, by po 2011, a zwłaszcza po 2014 roku, zanotować spektakularny powrót na czołówki list przebojów. Mody, która ogarnęła nie tylko media i popkulturę, ale też ich konsumentów. Wielu z nich odnalazło w niej inspirację, by przemocą próbować osiągać mniej bądź bardziej realistyczne cele polityczne.

Potwórzmy więc: to sukcesy pionierów kolejnych terrorystycznych faz uruchamiają masę krytyczną ich naśladowców. Porwania samolotów przez palestyńskich terrorystów z końca lat sześćdziesiątych stanowiły początek nowożytnego, to jest powojennego, skrajnie lewicowego i separatystycznego terroryzmu. Ponad trzydzieści lat później w rolę pioniera wcieliła się Al-Kaida, a kiedy jej sława przygasła, terrorystyczną markę dżihadyzmu umocniło zdobycie Mosulu przez ISIS w 2014 roku.

Oczywiście do eksplozji kolejnej mody na terroryzm dokładają się też inne czynniki, które są często poza kontrolą samych terrorystów i kompletnie od nich niezależne. Jeffrey Toobin z „The New Yorker” jest przekonany, że nie byłoby amerykańskiego radykalizmu lat siedemdziesiątych, tysiący zamachów bombowych w tym kraju, porwania Patty Hearst, dziedziczki fortuny medialnej,

która później przyłączyła się do swoich porywaczy, oraz być może również słynnej serii morderstw „Zodiaka” w okolicach San Francisco, gdyby nie to, że w pierwszej połowie tamtej dekady Stany Zjednoczone przechodziły „załamanie nerwowe” wywołane krachem gospodarczym, aferą Watergate i klęską w Wietnamie⁸². Idąc tym tropem, nie byłoby Frakcji Czerwonej Armii, Czerwonych Brygad i innych grup terrorystycznych, gdyby nie podobne „załamania” z końca lat sześćdziesiątych w Europie. I wreszcie, nie byłoby Al-Kaidy, gdyby nie sowiecka interwencja w Afganistanie i nie byłoby ISIS, gdyby nie amerykańska inwazja w Iraku. Nie znaczy to, że to Sowieci stali za Al-Kaidą, a Amerykanie za powstaniem ISIS, ale nie można zapominać o istnieniu oczywistych związków między ich działaniami na arenie międzynarodowej i umacnianiem kolejnej światowej mody terrorystycznej.

Terroryzm będzie zawsze, ponieważ jest często konsekwencją wydarzeń pozornie z nim niezwiązanych, którym pewnie chętnie zapobieglibyśmy, gdybyśmy tylko zawczasu znali ich następstwa. Nie znamy, a zatem szykujemy się na życie w cieniu terroryzmu, po który zawsze, w każdej epoce, ktoś sięgnie. Mała bomba zawsze będzie atrakcyjna, ponieważ użycie jej wydaje się stosunkowo mało skomplikowane. I kiedy ktoś, jak to ostatnio robią ni to radykałowie, ni to kryminaliści wyjeżdżający na terrorystyczne praktyki na Bliski Wschód, by potem powrócić do Europy, w końcu się na to zdecyduje, to na walkę z nim muszą być gotowi ludzie z dużą bombą. Państwo, jego funkcjonariusze, struktury. Ludzie i instytucje. Oni też mają specyficzny sposób patrzenia na terroryzm. To już jednak temat na inną opowieść.

Bratysława, grudzień 2016

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie pomoc i inspiracja wielu osób. Podziękowania muszą jednak zacząć nie od jednej z nich, ale raczej od wspomnienia nauki, a ściślej badań naukowych. Są one wspaniałe, jeśli przeprowadza się je dobrze, pozwalają na zdobywanie wiedzy, poznawanie nadzwyczajnych ludzi, których historie są inspiracją dla badacza. Potem, niestety, nie można ich jednak opowiedzieć, zawrzeć w tekstach pisanych, ponieważ są zbyt osobiste, podobno nieobiektywne czy pełne nieparlamentarnych sformułowań. Są jednak prawdziwe, ciekawe, często fascynujące, zwłaszcza w obszarze studiów nad terroryzmem i antyterroryzmem. To niechęć naukowców z mojego obszaru do czytania artykułów pełnych cytatów pochodzących od moich rozmówców, „byłych” terrorystów i antyterrorystów, popchnęła mnie do napisania tej książki.

Pewnego mroźnego dnia w 2015 roku zdałem sobie sprawę, że mam do opowiedzenia liczne „terrorystyczne” historie, którymi dotychczas głównie katowałem studentów podczas zajęć na Uniwersytecie SWPS. Szukałem tylko platformy do ich przedstawienia. Nie mogłem tego zrobić w publikacjach naukowych, podobnie było w przypadku publikacji Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, w którym wówczas pracowałem. W tym samym mniej więcej czasie (tu wielkie podziękowania dla Maćka Staneckiego – oby więcej takich naukowców w Polsce! – z Akademii Sztuki Wojennej – dziękuję za reklamowanie mnie i moich badań) pojawiła się propozycja z Wydawnictwa Czarne i sprawy nabrały tempa. Wynikiem naszej współpracy jest książka, którą mają Państwo przed sobą. Mam nadzieję, że pomoże ona w zrozumieniu fenomenu terroryzmu i rozwikłaniu zagadki „człowieka z małą bombą”.

Po Maćku i całej ekipie Wydawnictwa Czarne muszą podziękować tym, którzy poświęcili mi swój czas i przez ostatnie czternaście lat pomagali w zdobywaniu wiedzy na temat terroryzmu i antyterroryzmu, czyli wszystkim moim rozmówcom, kolegom, współpracownikom, opiekunom, mentorom. Szczególnie wielkie dzięki dla tych, którzy we mnie wierzyli i dali mi szansę, to jest dla Ryszarda Machnikowskiego z Uniwersytetu Łódzkiego (każdemu życzę takiego promotora, najlepszy ekspert do spraw terroryzmu w Polsce), Richarda Englisha z Queen’s University Belfast (najlepszy promotor doktoratu, jakiego mogłem mieć, klasa

światowa w badaniach nad terroryzmem), Wojciecha Kosteckiego (za szansę, opiekę i mentoring na Uniwersytecie SWPS), Mirosława Filipowicza (za szansę w Lublinie), Marcina Zaborowskiego (za szansę na zaistnienie poza środowiskiem akademickim) oraz Milana Nica, Aleny Kudzko i kierownictwa GLOBSEC w Bratysławie – Roberta Vassa, Milana Solara, Jany Stefanikovej, Jakuba Wiśniewskiego – za zaufanie, jakim obdarzyli mnie od początku mojej słowackiej przygody.

Dziękuję tym, którzy drukowali moje teksty, zapraszali na konferencje i spotkania oraz umożliwiali dotarcie do szerokiej publiczności poprzez media. Dziękuję wszystkim, którzy mnie słuchali na owych konferencjach i spotkaniach oraz dla studentów, z którymi przez wiele lat rozmawiałem o „człowieku z małą bombą”.

Na koniec najważniejsze podziękowania. Dla rodziców. Za cierpliwość, inspiracje, wsparcie i zrozumienie. Bez Was i Waszej pomocy nie byłoby nie tylko tej książki. I dla Małgosi, która czyta, opiniuje, podpowiada, słucha, toleruje, zachęca i przede wszystkim dzielnie znosi chwile rozłąki i wszystkie przywary kogoś, kto interesuje się i pisze o „człowieku z małą bombą”. To dla niej jest ta książka.

Przypisy końcowe

Wstęp. Mała i duża bomba

- ¹ Zob. Osama bin Laden, *Jihad Against Jews and Crusaders World Islamic Front Statement*, 1998, <http://goo.gl/BUOpGn>, dostęp: 24.02.2017.
- ² Zob. Osama bin Laden, Full transcript of bin Ladin's speech, Al-Jazeera, 1 listopada 2004, <http://goo.gl/jyK12i>, dostęp: 24.02.2017.
- ³ Zob. New audio message from The Islamic State's Shaykh Abū Muhammad al 'Adnānī al-Shām: "Say to Those Who Disbelieve", 12 października 2015, <http://goo.gl/eyjPVb>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁴ Abū Muhammad al 'Adnānī al-Shāmī, "Say, 'Die In Your Rage'", *Jihadology*, 26 stycznia 2015, <http://goo.gl/AUt8G8>, dostęp: 24.02.2017.

1 Tu i teraz: nowy terroryzm?

- ⁵ V. Dodd, *Police study links radicalisation to mental health problems*, „Guardian”, 20 maja 2016, <http://goo.gl/1t9Laa>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁶ J. de Roy van Zuijdewijn, Edwin Bakker, *Analysing Personal Characteristics of Lone-Actor Terrorists. Research Findings and Recommendations* [w:] *Terrorism Research Initiative. Perspectives on Terrorism*, <http://goo.gl/ijD83B>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁷ J. Warrick, *Black Flags. The Rise of ISIS*, Londyn: Bantam Press, s. 67, 68.
- ⁸ C. Bunzel, *From Paper State to Caliphate. The Ideology of the Islamic State*, „Analysis Paper”, No. 19, marzec 2015, <http://goo.gl/kd71OB>, dostęp: 24.02.2017.

2 Tu i teraz: radykałowie czy kryminaliści?

- ⁹ D. Gambetta, S. Hertog, *Engineers of Jihad. The Curious Connection between Violent Extremism and Education*, Princeton: Princeton University Press, 2016, s. 13.
- ¹⁰ R. Coolsaet, *Facing the Fourth Foreign Fighters Wave. What Drives Europeans to Syria, and to Islamic State? Insights from the Belgian Case*, Bruksela: Egmont, 2016, <http://goo.gl/O2Ya2R>, dostęp: 24.02.2017.
- ¹¹ P. Nesser, *Islamist Terrorism in Europe. A History*, Londyn: Hurst, 2016, s. 184.
- ¹² Tamże, s. 34.
- ¹³ Zob. *General Intelligence and Security Service, The transformation of jihadism in the Netherlands Swarm dynamics and new strength*, Haga: AIVD, 2014, <https://goo.gl/C2Yutw>, dostęp: 24.02.2017.
- ¹⁴ R. Coolsaet, *Facing the Fourth Foreign Fighters Wave. What Drives Europeans to Syria, and to Islamic State? Insights from the Belgian Case*, dz. cyt.
- ¹⁵ Zob. O. Roy, *France's Oedipal Islamist Complex*, „Foreign Policy”, 7 stycznia 2016, <http://goo.gl/jtvJpu>, dostęp: 24.02.2017.
- ¹⁶ Tamże; zob. też O. Roy, *What is the driving force behind jihadist terrorism?*, Wykład wygłoszony podczas BKA Autumn Conference, 18–19 listopada 2015, <https://goo.gl/CmT10J>, dostęp: 24.02.2017.

¹⁷ Tamże.

¹⁸ Rozmowa z D. Thomsonem, *Tuer pour exister, et mourir*, „Nonfiction”, 23 marca 2016, <http://goo.gl/MpW8id>, dostęp: 24.02.2017.

¹⁹ M. Townsend, *From Brighton to the battlefield: how four young Britons were drawn to jihad*, „Guardian”, 31 marca 2016, <https://goo.gl/Omm80Y>, dostęp: 24.02.2017.

²⁰ Rozmowa z D. Thomsonem, dz. cyt.

²¹ Tamże.

3 Tu i teraz: co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?

²² S. Sayare, *The Ultimate Terrorist Factory. Are French prisons incubating extremism?*, „Harper’s Magazine”, styczeń 2016, <http://goo.gl/II6pW0>, dostęp: 24.02.2017.

²³ M. Weiss, H. Hassan, *ISIS. Inside the Army of Terror*, Nowy Jork: Regan Arts, 2015, s. 83–86.

²⁴ Ch. De Bellaigue, *Are french prisons’ finishing schools’ for terrorism?*, „Guardian”, 17 marca 2016, <https://goo.gl/U8VTHr>, dostęp: 24.02.2017.

²⁵ B. de Graaff, E. Kessels, *Prison Radicalisation in The Netherlands. Not a Captivating Problem*, 2016, <http://goo.gl/eQbjts>, dostęp: 24.02.2017.

4 Codzienna codzienność

²⁶ Zob. B. Hoffman, *Gaza City. All you need is love. How the terrorists stopped terrorism*, „The Atlantic Monthly”, grudzień 2001, <http://goo.gl/QHNs4l>, dostęp: 24.02.2017.

5 Innowacyjność. James Bond to błąd?

²⁷ T. Bjørge, C. Hemmingby, *The Dynamics of a Terrorist Targeting Process: Anders B. Breivik and the 22 July Attacks in Norway*, Basingstoke: Palgrave Macmillan, 2015, s. 62, 63, 66, 67.

²⁸ J. Warrick, *The Triple Agent. The Al-Qaeda Mole Who Infiltrated the CIA*, Nowy Jork: Doubleday, 2011, s. 197–199.

²⁹ Zob. *Fourth Report of the Independent Monitoring Commission*, 2005, <http://goo.gl/mq6NWj>, dostęp: 24.02.2017.

³⁰ Ch. Moore, *Ripe For the Picking. The Inside Story of the Northern Bank Robbery*, Dublin: Gill & Macmillan, 2006, s. 3.

³¹ Tamże, s. 5.

³² C. Moore, *The Threat from Swarm Attacks. Case Studies from the North Caucasus*, Combating Terrorism Center 2012, <https://goo.gl/ZZYnOI>, dostęp: 24.02.2017.

³³ Zob. C. Colquhoun, *Tip of the Spear? Meet ISIS’ Special Operations Unit, Katibat al-Battar*, „Bellingcat”, 2 lutego 2016, <https://goo.gl/B2E6Ng>, dostęp: 24.02.2017.

³⁴ C. Moore, *The Threat from Swarm Attacks: Case Studies from the North Caucasus*, dz. cyt.

³⁵ Zob. Osama bin Laden, Ayman al-Zawahiri, Abu-Yasir Rifa’i Ahmad Taha, Mir Hamzah, Fazlur Rahman, *Jihad Against Jews and Crusaders*. World Islamic Front Statement, 23 lutego 1998, <http://goo.gl/2KyM47>, dostęp: 24.02.2017.

³⁶ Zob. Yahya Ibrahim, *The Ultimate Mowing Machine*, „Inspire”, jesień 2010, <https://goo.gl/nh03m2>, dostęp: 24.02.2017.

³⁷ Abu Muhammad al-‘Adnani ash-Shami,—*Indeed Your Lord Is Ever Watchful*, 9 września 2014, <https://goo.gl/hefRbY>, dostęp: 24.02.2017.

6 James Bond to jednak błąd

³⁸ Zob. B. A. Jackson, J. C. Baker, K. Cragin, i in., *Case Studies of Organizational Learning in Five Terrorist Groups*, Rand, <http://goo.gl/uy7I6V>, dostęp: 24.02.2017.

³⁹ Zob. R. Callimachi, *How ISIS Built the Machinery of Terror Under Europe’s Gaze*, „New York Times”, 29 marca 2016, <http://goo.gl/YdrVLt>, dostęp: 24.02.2017.

⁴⁰ R. Pantucci, *We Love Death As You Love Life”. Britain’s Suburban Terrorists*, Londyn: Hurst & Company, 2015, s. 237, 238.

⁴¹ Więcej na ten temat: M. Prothero, *Paintballing with Hezbollah*, „Vice” 26 marca 2012, <https://goo.gl/8xqOMT>, dostęp: 24.02.2017.

⁴² H. McDonald, J. Cusack, *The UDA. Inside the Heart of Loyalist Terror*, Dublin: Penguin, 2005, s. 330.

⁴³ G. W. Steinberg, *German Jihad. On the Internationalization of Islamist Terrorism*, New York: Columbia University Press, 2013, s. 76–6.

⁴⁴ Wideo można zobaczyć tutaj: <https://goo.gl/t5yCv2>, dostęp: 24.02.2017.

⁴⁵ Zob. F. Drury, *British ISIS jihadist and former supermarket worker moans about Islamic State fighters not knowing how to QUEUE and using his phone charger in latest self-pitying blog post*, „Mail Online”, 16 września 2015, <http://goo.gl/I6nOCA>, dostęp: 24.02.2017.

7 O falach, pieniądzach i miękkości

⁴⁶ Autorką najlepszej pracy o tym, jak kończy się terroryzm, jest Audrey Kurth Cronin (*How Terrorism Ends. Understanding the Decline and Demise of Terrorist Campaigns*, New Jersey: Princeton University Press, 2009). To przyjęta przez nią klasyfikacja możliwych „zakończeń” jest podstawą dla rozważań podjętych w następnych trzech rozdziałach tej książki.

⁴⁷ D. C. Rapoport, *The Four Waves of Modern Terrorism*, <http://goo.gl/OTm7JO>, s. 47, dostęp: 24.02.2017.

⁴⁸ Zob. *For jihadist, read anarchist*, „The Economist”, 18 sierpnia 2005, <http://goo.gl/EG4hqG>, dostęp: 24.02.2017.

⁴⁹ P. Cruickshank, *The inside story of the Paris attack*, CNN, 22 marca 2016, <http://goo.gl/1InfLL>, dostęp: 24.02.2017.

⁵⁰ K. Cobiella, *Denmark De-Radicalization Program Aims to Reintegrate, Not Condemn*, NBC NEWS, 24 maja 2015, <http://goo.gl/KXbBpj>, dostęp: 24.02.2017.

⁵¹ G. D. Johnsen, *The Last Refuge. Yemen, Al-Qaeda, and the Battle for Arabia*, Nowy Jork: Oneworld, 2013, s. 139, 141, 143, 144.

⁵² O. Ashour, *The De-Radicalization of Jihadists. Transforming armed Islamist Movements*, Abingdon: Routledge, 2009, s. 101, 102.

⁵³ Zob. Ch. Boucek, *Saudi Arabia’s „Soft” Counterterrorism Strategy. Prevention, Rehabilitation, and Aftercare*, „Carnegie Papers”, wrzesień 2008, <http://goo.gl/xJSkre>, dostęp: 24.02.2017.

⁵⁴ T. Luck, *Returning jihadis. At luxurious rehab center, a Saudi cure for extremism*, „The Christian Science Monitor”, 17 maja 2015, <https://goo.gl/1TNU3W>, dostęp: 24.02.2017.

8 Usunięcie przywódcy

- ⁵⁵ Zob. P. Wilkinson, *Politics, diplomacy and peace processes. Pathways out of terrorism?*, „Terrorism and Political Violence”, vol. 11, issue 4, 1999, s. 66–82.
- ⁵⁶ To jedna z kategorii klasyfikacji końca terroryzmu autorstwa Audrey Kurth Cronin, zob. A. K. Cronin, *How Terrorism Ends. Understanding the Decline and Demise of Terrorist Campaigns*, New Jersey: Princeton University Press, 2011.
- ⁵⁷ J. Jordan, *When Heads Roll. Assessing the Effectiveness of Leadership Decapitation*, „Security Studies”, 18, 2009, s. 753, 754.
- ⁵⁸ Zob. K. Rękawek, *How Terrorist Leaders End. Implications for the Future of the Struggle with al-Qaeda*, „PISM Policy Paper”, No. 15, wrzesień 2011, <http://goo.gl/ncdt4S>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁵⁹ C. Tawil, *Brothers in Arms. The Story of Al-Qa’ida and the Arab Jihadists*, Londyn: Saqi Books, 2010, s. 182, 183.
- ⁶⁰ E. Rubin, *The Cult of Rajavi*, „The New York Times Magazine”, 13 lipca 2003, <http://goo.gl/q2m291>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁶¹ G. Kassimeris, *Fighting for revolution? The life and death of Greece’s revolutionary organization 17 November, 1975–2002*, „Journal of Southern Europe and the Balkans”, Vol. 6, No. 3, 2004, s. 259.

9 Negocjacje, zniszczenie i sukces

- ⁶² T. Whitfield, *Endgame for ETA. Elusive Peace in the Basque Country*, Londyn: Hurst, 2014, s. 152.
- ⁶³ Richard Spencer, *Four Jihadist, One Prison: All Released by Assad and Now All Dead*, „The Telegraph”, 11 maja 2016, <http://goo.gl/8aSwZM>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁶⁴ Zob. P. Kroll, *Przycinanie kozackich paznokci*, „Rzeczpospolita”, 10 czerwca 2010, <http://goo.gl/TMWhZM>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁶⁵ Zob. M. Abrahms, *Why Terrorism Does Not Work*, „Mit Press Journals” 2006, <http://goo.gl/TEx68m>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁶⁶ Zob. S. L. Aronson, *Aqim’s Threat To Western Interests In The Sahel*, Combating Terrorism Center, 28 kwietnia 2014, <https://goo.gl/1ZZNf8>, dostęp: 24.02.2017.

10 Gangsterzy...

- ⁶⁷ Zob. M. Goldberg, *How The Islamic State Came to Libya*, *Global Dispatches*, 16 marca 2016; <http://goo.gl/UDmCFP>, dostęp: 24.02.2017.

12 Przemysł

- ⁶⁸ M. Sageman, *Misunderstanding Terrorism*, Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 2017, edycja elektroniczna – lokacja 1190.
- ⁶⁹ Tamże, lokacja 1244.
- ⁷⁰ P. van Ostaeyen, *Belgian Foreign Fighters in Syria and Iraq May 2016 [w:] Not Only Syria? The Threat of Foreign Fighters from Ukraine and Syria to NATO and Its Partners*, ed. K. Rękawek, Amsterdam: IOS Press [w przygotowaniu].
- ⁷¹ P. van Ostaeyen, dz. cyt.
- ⁷² Tamże.

- ⁷³ Zob. Rick Noah, *Many Islamic State recruits who have returned to Europe remain committed to militant ideology, report says*, „The Washington Post”, 29 listopada 2016; <https://goo.gl/FwJM46>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁷⁴ *Belgian Federal Police Chief Braces for New ISIS Terror Attacks*, „Newsweek”, 29 listopada 2016, <http://goo.gl/ywK3OD>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁷⁵ Zob. D. Thomson, *Quitter l'État islamique*, „Les Jours”, 10 lutego 2016, <https://goo.gl/it9UyX>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁷⁶ K. Rękawek, *The Clear Banner: “For Our Freedom and Yours?”. The Lack of Central European Foreign Fighters in Syria*, Jihadology, 30 maja 2014, <http://goo.gl/7TvntH>, dostęp: 24.02.2017.

13 Cyrk?

- ⁷⁷ Ch. Holmsted Larsen, *Danish foreign fighters. Past and Present Patterns [w:] Not Only Syria?*, dz. cyt.
- ⁷⁸ P. Sautreuil, *Meeting Them in the Field. A Closer Look at French Foreign Fighters in Ukraine [w:] Not Only Syria?*, dz. cyt.
- ⁷⁹ A. Racz, *The Elephant in the Room. Russian Foreign Fighters in Ukraine [w:] Not Only Syria?*, dz. cyt.

14 Bez końca

- ⁸⁰ Zob. <https://goo.gl/NLWr81>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁸¹ Wyniki moich badań są dostępne na stronie SAGE journals, <http://goo.gl/VITYsn>, dostęp: 24.02.2017.
- ⁸² J. Toobin, *American Heiress. The Wild Saga of the Kidnapping, Crimes and Trial of Patty Hearst*, Nowy Jork: Random House, 2016, s. 15–20.

Przypisy

[1] Salafizm – konserwatywny ruch w sunnickim islamie postulujący jego odrodzenie poprzez powrót do korzeni, do wiary przodków (salaf), to znaczy pierwszych trzech pokoleń muzułmanów. Ma charakter kwietystyczny i bierny. Dżihadyści to w rzeczywistości zwolennicy politycznego salafizmu, przekonani o potrzebie zaprowadzania go na świecie nie za pomocą prozelityzmu, lecz walki zbrojnej, w tym terroryzmu.

[2] Stanfordzki eksperyment więzienny (Stanford Prison Experiment – SPE) przeprowadzony pod kierownictwem Philipa Zimbardo w 1971 roku. Chodziło o zbadanie psychologicznych efektów symulacji życia więziennego. W eksperymencie wzięło udział dwudziestu czterech studentów podzielonych losowo na strażników i więźniów. Zobacz: <http://www.prisonexp.org>.

[3] Sinn Féin – polityczna reprezentacja irlandzkiego republikanizmu, nazywana też politycznym skrzydłem Irlandzkiej Armii Republikańskiej, ponieważ przywódcy tej partii byli równocześnie w większości ważnymi postaciami w IRA. Obecnie znacząca siła polityczna w obu częściach Irlandii, po 1998 roku Sinn Féin współrządzi Irlandią Północną.

[4] Batalion, potem przemianowany na pułk „Azow” – ochotnicza jednostka paramilitarna powstała w 2014 roku, na początku konfliktu na wschodzie Ukrainy, później włączona w skład ukraińskiej Gwardii Narodowej. W ograniczonym stopniu ma międzynarodowy charakter, poprzez swoich członków jest związana z ruchami nacjonalistycznymi na terenie Europy, jej dowództwo jest zaangażowane politycznie na Ukrainie.

[5] Porozumienie między Ukrainą, Rosją, Francją i Niemcami zawarte w 2014 i w 2015 roku zakładające implementację szeregu uzgodnionych decyzji prowadzących do zakończenia konfliktu na wschodzie Ukrainy.

[6] Forma finansowania różnego rodzaju projektów przez społeczność, która jest lub zostanie wokół tych projektów zorganizowana. Przedsięwzięcie jest w takim przypadku finansowane poprzez dużą liczbę drobnych, jednorazowych wpłat dokonywanych przez osoby zainteresowane projektem. Upowszechnienie się internetu pozwala na łatwe informowanie o projektach i tworzenie wokół nich społeczności, co przyczyniło się do rozwoju zjawiska crowdfundingu. Określenie to jest zwykle używane w odniesieniu do zbiórek prowadzonych na stworzonych w tym celu platformach internetowych, rzadziej także za pomocą serwisów społecznościowych lub blogów. Zobacz: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Crowdfunding>.

[7] Nomadyjski lud berberyjski zamieszkujący między innymi północ Mali. Jego przedstawiciele mają na swoim koncie liczne rebelie przeciwko malijskiemu rządowi w Bamako, między innymi w 2012 roku, kiedy w sojuszu z Al-Kaidą osiągnęli wiele spektakularnych sukcesów, zajmując na przykład Timbuktu.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl

malgorzata.wietecha@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017

Wydanie I